

WIEŚ W AWANGARDZIE
Polska się zmienia
szybciej, niż myślicie

TIMOTHY SNYDER
Jak słaba Rosja
kręci światem

MAMY NOWE ŚWIĘTO
PiS ochrzcił narodowców
– po co mu to było

ZAGADKA HERBERTA
Wiersze z kryształu,
żywot z papieru

Kraków 12 sierpnia 2018 nr 33 (3605) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Rusz duszę

Ojciec Roman Bielecki,
dominikanin i pielgrzym:
O co chodzi
w tym chodzeniu

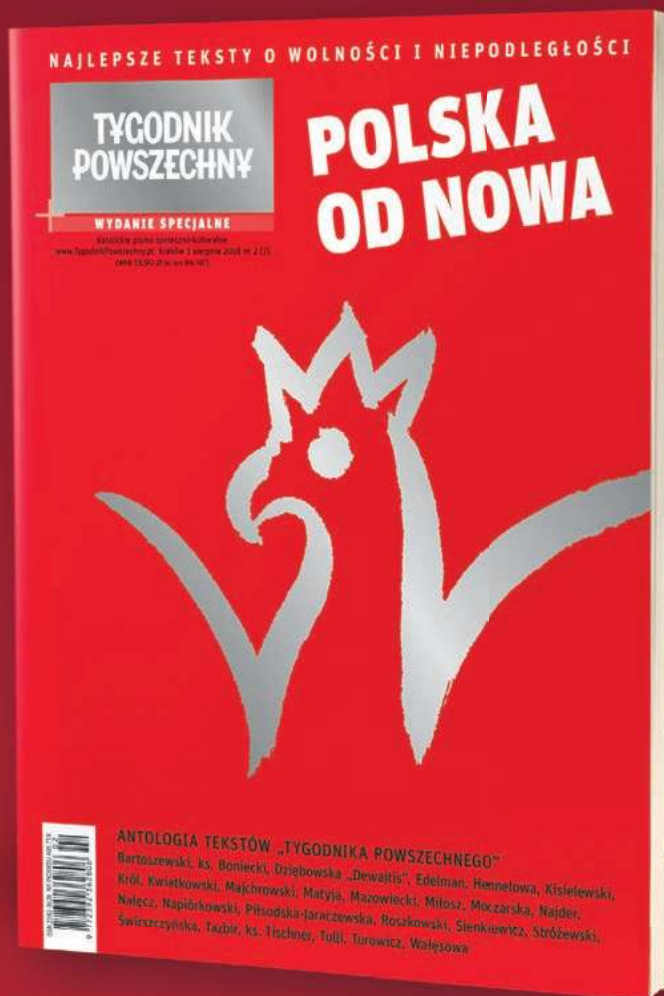
ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425



9 1770041480802

PREMIERA

**Już w sprzedaży
kolejne wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego”**



„POLSKA OD NOWA” to wybór najlepszych tekstów z ponad 70-letniej historii „TP”, poświęconych niepodległości, wolności i ojczyźnie.

Piszą i opowiadają m.in.:

- budowniczy Gdyni Eugeniusz Kwiatkowski
- córka Józefa Piłsudskiego Jadwiga Jaraczewska
- noblista Czesław Miłosz
- pierwszy naczelny „TP” Jerzy Turowicz
- kapelan Solidarności ks. Józef Tischner
- minister spraw zagranicznych III RP Władysław Bartoszewski

Na wydarzenia lat 1918, 1945, 1989, 2004 i 2018 patrzą historycy, politycy, pisarze, filozofowie i reporterzy, ale jest jeszcze jedna, przekraczająca kategorie zawodowe, perspektywa.

W dziale „Polska jest kobietą” oddajemy głos tym, których rolę często pomija historia, choć dzięki ich mocy i niezłomności nasze stanowienie Niepodległej mogło stać się faktem.

Niezastąpiona lektura podczas Roku Niepodległości. Już w salonach prasowych oraz w e-wydaniu



KS. ADAM

Boniecki: Wsi spokojna, wsi wesola

KIEDY WÓJT WSI GMINNEJ KADZIDŁO (NA KURPIACH) Dariusz Łukaszewski rozpoczął budowę biblioteki, niektórzy chcieli widzieć w tym koniec jego wójtowania, bo myśleli, że dla mieszkańców ważniejsza od biblioteki jest budowa za te pieniądze kawałka drogi (choć gmina skutecznie budowała także drogi). Wójt się nie ugiął: uznał, że mieszkańcy Kadzidła na porządną bibliotekę zasługują, że nie wystarczą im inwestycje w zakresie infrastruktury, nawet uruchomienie wielkich zakładów rozbioru mięsa ani dynamiczna działalność na rzecz kurpiowskich tradycji. Biblioteka stanęła i działa.

Że polska wieś się zmienia, każdy widzi. Mało kto pamięta studnie z wiadrem na łańcuchu, furmanki i stada krów na drogach, gromady ludzi uwijających się na polu podczas żniw, sianokosów i wykopków. Wygląd wsi się zmienił, lecz jakie w niej zaszły i zachodzą zmiany, pokazuje raport wydany staraniem Fundacji na rzecz Rozwoju Polskiego Rolnictwa, „Polska wieś 2018”. I z tego raportu chcę odnotować kilka zjawisk, które dają do myślenia.

Dziś uprawą ziemi zajmuje się zaledwie 10 proc. mieszkańców wsi. Od kilku lat trwa napływ miejskiej ludności na wieś, nie ze wsi do miasta. Maleje emigracja ze wsi do innych krajów. Są wyjazdy czasowe (zwykle na rok). Coraz mniej wyjeżdża za granicę małżeństw, coraz więcej kawalerów, panien i rozwiedzionych.

Przeciętna długość życia mężczyzn na polskiej wsi jest krótsza o 4,9 lat od przeciętnej w krajach UE. Kobiety na polskiej wsi żyją przeciętnie 8,7 lat dłużej niż mężczyźni. To różnica jedna z najwyższych w Europie!

W stosunku do innych krajów UE ludność polskiej wsi jest młoda. Tylko w trzech krajach wskaźnik obciążenia demograficznego osobami starszymi był niższy niż u nas. Ale starzenie przyspiesza. Wyliczono, że za ok. 30 lat na 100 osób w wieku produkcyjnym przypadnie 67 osób w wieku poprodukcyjnym (dzisiaj – 29).

Wieś się kształci. Wzrasta liczba absolwentów wyższych uczelni. Komputer, tablet, płatna telewizja kablowa lub sate-



litarna, telefon komórkowy to środki, którymi niemal w równym stopniu posługują się mieszkańcy wsi i miasta.

Rolnicy i mieszkańcy wsi bardziej niż mieszkańcy miast są gotowi współpracować na rzecz własnych społeczności i uczestniczyć w działalności organizacji obywatelskich. Ochotnicza Straż Pożarna, Koła Gospodyń Wiejskich, nowe wspólnoty i stowarzyszenia, także te skupione wokół parafii, idą w dziesiątki tysięcy. W sferze politycznej największym za-

interesowaniem i zaufaniem cieszy się samorząd lokalny. Jego wybory mobilizują społeczności wiejskie.

Mieszkańcy wsi i rolnicy w 80-85 proc. popierają członkostwo Polski w Unii Europejskiej. Od Unii polskie rolnictwo otrzymało wsparcie, jakiego nie miało nigdy wcześniej. Zmniejszenie dystansu rozwojowego między wsią a miastem i ograniczenie sfer wykluczenia są efektem polityki Unii.

Polska wieś – czytamy w raporcie – jest największym bastionem politycznych zwolenników Prawa i Sprawiedliwości. Od 1990 r. żadna inna partia nie zyskała wśród rolników tak wysokiego poparcia. Tak jest, chociaż rząd PiS nie wywalczył w UE żadnych korzystnych dla rolników rozwiązań instytucjonalnych ani finansowych, wprowadził niepopularną wśród rolników ustawę o ustroju rolnym, prowadził politykę zagrażającą ograniczeniem dostępu Polski do funduszy unijnych. A jednak...

W raporcie prof. Bartkowski, wnikliwie analizując to zjawisko, zwraca uwagę na wymiar kulturowy programu PiS: odwołanie się do wartości narodowych, próby reaktywowania nacjonalizmu ekonomicznego, akcentowanie wartości ziemi i utrzymania jej w polskich rękach, tradycję i dumę narodową, zwalczanie współczesnego liberalizmu, krytykę przemian formuły małżeństwa, ograniczanie możliwości aborcji itd.

Polska wieś się zmienia. Że dogłębnie i na lepsze – pokażą jesienne wybory samorządowe, gdy w Kadzidło zwycięży biblioteka.

© P

TP

Strona Świata

AUTORSKI SERWIS WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

Jordania, Azerbejdżan, Indie, Izrael, Malesja, Liban, Afganistan, Pakistan, Zimbabwe – o tych miejscach tylko w ciągu ostatniego miesiąca pisał na naszych łamach jeden z najwybitniejszych europejskich reporterów, pisarz, były korespondent wojenny, a od września 2017 r. – dziennikarz „Tygodnika Powszechnego”, Wojciech Jagielski.

Zapraszamy do śledzenia jego wpisów w autorskim serwisie Strona Świata, dostępnym bezpłatnie pod adresem: tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata



GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 A tu teraz będzie osiedle

MAREK RABIJ

6–9 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia

ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Chrzest, chrzest,
narodowy chrzestMATEUSZ MAZZINI: PiS pozwala
narodowcom na coraz więcej

24 Ludzie młodszy niż Solidarność

PIOTR STANKIEWICZ: By zakończyć
spory, potrzeba zmiany pokoleniowej

26 PZPN robi z nas frajerów

RAFAŁ ROSTKOWSKI: Zbigniew Boniek
przyjął do pracy z reprezentacją trenera
skazanego za korupcję

■ ■ WIARA

30 I się idzie, medytuje

ROZMOWA Z ROMANEM
BIELECKIM OP: Każda pielgrzymka
jest metaforą życia

34 Bóg kocha życie

PIOTR SIKORA o zmianie katolickiego
stosunku do kary śmierci

36 Czwarty Świat woła

MISZA TOMASZEWSKI: Życie osób
doświadczających nędzy i ucisku
ma szczególną głębię teologiczną

38 Rower na peryferiach

KS. ADAM BONIECKI

■ ■ OPINIE

40 Wieczna polityka Kremla

ROZMOWA Z TIMOTHY SNYDEREM:
Jak słaba Rosja kręci światem

■ ■ ŚWIAT

44 Kości niezgody

KATARZYNA KOBYLARCZYK:
Rząd w Madrycie chce ekshumować
generała Franco

GRAŻYNA MAKARA

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Polska nowa wieś

MAREK RABIJ

Jak to możliwe, że w kraju, w którym większość
mieszkańców ma chłopskie korzenie, mało kogo
obchodzi, co naprawdę dzieje się na wsi?

14 Maść na Brukselę

ROZMOWA Z PROFESOREM JERZYM WILKINEM:

Dzień, w którym polska wieś uświadomi sobie,
że pieniądze z Unii powoli się kończą, może być
początkiem końca Polski w zjednoczonej Europie.

■ ■ FELIETONY ■

29 ANNA DZIEWIT-MELLER

39 SZYMON HOŁOWNIA

61 ANDRZEJ STASIUK

74 JAN KLATA

75 PAWEŁ BRAVO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okladka: OJCIEC ROMAN BIELECKI OP
Fotografia: WOJCIECH SKRZYPCZYŃSKI dla „TP”
Redaktor prowadzący: MICHAŁ OKOŃSKI

KOMUNIKAT DLA CZYTELNIKÓW

Ze względu na przypadające w środę święto następne
wydanie „Tygodnika” ukaże się w sprzedaży kioskowej
już we wtorek, 14 sierpnia. Wydania cyfrowe „TP”
będą dostępne w sprzedaży tego samego dnia wieczorem.

49 Rudowłosa Maria i pięć
kroków w niepewnośćANNA ŁABUSZEWSKA
o rosyjskiej agentce w USA

52 Na południe od Sahary

JOANNA MAKOSA: O migracji
do Europy myślą miliony
Afrykańczyków

■ ■ HISTORIA

54 Przystanek Anny

BEATA KOWALIK: Anna Żarnecka
z Syberii trafiła do Meksyku. Została
tam jedną z najsłynniejszych Polek

■ ■ NAUKA

58 Światło, które niszczy

WOJCIECH BRZEZIŃSKI:
Czy militarne zastosowania
światła są realne?

■ ■ KULTURA

62 Herbert i jego Pan

RYSZARD KOZIOŁEK: Wiersze
z kryształu, żywot z papieru

67 Pan z trąbką

KAJETAN PROCHYRA: Tomasz
Stańko był fenomenem. Pożegnanie

70 Wojny trolli

JAKUB MAJMUREK: Humor Barona
Cohena w czasach postprawdy
i fake newsów

72 Rycerz z kamerą

ANITA PIOTROWSKA o filmie
„Człowiek, który zabił Don Kichota”

73 Warto zobaczyć w TV

74 Miasteczko czasu wojny

LEKTOR o książce Zbigniewa
Karpińskiego „Wspomnienia”

■ ■ WAKACJE

76 Czas na negatyw

MICHAŁ MILCZAREK:
Tęsknota za syberyjską zimą

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller,
ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Spornik
(kierownik), Błażej Strzelczyk
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc,
Michał Okoński, Marek Rabin, Mariusz Sepiolo,
Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszevska, Wojciech Pięciak (kierownik),
Marcin Żyła Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,

Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietyści: Wojciech Bonowicz,
Anna Dzięwit-Meller, Szymon Hołownia,
Jan Klata, Stanisław Mancewicz,
Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak,
Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek
Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech
Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Drągula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík,
ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz,
Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław
Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kosińska,
Ryszard Koziołek, Stanisław Lubieński, Szymon
Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski,
Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski,

Małgorzata Noculi, Magdalena Nowicka-Franczak,
Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica,
Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski,
Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś,
Agnieszka Sabor, Tadeusz Stawek, Michał Sowiński,
Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak,
Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda,
Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoredakcja: Edward Augustyn,
Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak,
Marta Makowska-Bogucka, Artur Strzelecki
(kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frotow,
Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne:
Maja Kuczińska (kierownik), Marta Filipiuk-
Michniewicz, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik

Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków,
ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11,
redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70,
reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie technolo-
giczne dla „Tygodnika Powszechnego”



Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje
„Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZĘGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.
■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.


 OBRAZ
TYGODNIA

A TU TERAZ BĘDZIE OSIEDLE

Ustawa, którą media nazwały „lex deweloper”, nie musi zrodzić urbanistycznego chaosu, jeśli władze gmin wykażą się zdrowym rozsądkiem i chęcią współpracy z mieszkańcami.

MAREK RABIJ

1 SIERPNIA PREZYDENT ANDRZEJ DUDA PODPISAL uchwaloną w ekspresowym tempie „Ustawę o ułatwieniach w przygotowaniu i realizacji inwestycji mieszkaniowych oraz inwestycji towarzyszących”, którą potocznie nazwano „lex deweloper”. Nowe przepisy istotnie wprowadzają sporo proceduralnych ułatwień dla inwestorów i mają skrócić czas przygotowania inwestycji mieszkaniowej z pięciu lat do roku. Jądro ustawy stanowi zapis, *de facto* wprowadzający nowy rodzaj pozwolenia na budowę – decyzję w sprawie ustalenia lokalizacji inwestycji mieszkaniowej, która umożli-

wi postawienie budynków mieszkalnych nawet wbrew zapisom planów miejscowych zagospodarowania przestrzennego.

Krytyka, jaka spadła na projekt, nie zrobiła na prezydencie wrażenia. Nie przekonali go urbanisci z Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju PAN, którzy ostrzegali w komunikacie, że ustawa „wprowadza tylnymi drzwiami podstawy do dalszej anarchii przestrzennej”, a poza tym będzie „źródłem wielu konfliktów społecznych i przyczyni się do eskalacji konfliktów politycznych w samorządach”. Do głowy państwa nie trafiły nawet

*Stobnica między
Obornikami
a Wronkami:
zamek
na wyspie
w Puszczy
Noteckiej.
Inwestorem
planowanego
tam hotelu jest
spółka DJT.
Zdjęcie z drona,
lipiec 2018 r.*

→

→ argumenty Kolegium ds. Służb Specjalnych Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, że „tak duża swoboda rady gminy (...) może stanowić pokusę do podejmowania decyzji w oparciu o czynniki pozaprawne”.

W Polsce brakuje mieszkań – to prawda. Od unijnej średniej 435 mieszkań na tysiąc mieszkańców dzieli nas ok. 2,8 mln lokali do zbudowania. Prawdą jest i to, że plany zagospodarowania przestrzennego pokrywają jedynie 16 proc. powierzchni polskich miast, a ich roczny przyrost wynosi 1 proc., trudno więc nazwać je narzędziem skutecznie porządkującym ład urbanistyczny. Krótsza ścieżka legislacyjna ułatwi zagospodarowanie terenów pokolejowych czy powojkowych, a samo wejście w życie ustawy nie daje deweloperom wolnej ręki, bo decyzja w sprawie pozostanie w gestii rady gminy.

Szkopuł w tym, że to nie brak gruntów budowlanych hamuje rozwój rynku mieszkaniowego. Polskie miasta oferują dziś tereny pod budownictwo jedno- i wielorodzinne, na których można osiedlić do 60 mln osób. Prawdziwą barierą są ceny, zbyt wysokie w porównaniu do średnich zarobków. Firma doradcza Deloitte w opublikowanym właśnie zestawieniu cen nieruchomości mieszkalnych w Europie oszacowała średni polski koszt zakupu metra kwadratowego mieszkania na 1212 euro, co oznacza, że przeciętny dochód domowy w Polsce wystarcza na zakup 4,9 metra kwadratowego. To jeden z najgorszych wyników w Europie.

Nie wiadomo, z czego bierze się przekonanie prezydenta i rządu, że samo ułatwienie deweloperom dostępu do miejskich gruntów obniży ceny mieszkań, bo wiele wskazuje na to, że nowa ustawa ułatwi przede wszystkim inwestycje w najdroższe apartamenty w tzw. dobrych dzielnicach, które chronią miejscowe plany zagospodarowania. Jeśli ziści się ten scenariusz, w polskich miastach nie przybędzie mieszkań, zwiększy się za to urbanistyczny chaos.

Wszystko zatem w rękach radnych. Czują się Państwo uspokojeni?

©© MAREK RABIJ



GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA GAZETA

MIŁOŚĆ, PRZYJAŹŃ, POLITYKA. To ciągle Woodstock, choć 24. edycja jednego z największych festiwali muzycznych świata odbyła się w minionym tygodniu pod nową nazwą: Pol'and'Rock Festival. Jerzy Owsiak szacował, że kurz – jak zawsze wszechobecny na terenie imprezy w Kostrzynie nad Odrą – „wciągało” w tym roku od 500 do 700 tys. młodych ludzi. Strażacy z Niemiec schładzali uczestników wodą, w warsztatach zaś i spotkaniach organizowanych m.in. przez organizacje pozarządowe mówiono sporo w kontrze do rządu. Pierwszy Przystanek Woodstock odbył się w 1995 r. nad jeziorem Żarnowieckim – jako podziękowanie dla wolontariuszy Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy za ich wielomiesięczną pracę. ©© ŻYM

Sędziowie najwyżsi idą na wojnę

ANDRZEJ STANKIEWICZ



SĘDZIOWIE SĄDU NAJWYŻSZEGO WESZLI na ścieżkę otwartego sprzeciwu wobec działań obozu władzy. Na naszych oczach powstają w państwie dwa wrogie systemy prawne. Chaos jest o krok.

Sędziowie zwrócili się do Trybunału Sprawiedliwości UE z pytaniami dotyczącymi niektórych zapisów ustawy o Sądzie Najwyższym. Do czasu uzyskania odpowiedzi zawiesili stosowanie trzech artykułów dotyczących przechodzenia w stan spoczynku sędziów, którzy ukończyli 65. rok życia.

Obóz władzy po wyjściu z szoku zarzucił sędziom łamanie prawa. Oczywiście decyzja sędziów nie ma precedensu. Ale trudno nie zauważyć sytuacji, w której sędziowie sięgnęli po tę „broń atomową”. Wcześniej PiS spacyfikowało i obsadziło nie zawsze wysokiej klasy prawnikami Trybunał Konstytucyjny i Krajową Radę Sądownictwa.

Sąd Najwyższy mógł więc albo czekać na egzekucję na tę samą modłę, albo zacząć działać.

Ostatnia decyzja oznacza, że Sąd Najwyższy dokonuje korekty swych działań wobec władzy. Jeszcze rok temu – gdy prezydent wetami zatrzymał masową czystkę pod dyktando Zbigniewa Ziobry – sędziowie postawili na delikatny flirt z Pałacem Prezydenckim. Dokonali uników, by nie zaszkodzić Dudzie w rozprawach dotyczących legalności wyboru sędziny TK Julii Przyłębskiej oraz poprawności ułaskawienia Mariusza Kamińskiego.

Zmiana polityki Dudy, który wrócił na łono PiS, wymusiła zmianę w postawach sędziów. Można jej było dokonać głównie poprzez presję sędziowskiej większości na pierwszą prezes SN Małgorzatę Gersdorf. Nie przypadkiem skłonna do zaskakujących wolt i prób dogadania się z władzą Gersdorf nie jest twarzą obecnego ruchu SN. Zastąpił ją w tej roli sędzia Michał Laskowski, w relacjach z władzą uważany za jastrzębia. Dziś to on lepiej oddaje nastroje w najważniejszym sądzie w Polsce. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl

W SKRÓCIE

NA URODZINACH. Podczas obchodów 70. urodzin Antoniego Macierewicza Jarosław Kaczyński wyznał, że nie może jeszcze mówić o tym, dlaczego ów polityk przestał być ministrem obrony, a poza tym uczutowano, wznoszono toasty i śpiewano (m.in. Jan Pietrzak, Leszek Czajkowski i Ryszard Mankowski) piosenki patriotyczne. „Kto agentów precz pogonił? Pan Antoni. Kto nie złożył nigdy broni? Pan Antoni. Kto się draniom nie pokłoni? Pan Antoni. Przed kim nadal drżą czerwoni? I nie tylko czerwoni” – brzmi tekst naszej ulubionej.

W CZOŁGU. Na urodzinach zabrakło, niestety, premiera Morawieckiego: wybrał uczestnictwo w pikniku cystersów w Żarnowcu, gdzie – jak donoszą media – wszedł do ustawionego na terenie imprezy czołgu oraz strzelał wraz z synem na strzelnicę.

W SĄDZIE. Z laudacji pod adresem jubilata wynika, że powinien zostać kandydatem na sędziego Sądu Najwyższego, gdzie trzeba się cechować „nieskazitelnym charakterem”. Mógłby zastąpić np. Adama Tomczyńskiego, o którego charakterze pisze na stronie „TP” Kalina Błażejowska, przywołując rozpowszechniane przezeń na Twitterze seksistowskie zdjęcia i dowcipy.

W RADIU. Poza tym jest bardzo gorąco, co widać choćby w wypowiedzi min. Krzysztofa Szczerskiego w radiowej Trójce, który zwraca uwagę, że „prezydentura Andrzeja Dudy przypadła na trudny okres polskiej polityki, okres drastycznego zaostrzenia konfliktów” i że „prezydent to jedyna osoba w polityce, która działa ponad tym sporem, która nie dała się w to wciągnąć”.

NA FESTIWALU. Ośmielilibyśmy się zasugerować ministrowi kontakt z zimną wodą, gdyby nie pamięć o oporze polskich strażaków przed polewaniem uczestników festiwalu Pol'and'Rock: organizator imprezy Jerzy Owsiaś do chłodzenia gorących głów musiał ściągnąć strażaków z Berlina, a wszystko, co niemieckie, nie kojarzy się władzy najlepiej.

Afryka: kto zabił rosyjskich dziennikarzy?

ANNA ŁABUSZEWSKA



W REPUBLICIE ŚRODKOWOAFRYKAŃSKIEJ mieli zrobić film dokumentalny o „wagnerowcach” – rosyjskich żołnierzach z niby-prywatnej „cichej armii”, operujących na Ukrainie i w Syrii, a teraz też w Afryce. Nie zrobili. Dziennikarz Orhan Dżemal, reżyser Aleksandr Rastorgujew i operator Kirill Radczenko zostali zastrzeleni w drodze na spotkanie z informatorem. Według świadectwa ich kierowcy, który przeżył, z krzaków wyskoczyli jacyś ludzie i otworzyli ogień. Rosyjskie media podają różne wersje; według jednej dziennikarze nie zginęli od razu, lecz byli przesłuchiwać. Inaczej niż w sprawie aresztowanej w USA Rosjanki Marii Butiny [patrz tekst w dziale Świat – red.], rosyjskie MSZ umyło ręce i oświadczyło, że zabici pojechali do Afryki, mając tylko wizy turystyczne.

Dżemal, Rastorgujew i Radczenko realizowali projekt na zlecenie Centrum Dochodzeń, sponsorowanego przez Michaiła Chodorkowskiego – oligarchy, który wszedł w konflikt z Putinem i trafił do więzienia, a dziś żyje na Zachodzie. Film miał opowiadać o tym, co w RŚA robią „wagnerowcy”. Publikacje o tym kierunku ich aktywności pojawiały się w mediach rosyjskich już wcześniej. Według jednej z hipotez mają chronić złoża surowców, np. złota. Według innej mają być jednym z narzędzi, dzięki którym Rosja wypiera Francję z RŚA, kraju bogatego w rzadkie surowce.

Materiał gromadzony przez dziennikarzy dotyczył wrażliwych sfer – na tyle wrażliwych, że ktoś postanowił się ich pozbyć. ©

Więcej na blogu autorki:

<http://labuszevska.blog.tygodnikpowszechny.pl>



LUIS TATO / AFP / EAST NEWS

QUO VADIS ZIMBABWE?

Wybory prezydenckie – pierwsze, jak wierzono, autentyczne wybory po odsunięciu dyktatora Roberta Mugabego – wygrał Emerson Mnangagwa. Ten dawny towarzysz Mugabego objął po puczu w listopadzie 2017 r. Teraz miał dostać 51 proc. głosów. Opozycja uważa, że wybory sfalszowano. W Harare, stolicy kraju, doszło do starć demonstrantów z wojskiem, padli zabici.

© WP / FAZ, ARD

USA: zagrożone wybory

PRZEDSTAWICIELE ADMINISTRACJI USA ostrzegają, że Rosjanie mogą próbować wpłynąć na listopadowe wybory do Kongresu. Koordynator tajnych służb Dan Coats mówił, że Rosja prowadzi kampanię, by „osłabić i podzielić Stany”; aktywni są m.in. rosyjscy hakerzy. Coats mówił: „Zagrożenie jest realne i robimy wszystko, byśmy mieli uczciwe wybory, do których wyniku nasz naród będzie mógł mieć zaufanie”. Celem Rosji jest „zniszczenie naszych demokratycznych wartości i wbicie klina w sojusze”.

Na pytanie, czy stoją za tym rosyjskie podmioty, czy też Kreml, Coats odparł: „Jedno i drugie”. W podobnym tonie głos zabrali Kirstjen Nielsen (szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego), John Bolton (doradca Białego Domu ds. bezpieczeństwa), szef FBI Christopher Wray i szef NSA Paul Nakasone. „Wolne i uczciwe wybory to fundament naszej demokracji. One właśnie stały się celem naszych wrogów” – mówiła Nielsen.

Niedawno na szczycie w Helsinkach Putin demontował, jakoby Rosja ingerowała w wybory w USA. Trump przyznał mu rację – aby kilka dni później stwierdzić, że się przejęczył.

© WP / DPA, REUTERS

Religijne bystrzaki

KS. JACEK PRUSAK SJ



PODCZAS PRZEMÓWIENIA W JEZUICKIM CENTRUM DUSZPASTERSKIM w Edynburgu dyrektor Watykańskiego Obserwatorium Astronomicznego Guy Consolmagno SJ powiedział: „Moimi najważniejszymi słuchaczami, kiedy jeżdżę po świecie z wykładami, są katolicy, którzy boją się nauki albo ostatni raz mieli z nią do czynienia w szkole. Teraz słyszą wokół siebie zbyt wiele głosów, które chcą wyrugować religię uważając, że nauka im w tym pomoże”. I dodał: „Katolicy nie powinni bać się nauki, wręcz przeciwnie: powinni się na nią otwierać – nie pozwólcie ateistom jej wam wykraść”, bo to „religia wynalazła naukę, nasze uniwersytety wynalazły naukę uważając, że zajmowanie się nią jest poznawaniem Boga”.

Jego apel nie jest oczywiście wezwaniem do nowej krucjaty czy zachętą do wszczęcia wojny kulturowej z rzecznikami „nowego ateizmu”, wręcz przeciwnie: jest przypomnieniem katolikom, że uprawianie nauki jest modlitwą i służbą Kościołowi oraz światu, a także ich historycznym wkładem w rozwój kultury. Jezuicki astronom przypominał, że jednym z trzech największych fizyków, oprócz Einsteina oraz Newtona, był znany z pobożności Szkot James Clerk-Maxwell, a jedna z najbardziej renomowanych uczonych na Wyspach, badaczka meteorytów Monica Grady, jest katoliczką. Bycie dobrym katolikiem nie oznacza bycia wrogiem nauki, tylko jej pasjonatem, i nie ma powodów, aby wybierać między religią a rozumem. © P

W Kościele ostro o PiS

BISKUPI CORAZ CZĘŚCIEJ I CORAZ GŁOŚNIEJ przestrzegają przed angażowaniem się w Kościele w popieranie partii rządzącej. „Trzeba sobie jasno powiedzieć, że jest to związek, który nie służy Kościołowi i powoduje osłabienie wolności głoszenia, wkładając Kościół w doraźne układy” – mówi abp Wojciech Polak w najnowszym numerze miesięcznika „W drodze”. Prymas Polski przyznaje, że przestrzega przed tym zwłaszcza księży. „W Kościele mamy ludzi o różnych poglądach i musimy o tym pamiętać” – przypomina.

Duże poruszenie w mediach wywołała niedawna wypowiedź biskupa gliwickiego Jana Kopca, który w rozmowie z KAI grzechem nazwał „pobłażanie dla procesu »upartyjniania« państwa przez jedną opcję”. „Reforma państwa, która zawsze jest potrzebna, tego nie wymaga” – stwierdził śląski hierarcha i przekonywał, że „zawsze powinna być zagwarantowana niezależność sądów od władzy politycznej”.

Komentując tę wypowiedź portal natemat.pl przytacza wypowiedzi diecezjan, którzy nie pamiętają, aby wcześniej ich ordynariusz tak jednoznacznie wypowiadał się w kwestiach życia publicznego. © P ASK

W SKRÓCIE

STRATA CZASU. Tawadros II, patriarcha prawosławnego Kościoła koptyjskiego, zamknął swój profil na Facebooku, twierdząc, że korzystanie z mediów społecznościowych to strata czasu. Egipski dziennik „Al-Ahram” informuje, że w ślad za swoimi przełożonym pójdą inni duchowni koptyjscy.

ŚWIĘTE OBURZENIE. Z kolei w Polsce korzysta się z mediów społecznościowych. Prawicowi katolicy komentują zmianę punktu 2267 KKK, w którym Franciszek uznał karę śmierci za niedopuszczalną: „Kolejna fatalna wiadomość słabego pontyfikatu” (Łukasz Warzecha); „W ramach porządku po obecnym zamęcie przyszedł papież będzie musiał nadać katolicki sens temu nauczaniu” (Michał Barcikowski); „Papież uruchamia kolejne procesy gnیلne” (Tomasz Rowiński).

I JESZCZE JEDNO. Trwa również dyskusja po zdarzeniach w parafii pw. Edwarda Detkensa w Warszawie, gdzie po śmierci Kory miejscowy proboszcz ks. Wojciech Drozdowicz, grając na suzafonie, wykonał na zakończenie mszy utwór „Krakowski spleen”. W minionym tygodniu w tym samym kościele organista zagrał utwór z repertuaru zmarłego Tomasza Stańki.

A POZA TYM. Zakończył się Przystanek Jezus, podczas którego młodzi katolicy głosili Słowo Boże na Pol'and'Rock Festival. W Warszawie kard. Nycz otworzył nową jadłodajnię dla bezdomnych. Włóscy salezianie ruszyli z akcją „Jestem tobą zainteresowany”, która ma pomóc bezdomnym małoletnim imigrantom. Papież przekazał 10 tys. euro na pomoc uchodźcom z Jemenu. Na Jasną Górę docierają pierwsi pielgrzymi.

LICZBA TYGODNIA

1000

o tyle mniej ślubów kościelnych zawarto w Polsce w pierwszej połowie 2018 r. niż w analogicznym okresie 2017 r. – wynika z badań demografów z Uniwersytetu Łódzkiego.



MARTIN BERNETTI / AFP / EAST NEWS

Episkopat Chile prosi o wybaczenie

PIĘĆ DNI TRWAŁY OBRADY chilijskiej Konferencji Biskupów w minionym tygodniu, a ich głównym tematem był problem molestowania seksualnego przez duchownych, który od miesięcy wstrząsa tamtejszym Kościołem. Po tych pięciu dniach biskupi poprosili publicznie ofiary molestowania o wybaczenie. „Nie wypełniliśmy naszych obowiązków jako duszpasterze, gdyż nie słuchaliśmy, nie wierzyliśmy i nie troszczyliśmy się o ofiary ciężkich grzechów i niesprawiedliwości dokonywanych przez księży” – mówił bp Santiago Silva, przewodniczący Episkopatu. Biskupi zapowiadają, że odtąd będą ściśle współpracować z prokuraturą i chcą spotkać się osobiście z ofiarami.

Chilijski wymiar sprawiedliwości prowadzi śledztwa przeciw 158 duchownym i świeckim pracownikom Kościoła. Mowa jest o 266 ofiarach, z czego 178 to dzieci i nastolatki. Niektórym biskupom zarzuca się, że chronili sprawców. Np. były biskup Osorno, Juan Barros, miał latami ochraniać byłego już księdza i wychowawcę Fernanda Karadimę. Także obaj chilijscy kardynałowie, Ricardo Ezzati i Francisco Errázuriz, są podejrzańi o tuszowanie; Ezzati zostanie wkrótce przesłuchany.

W maju br. wszyscy chilijscy biskupi oddali się do dyspozycji papieża. Franciszek przyjął dotąd dymisje pięciu (w tym bp. Barros). Wcześniej, w kwietniu, papież przyznał, że popełnił „poważne błędy” w ocenie sytuacji w Chile, wyrażając swój wstyd i ból wobec ofiar. © P WP / AFP, DPA, SDA

Francja: zakaz smartfonów w szkołach

PARLAMENT W PARYŻU przyjął ustawę, na mocy której od nowego roku szkolnego uczniowie poniżej 15. roku życia nie będą mogli na terenie szkoły ani podczas szkolnych wycieczek używać urządzeń łączących się z internetem: smartfonów, tabletów czy smartwatchów (wolno będzie je posiadać, lecz nie używać). W przypadku starszych uczniów szkoły średnie mogą wprowadzić taki zakaz, jeśli uznają to za właściwe, lecz nie są do tego zobowiązane.

Wprowadzenie całkowitego zakazu – bo od 2010 r. we Francji obowiązuje ustawa zakazująca używania komórek podczas lekcji – było jedną z obietnic, które prezydent Macron złożył podczas kampanii wyborczej. Zakaz poparli posłowie partii prezydenckiej En Marche! i liberałowie. Posłowie lewicowi i konserwatywni wstrzymali się, twierdząc, że to rozwiązanie nie-



wykonalne (konserwatyści), lub że ma charakter „tylko kosmetyczny” (socjaliści).

Zwolennicy zakazu argumentują, że uczniowie będą lepiej koncentrować się na nauce, a atmosfera w szkole się polepszy. Zakaz ma ułatwić też walkę z mobbingiem – często polega on na tym, że uczniowie filmują komórkami bicie lub poniżanie, a potem udostępniają nagrania w internecie. Od zakazu będą wyjątki: użycie smartfonów będzie dopuszczalne dla celów dydaktycznych i w razie wypadków, by wezwać pomoc. Ograniczenie nie dotyczy też dzieci niepełnosprawnych.

Agencja prasowa AFP szacuje, że dziewięcioro na dziesięcioro francuskich nastolatków w wieku 12-17 lat posiada smartfon. © WP / NZZ, AFP



BARTOSZ DOMICZEK

ARCHETYP SCHRONIENIA. Bartosz Domiczek, autor „Northern Wisps” – projektu kabin turystycznych na islandzkich wzgórzach Thórsörk – mówi, że wywodzą się one od konstrukcji namiotowych budowanych wokół ogniska; nawiązują też do czarnego monolitu z „2001. Odysei kosmicznej” Stanleya Kubricka. Projekt Domiczka wygrał konkurs na wizualizację architektoniczną organizowany przez Ronena Bekermana (zob. na www.ronenbekerman.com). © P AG

Ciężkie lekkie odwodnienie

ŁUKASZ LAMŻA



WLIPCOWYM NUMERZE „Medicine and Science in Sports and Exercise” ukazał się artykuł (M. Wittbrodt i M. Millard-Stafford, „Dehydration Impairs...”) będący największą dotychczas analizą negatywnych skutków nieznacznego odwodnienia. Lekarze sportowi i wojskowi od lat świetnie znają spadające wraz z odwadnianiem się organizmu statystyki; zwykle jednak bada się przypadki ostre. Utrata wody równoważnej 8-10 proc. masy ciała prowadzi do splątania i przywidzeń, a wręcz zagrożenia życia. Odwodnienie rzędu 5 proc. redukuje dwu- lub nawet czterokrotnie czas reakcji, zdolność do zapamiętywania i uważność. Co jednak z tymi mniej dramatycznymi przypadkami, które jednak dotyczą nie tylko sprintera na upale i żołnierza w Iraku, ale każdego z nas, codziennie?

Autorzy artykułu przeanalizowali dziesiątki artykułów, skupiając się na efektach występujących przy utracie wody zbliżonej do 1-2 proc. masy ciała. Już przy odwod-

nieniu wynoszącym 1,5 proc. badani częściej popełniali błędy w niektórych zadaniach wymagających spostrzegawczości i uważności; nieco wolniej przychodziło im też przywoływanie dopiero co poznanych faktów. Przy 2,5 proc. odwodnienia występuje już wyraźnie słabsza koordynacja ręka-oko: ręka jest mniej stabilna, gorza jest też ocena odległości.

Jeden procent masy ciała to w przypadku autora tego tekstu 0,7 litra wody. Nawet mało intensywny wysiłek, ale dokonujący się w temperaturze 35°C, potrafi pozbawić mnie takiej ilości wody w ciągu 2-3 godzin. Jogging załatwi to w godzinę. Jazda w rozgrzanym samochodzie przez 3 godziny bez przyjmowania płynów w zasadzie gwarantuje, że będę miał gorszą spostrzegawczość i czas reakcji. I teraz haczyk – odwodnieniu rzędu 1-2 proc. masy ciała wcale nie musi towarzyszyć uczucie pragnienia. Ba! Jednym ze skutków ubocznych braku wody jest... nieprawidłowa ocena stopnia własnego odwodnienia. ©

POLSKA NOWA WIEŚ

Jak to możliwe, że w kraju, w którym większość mieszkańców ma chłopskie korzenie, mało kogo obchodzi, co naprawdę dzieje się na wsi?

MAREK RABIJ

W OGÓLNOPOLSKICH MEDIACH NIEDŁUGO ma ruszyć niecodzienna kampania informacyjna. Sfinansuje ją Ministerstwo Rolnictwa, ale treść ma dotrzeć do mieszkańców miast i tych, którzy niedawno przeprowadzili się na wieś. Z opłaconych za publiczne pieniądze komunikatów obywatele dowiedzą się m.in., że na wsi musi czasem zaśmierdzić obornikiem, maszyny rolnicze hałasują, krowy i kury nie znają pojęcia ciszy nocnej, a pył niesiony przez wiatr z polnych dróg nie musi oznaczać, że ktoś nie posprzątał posesji.

Nonsens? Jak w takim razie nazwać coraz częstsze skargi na zakłócanie porządku, które policja dostaje od świeżo upieczonych mieszkańców wsi, którym po przeprowadzce z miasta zaczyna doskwierać sąsiedztwo gospodarstw rolnych?

„Stop. Wieś – teren pracy rolnika” – plakaty tej treści rozkleja po wsiach od kilku tygodni Dolnośląska Izba Rolnicza, a jej szef Leszek Grała przyznaje, że do działania zmobilizował go los kolegi spod Oławy, ukaranego na początku lipca 500 zł mandatu za zakłócanie porządku po skargach sąsiadów z osiedla domów jednorodzinnych, które wyrosło mu za miedzą. W innym okręgu jakiś świeżo osiadły na wsi alergik wezwał w maju policję do pyłącego mu za oknem rzepaku.

Nietrudno zgadnąć, co myślą o tym ludzie żyjący od pokoleń z pracy na roli.

Trudniej odpowiedzieć na pytanie, czym jest dziś wieś dla nierolniczej reszty Polski.

Miasto się przegląda

Spośród 289 tys. osób, które w 2016 r. zmieniły w Polsce stały adres zamieszkania, aż 101 tys. przeprowadziło się na wieś. Do miasta przeniosło się w tym czasie niespełna 75 tysięcy. Rzecz jasna, w wielu przypadkach „na wieś” oznaczało po prostu przeprowadzkę tuż za rogatki miast, gdzie ceny nieruchomości nadal są średnio o 30 proc. niższe niż w ścisłym centrum, nie ulega jednak wątpliwości, że kierunek migracji wewnętrznych skreślił w stronę obszarów wiejskich. Ostatni raz przewagę liczby mieszkańców przenoszących się do miasta nad tymi, którzy wolą wieś, GUS wychwycił w swoich danych w 1998 r.

Niższe ceny wiejskich nieruchomości i wspomniane zjawisko tzw. suburbaniacji z pewnością tłumaczą wiele, w gruncie rzeczy stanowią jednak składowe szerszego fenomenu, jaki ukazują kolejne badania socjologiczne: ponownego otwarcia Polski na wieś i wiejskość. Często w dość naiwnej, idealistycznej kontrze do tego, co przez ostatnie trzy dekady kojarzyło się w Polsce głównie z miastem, czyli nadrabiania dystansu cywilizacyjnego do tzw. zachodnich standardów, wyznaczonych – a jakże – przez metropolie.

– Wieś wypiękniała, bo miasto nam zbrzydło – kwituje socjolog prof. Mirosława Marody.

Nie da się zaprzeczyć, że 14 ostatnich lat po wejściu Polski do UE stanowiło złotą epokę rozwoju obszarów wiejskich, na które do tej pory trafiło ok. 180-190 mld zł z dopłat bezpośrednich i innych programów wspólnotowych. W latach 2004-13 realne dochody polskich rolników wzrosły o ponad 64 proc., podczas gdy w gospodarstwach pracowników wzrost nie przekroczył 40 proc., a wśród prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą sięgnął ledwie 37 proc. Znacząco poprawił się również stan wiejskiej infrastruktury drogowej oraz wydajność instalacji do ochrony środowiska, nie wspominając o wyposażeniu przeciętnego gospodarstwa domowego, które pod wieloma względami nie różni się już od miejskiego. Dostęp do internetu ma obecnie 76 proc. mieszkańców miast i 70 proc. zamieszkujących wieś. Telefon komórkowy – odpowiednio 96 i 94 proc., zaś nowoczesny płaski telewizor – 86 i 84 proc.

Przeciętne gospodarstwo rolne w Polsce liczy dziś 10,65 ha i od momentu naszego wstąpienia do UE urosło o ok. 4 ha. W Zachodniopomorskiem, maceczniku polskich latyfundiów, które nierzadko liczą ponad 1000 ha, ta sama średnia skacze do 30 ha. Pierwszą i najbardziej bolesną fazę kuracji z postpańszczyźnianego rozdrobnienia polska wieś ma za sobą, bo od 2003 r. z baz Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa wykreślono ponad 770 tys. gospodarstw rolnych, ➔



Pani Regina Drązek, poniżej: Anna i Bogdan Woźniczowie, Brzegi



→ głównie tych najmniejszych, żyjących z 2-4 ha użytków rolnych. Ich właściciele albo zasilili nową grupę zawodową współczesnej polskiej wsi, którą tworzy już ponad ćwierć miliona robotników rolnych zatrudnianych przez duże gospodarstwa, albo znaleźli pracę poza rolnictwem. Dziś – jeśli spojrzeć na dane GUS – działalność gospodarcza na wsi przybiera najczęściej formę sklepu, warsztatu samochodowego, rodzinnej firmy budowlanej, ewentualnie transportowej. Wyłącznie z uprawy roli żyje już tylko 10 proc. mieszkańców wsi.

Etos pracy rolnika? Pośród tych zmian ma się zaskakująco dobrze. Z jednej strony uwolnił się od prząsłego wizerunku chłopaka małopolskiego. Z drugiej – jak pokazują badania dr Iwony Burzyńskiej z Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN – rolnicy nadal bronią się przed traktowaniem swojej pracy jako jeszcze jednej formy robienia interesów. Mimo że sporo składowych ich codzienności niewiele lub wcale nie różni się od robienia interesów w innych branżach, a na koniec dnia i tam, i tu liczy się wynik finansowy, uprawa roli jest nadal dla polskich rolników czymś więcej niż tylko sposobem zarabiania na życie. Czym? Po trosze misją, kontynuacją dziedzictwa przodków, a w części po prostu najbardziej archetypiczną z ludzkich aktywności, która nie potrzebuje dodatkowych etykiet.

Specjaliści od ekonomiki rolnictwa załamują ręce, podkreślając, że wieś sama obniża sobie w ten sposób rentowność, ale w bilansie są też korzyści ważne społecznie. W rankingach prestiżu zawód rolnika indywidualnego, gospodarującego samodzielnie na własnej roli, od kilku lat mieści się w czołówce, tuż obok lekarza, oficera zawodowego Wojska Polskiego i niewiele niżej od inżyniera w fabryce. Najwyraźniej dla wielkomiejskiej Polski, zmęczonej nie-

To wieś – nie miasto –
jest przestrzenią, w której
marzenie o modernizacji
postępuje najszybciej.

Ponad 40 proc.
mieszkańców miast
uważa ją za
**wymarzone miejsce
do zamieszkania.**

ustannym poczuciem socjalnej niepewności, wiejska samowystarczalność w harmonii z naturą ma w sobie coś pociągającego.

Kapiący kapitalizm

A może to coś więcej niż tani sentymentalizm w stylu Jeana-Jacques'a Rousseau? Może to sięgająca głębiej dezaprobaty dla dotychczasowego modelu rozwoju kraju opartego na wielkich ośrodkach miejskich? Od 1989 r. w dyskusji o przyszłości Polski mówi się przecież głównie o Warszawie, Wrocławiu i pozostałych aglomeracjach. Wielkomiejski brak zrozumienia dla wsi przybrał nawet oficjalną postać programu prorozwojowego Polska 2030, w którym jego autorzy z Platformy Obywatelskiej postawili na scenariusz rozwoju kraju oparty na „teorii skapywania” – założeniu, że środki skoncentrowane w największych miastach prędzej czy później zaowocują poprawą jakości życia także na prowincji. Dla przeciętnego pracownika sektora usługowego w dużym mieście, który co prawda dziś cieszy się tzw. rynkiem pracownika, ale jeszcze nie

zdążył zapomnieć, czym śmierdzi kilku-nastoprocentowe bezrobocie, utożsamianie rozwoju Warszawy czy Krakowa z rozwojem całego kraju może brzmieć równie fałszywie jak zgrana korporacyjna narracja o sukcesie, który czeka każdego, kto się o niego „dostatecznie” postara.

W latach 90. duże miasta opowiadały Polakom o nadziei. O szansie na własne mieszkanie, wakacje za granicą, o sytych emeryturze i pozostałych atrybutach stabilizacji w zachodnioeuropejskim wydaniu. W tym samym czasie wieś przeżywała swoją dekadę wstydu. Erozia jej świata zaczęła się jeszcze przed Balcerowiczem. Kiedy jesienią 1989 r. Polska wskoczyła na główkę do wolnorynkowego basenu, proces likwidacji PGR-ów trwał już od kilku lat i nie był jedynym przejawem rejterady bankrutującego państwa z terenów wiejskich. W latach 80. sieć wiejskich komisariatów zmalała o ponad 40 proc. Podobny los, w mniejszym lub większym stopniu, spotykał również wiejskie poczty, przystanki PKS i PKP, żłobki, świetlice, biblioteki, boiska. Wolnorynkowa terapia szokowa lat 90. tylko ten proces dokończyła – w znacznie szybszym tempie, bo kolejne rządy w modernizacyjnym zapale dochodziły do wniosku, że przyszłości miast nie warto ryzykować dla biednej wsi. W rezultacie w 2003 r., kiedy Polska zgłaszała się do UE, wskaźnik PSE, obrazujący poziom wsparcia państwa dla krajowego rolnictwa, nie przekraczał w Polsce 8 proc. Średnia dla 15 krajów ówczesnej Wspólnoty sięgała w tym czasie 44 proc.

„Trwale nierentowne rolnictwo” – media kochają hasła, za pomocą których da się mocno nazwać wycinki rzeczywistości. Produkcja rolna w Polsce rzeczywiście była zbyt rozdrobniona, bo w 2004 r. pracowało przy niej aż 18 proc. Polaków, ale wkład rolnictwa w PKB nie przekraczał 4 proc. Na Węgrzech, które też szykowały się do akcesji, 5 proc. pracujących na roli przynosiło tymczasem gospodarce aż 5,1 proc. PKB. Duży areał polskich gruntów ornych pozwalał jednak na mniej rabunkową uprawę, a tym samym – wyższą jakość produktów rolnych. Nic dziwnego, że gdy w 2004 r. na naszej wsi pojawiły się unijne pieniądze, jej gospodarcza wydajność zaczęła błyskawicznie rosnąć, a w ślad za nią również poziom życia. W latach 2004-12 przeciętny dochód wiejskiego gospodarstwa domowego rósł w tempie niemal 7,5 proc. rocznie, podczas

Lukaszowi Trzcińskiemu

wyrazi serdecznego współczucia z powodu śmierci Mamy

ś.†p.

Krystyny Pilarskiej-Trzcińskiej

artystki rzeźbiarki

SKŁADAJĄ PRZYJACIELE I WSPÓLPRACOWNICY Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”



Barbara i Witold Pocentowie, Korytnica

gdy w mieście wzrost oscylował na poziomie 6,2 proc.

W rezultacie to wieś – nie miasto – jest tym miejscem, w którym polskie marzenie o modernizacji postępuje dziś w najszybszym tempie. To wieś ponad 40 proc. mieszkańców miast wskazuje jako wymarzone miejsce do zamieszkania. Rzecz jasna statystycznie w mieście wciąż zarabia się lepiej, jednak awans cywilizacyjny i poprawa jakości życia definitywnie przestały być pojęciami zastrzeżonymi dla świata wielkomiejskich wartości.

A skoro o nich mowa – i pod tym względem wieś szybko upodabnia się do miast. Do tego stopnia, że socjologowie mają coraz częściej wątpliwości, czy podział na wieś i miasto ma jeszcze badawcze uzasadnienie. Transfer wartości – jak mówią badacze – odbywa się na niespotykaną wcześniej skalę, bo w latach 80. i 90. wieś przed telewizorami kopiowała przede wszystkim wzorce konsumpcyjne. Teraz nowi sąsiedzi przenoszą tu z miast inną wrażliwość estetyczną, wzorce kulturalne oraz przekonanie o konieczności większej aktywności społecznej. W rezultacie tradycyjne wyobrażenie o niskim poziomie kapitału społecznego wsi przestaje znajdować pokrycie w rzeczywistości. Aż 68 proc. mieszkańców uczestniczy w życiu organi-

Zadomowienia

Zdjęcia towarzyszące „Tematowi Tygodnika” pochodzą z projektu fotograficznego **GRAŻYNY MAKARY** „Wszystkie śluby mojej Mamy”. Autorka zestawia w nim archiwalne zdjęcia ślubne z Urzędu Gminy w Sobkowie (województwo świętokrzyskie) ze współczesnymi, przedstawiającymi bohaterów w ich naturalnych pejzażach.

zacji samorządowych. Co drugi systematycznie bierze udział w czynach społecznych. Ponad 40 tys. kółek, kół, rad i większych stowarzyszeń tworzy coraz gęstszą sieć, w której poza miastami szybko krzepnie nie tylko trzeci sektor, ale i wiejska kultura. Mieszkańcy wciąż nie darzą wielką estymą kultury wysokiej, którą podejrzewają o dyskryminacyjne ciągotki, ale ich zainteresowanie festynami, turniejami i innymi lokalnymi imprezami kulturalnymi przeczy stereotypowemu wyobrażeniu o kulturalnej pustyni. Nawet w kwestiach parytetów płci coś drgnęło. Z badań Ilony Matysiak z Katedry Socjologii Zmiany Społecznej na UW wynika, że błyskawicznie rośnie znaczenie kobiet

w życiu publicznym wsi. Panie piastują już 38 proc. wszystkich stanowisk sołeckich w Polsce! Autorytety? W coraz mniejszym stopniu jest nim proboszcz i nauczyciel, a coraz częściej wójt – zwłaszcza taki, który potrafi łagodzić napięcia w lokalnej społeczności. Podobnie jak w mieście, autorytet przestaje być prostą funkcją urzędu. Trzeba sobie na niego zapracować.

„Wiocha” trzyma się mocno

Czy jesteśmy zatem świadkami przełomowego momentu, w którym wieś przestaje być wreszcie gorszą częścią Polski?

Niestety, jeszcze nie teraz. Gospodarczy sukces przebił się już jako tako do dyskursu publicznego, ale w innych aspektach wieś nadal funkcjonuje najczęściej jako symbol konserwatyizmu i trwania. Tak jest wygodniej. Politykom, którym wizja wsi niemająca wiele wspólnego z rzeczywistością pomaga dzielić ideologicznie wyborców (szerzej mówi o tym prof. Jerzy Wilkin w rozmowie na kolejnych stronach). Lobbyistom, którzy chętnie wcielają się w rolę „zbawców chłopa”, aby w ten sposób wygrywać konflikty dla swoich chlebobawców. Wreszcie – dla miejskiej Polski, która wiejskim zapóźnieniem próbuje wytłumaczyć się z prawie każdego grzechu.



→ W wysypce płotów i furtek, którymi obrosły nowe osiedla mieszkalne w dużych miastach, widzimy więc np. zgubny wpływ chłopskiej mentalności, którą rzekomo nadal obchodzą tylko „moja chata z kraja”. W irracjonalnym konsumpcjonizmie na kredyt – kompulsywną reakcją na biedę, jakiej zaznały poprzednie generacje. Definicja „wiochy” jako czegoś, co budzi w najlepszym razie politowanie, wciąż trzyma się mocno. Podobnie jak słowo „cham”, które nie potrafi oddzielić się od staropolskiego desygnotu parobka-prymitywa, nieczułe na fakt, że w ostatnich trzech dekadach odsetek mieszkańców wsi z wyższym wykształceniem wzrósł z 1,6 do ponad 10 proc. A przecież dzieje się to w kraju, w którym niemal 80 proc. mieszkańców ma korzenie chłopskie nie dalej jak w drugim pokoleniu!

Szkopuł w tym, że do chłopskości nie jest łatwo w Polsce się przyznać.

Mateusz Piotrowski, szef Stowarzyszenia Folkowisko: – Trzeba przypomnieć coś, co zostało wyparte z naszej pamięci i świadomości, czyli pańszczyznę. Los pańszczyźnianego chłopca niewiele różnił się od losu czarnego niewolnika na plantacji na południu USA czy na Karaibach. Trzeba głośno powiedzieć, że w Polsce przez kilkadziesiąt lat panowało właściwie niewolnictwo. A my – w przytłaczającej większości – jesteśmy potomkami tych niewolników.

Nie licząc wyjątków – jak choćby twórczość Wiesława Myślińskiego – wiejskość w polskiej kulturze nadal nie czuje się pełnoprawnym obywatelem, w odróżnieniu od nurtu sarmacko-ziemiańskiego, który rozpycha się, gdzie może. Nawet w „Katyń” Wajdy pomordowani polscy oficerowie wywodzą się np. wyłącznie z ziemiaństwa i bogatej polskiej burżuazji, nie ma natomiast wśród nich chłopów. A przecież Wajda nakręcił ten film w hołdzie zastrzelonemu w Charkowie ojcu, kapitanowi Jakubowi Wajdzie, synowi chłopca z podkrakowskiej wsi!

Szlachecki sztafaj polskiej tradycji narodowej na pewno prezentuje się ładnie w muzeum i w filmach kostiumowych. Szkopuł w tym, że sprawia trudności każdemu, kto chciałby się z nim dziś w pełni utożsamić.

© P MAREK RABIJ

Maść na Brukselę

PROF. JERZY WILKIN:

Dzień, w którym polska wieś uświadomi sobie, że pieniądze z Unii powoli się kończą, może być początkiem końca Polski w zjednoczonej Europie.

MAREK RABIJ: Co to jest wieś?

PROF. JERZY WILKIN: Łatwiej powiedzieć, gdzie ona jest.

Poproszę.

W znaczeniu administracyjnym rozciąga się zaraz za tabliczką wyznaczającą granicę miasta. Czyli tam, gdzie żyje obecnie około 39 proc. mieszkańców Polski. I tylko taki podział wieś–miasto nadal jest klarowny, bo współczesna wiejskość stała się, powiedziałbym, stopniowalna. Nie da się wrzucić do wspólnego worka małych, typowo rolniczych osad gdzieś na Roztoczu i tego, co nazywamy zintegrowanymi obszarami wiejskimi, czyli miejscowości na peryferiach aglomeracji, które coraz częściej przejmują funkcję wielkomiejskich sypialni, bo ich mieszkańcy codziennie jadą do pracy w pobliskich biurach, a na zakupy jeżdżą do tych samych centrów handlowych, co tak zwani miastowi.

Oczywiście, wymieniam tu jedynie skrajnie różne wydania współczesnej polskiej wiejskości, a między nimi można wyodrębnić jeszcze inne, choćby wsie leżące z dala od miast, ale od dawna „zderuralizowane”, jak mawiają badacze, czyli utrzymujące się z czegoś innego niż praca na roli. Żeby było jeszcze trudniej, nawet granice pomiędzy tymi podgrupami ulegają ciągłym przesunięciom. Przykładowo: ci, którzy z miasta przenoszą się na wieś, zmieniają profesję i stają się rolnikami, uprawiają jednak rolnictwo po swojemu, bo w modnym, wręcz miejskim, ekologicznym wydaniu, które prędzej czy później zaczyna mieć wpływ na sposób gospodarowania sąsiadów, a nawet system ich wartości.

Wracając zatem do pańskiego pierwszego pytania, powiedziałbym, że wieś to dziś przede wszystkim obszar szybkich zmian. Głębszych i szerszych od tych, które zachodzą w miastach.

Czy tylko ja mam wrażenie, że w polskiej polityce mówi się o zupełnie innej wsi?

Mam podobne. Politycy wolą widzieć własne wizje wsi niż samą wieś.

Tak łatwiej?

Wygodniej, bo dzięki temu mogą pozostać w kręgu oswojonych wartości i definicji. Lewica i centrum najczęściej mówią więc o wsi w kontekście zapóźnień, które ta część Polski musi nadgonić – w domyśle nadrabiając także dystans do Polski miejskiej, która ten modernizacyjny wysiłek ma już za sobą i teraz musi rzekomo utrzymywać zacofaną sąsiadkę. Prawica z kolei stawia na piedestał wiejski konserwatyzm, umiejętność pozostania sobą w obliczu zmian, również w kontrze do miasta, które tego podobno nie potrafi. Niech pan zwróci uwagę, że na polskiej scenie politycznej nie ma już żadnej liczącej się partii o pochodzeniu i programie typowo wiejskim.

Dlaczego? Ano dlatego, że w dyskursie politycznym wieś od lat nie jest podmiotem, lecz przedmiotem. Odgrywa rolę w programach politycznych, ale nie stanowi ich celu.

Zaraz, mówimy przecież o 39 proc. Polaków!

Do potencjału politycznego wsi dojdziemy. Na razie proszę zwrócić uwagę na to, że oba te tradycyjne polityczne wyobrażenia wsi mają się nijak do tego, jaka wieś jest naprawdę, bo bazują na założeniu, że ona nie zmniejsza dystansu rozwojowego do obszarów wiejskich w lepiej rozwiniętych krajach, albo robi to wolniej od miast, które szybciej doszlusowują do standardów świata rozwiniętego. Tak było, owszem, w latach 90., kiedy w następstwie decyzji władz o likwidacji właściwie wszystkich programów wiejskich, które przeszkadzały Warszawie w skutecznej walce z inflacją, wieś wpadła w biedę i stagnację. Tyle że to było prawie 30 lat temu. Współczesna wieś rozwija się w tempie szybszym od miast.

Ale różnice nadal są widoczne gołym okiem.



Marta i Ryszard Kuchtow, Sokółów

To zależy, na co pan spojrzy. Ja jestem ekonomistą, interesuje mnie przede wszystkim jakość życia i, upraszczając nieco, zaryzykuję tezę, że to wsi żyje się dziś lepiej. Średni dochód na osobę w wiejskim gospodarstwie domowym sięga już 75 proc. przeciętnego dochodu w mieście. Porównanie z małymi miastami poniżej 20 tys. mieszkańców wypadła jeszcze bardziej na korzyść wsi, która wtedy dysponuje równowartością aż 86 proc. dochodów miejskich. A trzeba dodać do tego jeszcze dostęp do własnej żywności, ulgi podatkowe dla rolników i hojne unijne programy rozwoju obszarów wiejskich. Wszystkie badania porównawcze siły nabywczej czy obszarów biedy pokazują w zasadzie to samo: wieś nie jest oczywiście bogatsza od miasta, ale w znacznie mniejszym stopniu dośkwiera jej problem powiększających się różnic majątkowych i społecznych. Obszar skrajnego ubóstwa na wsi w porównaniu z nędzą wielkich miast jest o wiele mniejszy. Aż 85 proc. mieszkańców wsi jest zadowolonych z tego, że mieszka właśnie tam.

Teoretycznie na wsi nie powinno być zatem miejsca dla PiS-u, który sprawnie zagospodarował w miastach

niezadowolony elektorat. Tymczasem ostatnie wybory partia Kaczyńskiego wygrała na wsi w cudłach i nadal cieszy się tam olbrzymim poparciem.

Niektóre sondaże dają PiS-owi nawet 70 proc. głosów wsi. Przyznam, że mnie, ekonomistę, trudno znaleźć na to wytłumaczenie, tym bardziej że aktualna polityka zagraniczna PiS wręcz zagraża interesom polskiej wsi, zasilanej hojnie gotówką przez Brukselę. Ale modelami ekonomicznymi człowiek wszystkiego nie wytłumaczy.

A co Pan widzi przez okno swojego wiejskiego domu?

Powinienem raczej powiedzieć, czego nie widzę. Np. opozycji. Podczas ostatnich wyborów prezydenckich w mojej wsi nie wypatrzyłem ani jednego plakatu Bronisława Komorowskiego.

Może go Dudą zakleili?

Może. Ale to by z kolei oznaczało, że nikomu nie chciało się przyjechać tego sprawdzić, ponaklejać nowych. A to też symptomatyczne.

Czego to dowodzi? Bo przecież nie braku zainteresowania wiejskim elektoratem?

Bardziej pewnego rodzaju bezsilności, która bierze się z braku umiejętności dotarcia do mieszkańców wsi. Dotyczy to zresztą nie tylko większości polityków, ale szeroko rozumianych elit w ogóle. Bo wie pan, wieś nie jest teraz konserwatywna i prawicowa, tak samo jak nie była lewicowa za złotych czasów SLD i Samoobrony. Wieś jest po prostu pragmatyczna. Dostrzegam to nawet podczas swoich badań. Mieszkańcy wsi zaczynają się angażować w projekty dopiero wtedy, kiedy się im wyjaśni, że będą mieć z tego wymierną korzyść, tu i teraz, a nie odsuniętą w czasie o kilkanaście lat. Wieś źle reaguje także na ogólniki. A PiS poszedł do wyborów z konkretnymi: 500 plus, zmiany w systemie dopłat do ubezpieczeń rolnych, ochrona ziemi przed wykupem przez cudzoziemców, połączenie kilku agencji rolnych w jedną. Efekt? PiS poparło na wsiach 46,8 proc. głosujących. Na PO zagłosowało zaledwie 17,3 proc.

Największym przegranym było i tak Polskie Stronnictwo Ludowe.

Głównie dlatego, że PSL na wsi przez lata pracował na wizerunek reprezentanta interesów dużego rolnictwa i lobby przetwórców rolnych.



→ **Sztandarowy projekt PiS dla wsi, czyli ustawa ograniczająca obrót ziemią rolną, był przez rolników krytykowany. Handel gruntami praktycznie zamarł.**

Tu dotykamy istoty tożsamości współczesnej polskiej wsi. Co ją dziś może konstituować? Praca na roli? Kiedyś miała taką funkcję bez wątpienia. Cykl prac rolnych, podporządkowany z kolei cykлом pór roku, stawał się naturalną podstawą zwyczajów, a w pewnym stopniu nawet systemu wartości. Tyle że dziś większość mieszkańców wsi codziennie rano po prostu rozjeżdża się po rozmaitych miejscach pracy i wspólnotowości w tym ważnym wymiarze diabli wzięli.

Z większości badań wychodzi więc, że czynnikiem, który najmocniej scala społeczeństwo polskiej wsi, jest właśnie posiadanie ziemi rolnej. Można jej nawet nie uprawiać, żyć z renty czy pracy biurowej, ale sam fakt posiadania ziemi rolnej staje się ważnym czynnikiem tożsamościowym.

Mój dziadek, gospodarz w którymś już pokoleniu, mawiał: ziemię sprzedasz dopiero wtedy, kiedy nie będziesz mieć na chleb.

W pokoleniu pańskiego dziadka takie słowa były przejawem życiowej mądrości i zapewne także dumy z bycia gospodarzem. Kolejne generacje już jej nie odczuwały. PRL wymyślił chłoporobotników, a potem, w nowej Polsce, praca na roli stała się wręcz symbolem obciachu. Rolnik równał się obłocone gumki, bałagan na podwórku, brud w domu, woda na stole.

Jerzy Kryszak, parodiując piosenkę Elektrycznych Gitar, śpiewał „ja jestem ze wsi, to widać, słysząc i czuć”.

Nie on jeden. Ale proszę zauważyć, jak szybko się to zmieniło. Wystarczyło kilka-

naście lat wiejskiej *prosperity* i dziś zawód rolnika jest jednym z cieszących się najwyższym poważaniem. Przestał być utożsamiany z biedakami gospodarującymi na dwóch-trzech hektarach. Teraz polski rolnik – nawet na wyrost, biorąc pod uwagę realia polskiej wsi – kojarzy się z facetem, który ma w garażu ciągnik lamborghini, jeździ niezłą terenówką, wysyła dzieci na dobre studia i nikt go nie zwolni z roboty, jak wybuchnie kolejny kryzys. Ziemia rolna kosztuje krocie, nie da się jej kupić na wolnym rynku, samo jej posiadanie staje się więc także pewnego rodzaju nobilitacją.

Zgoda. Ale czy my w tej rozmowie nie przesadzamy jednak z ekonomizowaniem polskiej wsi, przyglądając się jej niemal wyłącznie przez pryzmat gospodarki? Czy kluczem do jej zrozumienia jest tylko bilans dochodów i kosztów?

Jak już wspomnieliśmy, wieś jest pragmatyczna, także w wymiarze sympatii politycznych, bo głosuje na tych, którzy dadzą jej więcej. Doskonale widać to w stosunku polskich rolników do Unii Europejskiej, który jest wybitnie merkantylny. Dla miast Unia to przede wszystkim strażnik określonego systemu wartości, z którego wyrastają następnie demokratyczne instytucje państwowe. A dla wsi Bruksela jest hojnym, ale nie do końca lubianym i zrozumiałym wujkiem, który co roku dopłaca do każdego hektara jakieś 200-400 euro. Akceptacja dla unijnych wartości schodzi tu wyraźnie na dalszy plan.

Tradycja „wyciskania brukselki”, o której mówił kiedyś Waldemar Pawlak.

Pawlak do niczego nie nawoływał, po prostu wyrwało mu się to, co myśli przeciętny mieszkaniec wsi.

No to zajrzyjmy wreszcie do wiejskiej głowy, nie tylko kieszeni.

Mieszkańcy wsi nie cenią tak wysoko demokracji, jak Polacy w miastach. Demokracja nie jest dla nich nadrzędną ideą porządkującą życie publiczne, lecz narzędziem do osiągnięcia wymiernych korzyści, np. obsadzenia urzędów swoimi przedstawicielami. Widać to we frekwencji wyborczej, która na wsi idzie w górę przy wyborach samorządowych, a słabnie podczas wyborów parlamentarnych i prezydenckich, nie wspominając o tych unijnych, które mało kogo tu obchodzą.

O wiele wyższy jest na wsi także poziom akceptacji dla autorytaryzmu władzy, która musi być szanowana, jeśli ma być skuteczna.

Toż to profil ideologiczny niemal skrojony pod program polityczny partii rządzącej: więcej tożsamościowej dumy, mniej wolności.

I dlatego PiS na razie bierze na wsi wszystko.

Ale polexitu rolnicy by mu jednak nie wybaczili.

Nie byłbym tego taki pewny. Proszę zauważyć, że nad polityką rolną Brukseli w dotychczasowym kształcie zbierają się znaki zapytania. Nawet Francja, główny beneficjent systemu dopłat bezpośrednich, zaczyna mieć wątpliwości, czy to narzędzie spełnia swoje zadanie. Bo tym trzeba kręcić z poziomu centralnego. Nigdzie na świecie produkcji żywności nie pozostawia się wyłącznie wolnemu rynkowi...

...poza Polską lat 90.

Ale to już mamy za sobą. I nie potępiabym tego w czambuł, bo wypuszczenie kapitału prywatnego na wieś było wówczas jedynym wyjściem. Własnego nie mieliśmy.

Wróćmy jednak do wspólnej polityki rolnej. Bruksela widzi, że dopłaty bezpośrednie wcale nie dają rodzinnym gospodarstw rolnym oczekiwanego impulsu do rozwoju. Wspomagają za to latyfundia i sztucznie utrzymują przy życiu małe gospodarstwa, które bez tych pieniędzy nie dałyby sobie rady. W dokumentach unijnych coraz częściej pojawiają się więc wzmianki o przeskalowaniu instrumentu dopłat bezpośrednich w taki sposób, żeby najmocniej wspierał średnie gospodarstwa rolne, takie, które są naprawdę ekonomicznie samodzielne, a jednocześnie nie zmieniają charakteru wsi tak mocno, jak latyfundia.

I to się na polskiej wsi może nie spodobać?

Wspomniałem wcześniej, że nowoczesny wizerunek polskiego rolnika w społeczeństwie to w dużym stopniu komplement na wyrost. W Polsce mamy obecnie około 1,4 mln gospodarstw rolnych, ale dwie trzecie z nich nadal nie jest w stanie wyżywić się bez dodatkowych źródeł dochodu. Ostry kurs Brukseli na wspieranie średniaków będzie tymczasem musiał się



MAREK RABIJ będzie gościem Conrado Moreno w środę 8 sierpnia o godzinie

7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM

| Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM

| Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

oraz na Mazowszu i w Warszawie – www.rdc.pl

odbyć kosztem tych małych, inaczej programowanie systemu dopłat bezpośrednich straci sens. Mamy zatem już jeden punkt zapalny na linii Warszawa–Bruksela. Drugim mogą stać się generalnie cięcia funduszy dla Polski w nowej perspektywie budżetowej, która – wiemy to od lat – nie będzie już tak szczodra, oraz dodatkowe ograniczenia, które mogą spaść na Polskę jako kara za łamanie reguł unijnej praworządności. Myśli pan, że wieś będzie nadal głosować za Unią, kiedy usłyszy, że od tej pory będzie do tego interesu dopłacać?

A Pan myśli, że politycy PiS wyjdą z propozycją polexitu?

Tak. To, co obserwujemy teraz, to przygotowania do trzaśnięcia unijnymi drzwiami, kiedy strumień funduszy unijnych zacznie wysychać.

Ale członkostwo to nie tylko dopłaty i nie mam na myśli wartości, które przyświecały ojcom założycielom. Weźmy choćby ceny polskiej wotowiny, która po 2004 r. podrożała o kilkaset procent, bo przed polską żywnością stanął otworem cały unijny rynek.

Bilans korzyści z członkostwa nie kończy się na dopłatach. Ale mieszkańcy wsi mają skłonność do przeszacowywania potencjalnych strat przy jednoczesnym niedocenianiu korzyści. Muszę dodać, że nie tylko w Polsce. Jeszcze przed referendum w sprawie brexitu rozmawiałem z grupą brytyjskich farmerów, typowych tamtej-

szych średniaków, w tweedowych marynarkach i w landroverach. Pytam ich o dopłaty po brexicie, o dostęp do wspólnego rynku. A oni na to: nas te dopłaty obrażają! Damy radę bez nich, a przy tym nie będziemy już musieli się zrzucić na wariactwa brukselskiej biurokracji.

Ciekawe, co by powiedzieli Panu dzisiaj.

Wież ma skłonność do myślenia krótkoterminowego. W czymś, co teraz przynosi straty, ale za parę lat może być zyskowne, mieszkańcy widzą zwykle tylko koszty. Pamiętam, jak przed 2004 r. badaliśmy nastroje unijne na wsi. Jedna pani na pytanie o korzyści z członkostwa odpowiedziała mi wtedy: a na co mnie ta cała Unia? Ja maści potrzebuję. My tu o wielkim projekcie cywilizacyjnym, a kobieta o tym, że ją nogi bołą.

To, co robi PiS, to dostarczanie wsi maści na doraźne schorzenia. Jak rolnicy narzekają na niskie ceny skupu owoców, jak teraz, rząd wyskakuje z szalonym, moim zdaniem, pomysłem narodowego holdingu spożywczego, który będzie podobno wpływać na ceny skupu. Jak ziemia rolna drożeje, władza wprowadza ograniczenia jej sprzedaży. A jak plantatorzy skarżą się na dziką zwierzynę, minister rolnictwa od razu mówi, że załatwił u kolegi z ministerstwa środowiska zgodę na używanie noktowizorów przy polowaniach, i zaprasza myśliwych do wystrzelania dzików.

Wsi to się podoba, bo widzi, że ktoś reaguje na jej bolączki, ale jednocześnie

nie dostrzega szerszego kontekstu polityki PiS, która zmierza w stronę rozvodu z Unią, bo politycy partii rządzącej podziałają zdanie wiejskiego elektoratu, że poza pieniędzmi nic nas w zjednoczonej Europie nie trzyma.

Sam Pan zauważył, że wieś się zmienia, nie starzeje się też tak szybko jak miasta. Czas może przynieść także zmianę nastrojów politycznych.

To długofalowe procesy, które mogą trwać dekady, podczas gdy Unia ma siedmioletnią perspektywę budżetową, a wybory w Polsce odbywają się co cztery lata. Dlatego coraz częściej myślę, że dzień, w którym polska wieś uświadomi sobie, że pieniądze z Unii powoli się kończą, będzie też początkiem końca Polski w zjednoczonej Europie.

© P Rozmawiał MAREK RABIJ



ARCHIWUM PRYWATNE

PROF. JERZY WILKIN jest ekonomistą, specjalizuje się w badaniach przemian obszarów wiejskich. Kierował m.in. Wydziałem Nauk Ekonomicznych

Uniwersytetu Warszawskiego i Zakładem Integracji Europejskiej w Instytucie Rolnictwa i Rozwoju Wsi PAN. Mieszka na wsi pod Warszawą.

REKLAMA

Burmistrz Miasta Zakopane Leszek Dorula, Miejska Biblioteka Publiczna i Zakopiańskie Centrum Kultury zapraszają na



WWW.LITERACKIFESTIWAL.ZAKOPANE.EU



PAWEŁ

Śpiewak: *Ozeasz i przymierze*



BÓG MA CAŁKOWITĄ I BEZWZGLĘDNĄ ZWIERZCHOŃCĘ nad ludem Izraela. Tego uczy nas Ozeasz. Karze za złamanie praw wpisanych w przymierze. A z nich najważniejsze są czyny miłosierne, dobroć, troska o słabszych oraz znajomość Tory. „Bo miłosierdzia chcę, a nie ofiary, a znajomości Bożej więcej niż całopalenia” (Oz 6, 6). Gdy lud nie słyszy głosu Boga, gdy odchodzi od synajskiego przymierza, Ten zamienia się w niedźwiedzia albo srogiego lwa czyhającego na przechodniów. Prorok z plemienia Efraima nazywa swój lud wszetecznicą. Wytyka zdrady, lekceważenie, zapomnienie. Krzyczy jak zdradzona naręczona. Ozeasz jest wyjątkowo pomysłowy w wymyślaniu kar, jakie spadną na plemiona Izraela. Zna się na kłótniach. Nie oszczędza swoich. Nazywa swoich współplemieńców głupią gołębicą, która nie ma serca.

Swoje prorocтва Ozeasz umieszcza w ścisłych historycznych okolicznościach. Wspomina o Asyryjczykach. Raz jako tych, którym Izrael bezrozumnie służy. Raz jako tych, którzy wezmą w niewolę Hebrajczyków (tak też się stało – Asyryjczycy uprowadzili dziesięć plemion Izraela). Grozi, że cofnie nieposłuszne plemiona do Egiptu i że cały wysiłek wielu pokoleń wędrówki przez pustynię pójdzie na marne. Wrócą do krainy ciemności i błota. Przypomina im, że prowadził naród przez pustynię. Przypomina tym niewiernym czcicielom baali, Kim jest: „Gdyżem Ja jestem Pan, Bóg twój, od wyjścia z ziemi Egipskiej, a Boga oprócz mnie nie poznałeś i nie masz zbawiciela oprócz mnie. Jam cię poznał na puszczy bardzo suchej” (13, 4-5). Zdaje sobie doskonale sprawę z geopolitycznej sytuacji królestw Judy i Izraela. Znalazły się między dwoma potężnymi wrogami. Każdy z nich ma zaborcze pokusy. Każdy ma na tyle siły, bo ostatecznie pokonać lud wybrany. Jeśli znikną oba królestwa, to nie tylko dlatego, że są militarnie słabe. Nie dlatego, że wróg przeważa liczbą konnych żołnierzy, ale dlatego, że Bóg użyje wrogich Izraelowi państw, by ukarać swoich wybrańców za pychę, zło, zdradę, kłamstwo, niewierność. Ozeasz rzuca gromy i przekleństwa, ale ratunek dla potomków Jakuba przyniesie nie tyle samo ich nawrócenie czy choćby solenna obietnica naprawy. Los wybranych nie zależy od nich i ich postaw. Nie będzie słuchał ich modlitw. Odwróci się od nich nawet wtedy, gdy zaczną w niedoli go szukać i potrzebować. Nawet najlepszy władca nic im nie pomoże. Przyszłość Izraela jest całkowicie we władaniu Boga. On uczyni, co zechce. Ozeasz obiecuje, że Bóg na powrót zwróci się ku swoim dzieciom z czystej miłości do nich. Dlatego, że ich wybrał, że pragnie koniec końców ich ocalić. „Uzdrowię odwrócenie ich, a rozmiłuję się w nich dobrowolnie; bo się odwróci zapalczywość moja od nich. Będę Izraelowi jako rosa, że się rozkwitnie jako lilija, a zapuści swe korzenie jako Liban” (14, 5-6). Bóg widzi zło. On sam dla siebie i dla nas jest samoistną Mocą działającą wedle praw swojej miłości. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Jeden człowiek wystarczy*



MÓWI SIĘ CZASAMI, ŻE O ILE W STARYM TESTAMencie na pojedynczego człowieka patrzy się w kontekście narodu, o tyle w Nowym Testamentie odwrotnie – na naród czy społeczeństwo patrzy się w kontekście człowieka jako jednostki. Stąd w pierwszym przypadku nie jest niczym dziwnym karanie narodu za winy jednostki. W czasach Nowego Testamentu o takiej zbiorowej odpowiedzialności nie ma co nawet myśleć, chciałoby się powiedzieć. Wiemy jednak, że byłoby to kłamstwem. Takie porównywanie skażone jest przesadą.

Piotr Apostoł, który wyrósł w judaizmie i judaizm przygotował go na uznanie Jezusa za Mesjasza, mówi, że „W każdym narodzie miły jest Mu ten, kto się Go boi i postępuje uczciwie”. Bać się Boga? Trząść się ze strachu przed Bogiem? Jednak Piotrowi nie chodzi o strach, tylko o bojaźń. Słowo „bojaźń” jest już nam obce. Komentatorzy Pisma mówią: „Zasadniczo (...) tradycja żydowska wyraźnie odróżnia bojaźń od poczucia strachu i obawy, zaznaczając, że wypływa ona przede wszystkim z miłości oraz troski człowieka o jego relację z Bogiem”.

Chrześcijaństwo zaczęło się najzwyczajniej w świecie od wesela, zaślubin, od Pieśni nad Pieśniami, czyli erotyku, od interwencji jednego człowieka i ocalenia ludzkiego szczęścia od zniszczenia. Odrzucając porzekadło, że Bóg za złe karze, a za dobre wynagradza, trzeba pamiętać, że za egoizm rodziców zapłacą dzieci i wnukowie. Diabeł przecież nie jest głupi, chcąc dopiąć swego, nie będzie straszył, chyba że tym, czego człowiek nie powinien się obawiać. Zwodiciel pewnie po swojemu lubi, gdy się go przedstawia jako odrażającego potwora, budzącego strach i obrzydzenie np. w filmach o egzorcyzmach. Dzięki czemu odwraca naszą uwagę od spraw poważnych i każe się nam uganiać za błahymi nadzwyczajnościami, które niczego pożytecznego nie wnoszą do naszego życia.

Ostatnio jeden z portali internetowych zażądał zmiany numeru linii autobusowej 666 na Hel, jako że ten aktualny „mówiąc krótko i dosadnie, godzi w chrześcijański porządek państwa polskiego i jego fundamenty, a stąd – w dobro nas wszystkich”. Jeśli więc chciałoby się jakoś Złego przedstawić, to na pewno nie jako odpychającą lub groteskową maskę, a przeciwnie: jako kogoś olśniewająco pięknego i zarazem do końca zakłamanego, bliskiego kiczowi, ale z zastrzeżeniem. Wszystko zależy od tego, w jaki sposób podchodzi się do rzeczywistości. Paweł Apostoł pisze do Tytusa: „Wszystko jest czyste dla tych, którzy są czysti. Przeciwnie, nic nie jest czyste dla zepsutych i niewierzących, ponieważ ich umysł i ich sumienie są zepsute”. Wygląda na to, że zło też ma swoją ewangelię, która przynajmniej na początek wydaje się być dobrym pomysłem na życie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś: Uczony uczniem

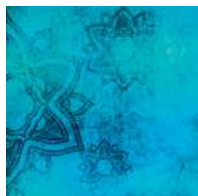
Prawda,
która jest od początku,
została posiana
wszędzie.
Wielu widzi ją
zasianą,
niewielu – zebraną.

EWANGELIA FILIPA



Bóg jest jeden.
Mędracy nazywają Go
wieloma imionami.

RIGWEDA



W UBIĘGŁYM TYGODNIU Liturgia uczyniła nas słuchaczami Jezusowej „Mowy w przypowieściach”, zwaną również „Mową o Królestwie niebieskim” (Mt 13).

Mowę kończy krótki dialog Pana z uczniami: „Zrozumieliście to wszystko? Mówią Mu: »Tak jest«. A On rzekł do nich: »Dlatego każdy uczony w Piśmie, który stał się uczniem królestwa niebieskiego, podobny jest do ojca rodziny, który ze swego skarbcza wydobywa rzeczy nowe i stare«” (Mt 13, 51n).

„Ojciec rodziny” to polski dosłowny przekład Wulgaty – u św. Hieronima pojawia się tu łacińskie *pater familias*. W greckim tekście Mateusza mamy określenie *oikodespotes*, które może oznaczać „głowę rodziny” (dosł. „pana domu”), a także „zarządcę” (dość często polskie przekłady Nowego Testamentu idą za tym właśnie tłumaczeniem).

Tak czy owak, Jezus mówi tu o kwalifikacjach człowieka, któremu mógłby powierzyć odpowiedzialność za swoich „domowników”, tzn. za Kościół, innych wierzących, za nas. Zlecić mu przywództwo; i to jeszcze realizowane i przeżywane w określonym stylu: bardziej „ojca” niż „satrapy”. Św. Benedykt właśnie w taki sposób opisywał rolę opata we wzorcowej wspólnocie chrześcijańskiej. Przyznawał mu władzę niemal równie absolutną, co nieodwołalną (jak nieodwołalne jest ojcostwo); ale też – właśnie – stawiając mu przed oczy model ojcowski oczekiwał odeń, iż będzie chciał bardziej „pomagać” swoim braciom, niż podkreślać swoje pierwszeństwo („*prodesse magis quam praeesse*”), i że uda mu się wzbudzać u nich bardziej miłość niż strach („*plus amari quam timeri*”). Kto by mógł zostać powołany na takie stanowisko?

Jezus mówi: „Uczony w Piśmie”.

Wydaje się to oczywiste. Kto z nas powiedziałby zarząd Kościołem człowiekowi, który nie zna Biblii? Skąd miałby w takim razie czerpać właściwe dla swego zadania wzorce i treści? Skąd mógłby wyprowadzić zasady dyscyplinujące najpierw jego samego? I dokąd – do jakiego celu – mógłby poprowadzić innych?

„Czy może niewidomy prowadzić niewidomego? Czy nie wpadną w dół obydwaj? Uczeń nie przewyższa nauczyciela. Lecz każdy, dopiero w pełni wykształcony, będzie jak jego nauczyciel” (zob. Łk 6, 39-40).

Tak! Najlepszym kandydatem wydaje się „nauczyciel” – „uczony w Piśmie”, „w pełni wykształcony”.

Jezus mówi jednak: pod jednym wszakże warunkiem.

Jakim?

Że stał się uczniem. Dosłownie nawet: „został uczyniony uczniem” lub wręcz „uznany za ucznia” (grec. *matheutheis* jest w stronie biernej). A więc, nie on sam uważa siebie za ucznia; jest ktoś inny, kto rozpoznaje w nim taką postawę.

Uczony może stać się „ojcem” i „zarządcą” wspólnoty, jeśli jest uczniem. Nie: był nim kiedyś (nawet długo). Nie. Liczy się teraz. Kiedy jest uczony. Czy zachował w sobie, czy pielęgnuje, czy rozwija w sobie aktualnie postawę ucznia?

To aktualne, na „świeżo” przeżywane uczniostwo pozwala na nowy i pełen mocy wykład dawno poznanych prawd. To ono jest miarą autentyczności i wiarygodności nauczyciela, w którym nie wygasła pasja do poznawania przerastającej go prawdy. Ono ostatecznie jest nieustannym i niezawodnym wskazywaniem mistrza – jedynego „Ojca” i „Pana” Rodziny. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (12 – 19 VIII)

19. niedziela zwykła: 1 Krl 19, 4-8;

Ps 34; Ef 4, 30 – 5, 2; J 6, 41-51;

Poniedziałek: Ez 1, 2-5. 24-28c; Ps 148; Mt 17, 22-27;

Wtorek: Ez 2, 8 – 3, 4; Ps 119; Mt 18, 1-5. 10. 12-14;

Środa, Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny: Ap 11, 19a; 12, 1. 3-6a. 10ab; Ps 45; 1 Kor 15, 20-26; Łk 1, 39-56;

Czwartek: Ez 12, 1-12; Ps 78; Mt 18, 21 – 19, 1;

Piątek: Ez 16, 59-63; Iz 12, 2. 3-4. 5-6; Mt 19, 3-12;

Sobota: Ez 18, 1-10. 13b. 30-32;

Ps 51; Mt 19, 13-15;

20. niedziela zwykła: Prz 9, 1-6;

Ps 34; Ef 5, 15-20; J 6, 51-58.

Wybrał PIOTR SIKORA

CHRZEST, CHRZEST, NARODOWY CHRZEST

PiS to pozwala narodowcom na coraz więcej,
to ich karci, kiedy mu wygodnie.
Na ich tle może uchodzić za partię centrum.

MATEUSZ MAZZINI



18 LIPCA 2018 R. OCZY CAŁEJ POLSKI skierowane były na ulicę Wiejską w Warszawie. Nic w tym dziwnego,wały się losy reformy sądownictwa. Jednak nie był to jedyny akt prawny, nad którym toczyły się wówczas prace. Politycy PiS zdążyli nas już przyzwyczaić do tego, że kwestie, którym sami poświęcają największej uwagi w debacie publicznej, bywają tylko zasłoną dymną dla szeregu innych projektów legislacyjnych, w efekcie dużo bardziej szkodliwych dla polskiej demokracji i społeczeństwa.

Tak było chociażby w grudniu 2016 r., gdy opozycja koncentrowała się na bronieniu dostępu dziennikarzy do sejmowych korytarzy, a PiS z dala od obiektywów i kamer przegłosowywał tzw. ustawę dezubekizacyjną czy katastrofalne dla wielu ob-

szarów miejskich *lex Szyszko*, pozwalające na niemal niekontrolowaną wycinę drzew na terenach zabudowanych.

Nie inaczej było tym razem. Podczas gdy cały kraj słuchał ministra Ziobry i dowiadywał się w przyspieszonym tempie, jak działa Krajowa Rada Sądownictwa, na posiedzeniu sejmowej Komisji Kultury i Środków Przekazu odbyło się pierwsze czytanie poselskiego projektu ustawy o ustanowieniu nowego święta

państwowego. W wyniku jej przyjęcia od przyszłego roku będziemy obchodzić Dzień Chrztu Polski, wyznaczony na 14 kwietnia. I na pierwszy rzut oka nie byłoby w tej ustawie nic dziwnego – może poza dość groteskowym odwołaniem się do wizjonerstwa Mieszka I jako inspiracji dla współcześnie rządzących Polską – gdyby nie kwestia wspomnianej daty i innych aspektów naszej zbiorowej pamięci, które się z nią wiążą.

Od Mieszka do ONR

14 kwietnia jako rocznicę Chrztu Polski można uznać co najwyżej za datę umowną. Jest ona, owszem, najbardziej prawdopodobna ze wszystkich wymienianych w kontekście dokładnego dnia, kiedy to Mieszko I w imieniu swojego kraju przyjął religię chrześcijańską, aczkolwiek daleko w tej sprawie do konsensusu. Historycy wciąż spierają się nawet co do daty rocznej Chrztu Polski, nie mówiąc →

Godzina „W” – początek VI Marszu Powstania Warszawskiego, zorganizowanego przez Brygadę Mazowiecką Obozu Narodowo-Radykalnego, przy wsparciu Stowarzyszenia Marsz Niepodległości. Rondo Dmowskiego, Warszawa, 1 sierpnia 2018 r.



WIĘJ NAPRZÓD, NIECH BUDUJ
NIECH KULA SZYJE JAK
TRZEBA NAM TERAZ UM
BY POLSKA UMIAŁA ZI-

→ o dziennej. Nie ma jednoznacznego dowodu ze źródeł historycznych, który legitymizowałby 14 kwietnia jako dzień najlepszy do celebrowania dziedzictwa chrześcijaństwa w Polsce. Jest natomiast w naszej historii, dużo mniej odległej, inne wydarzenie związane z tą datą, co do którego wątpliwości nie ma żadnych.

14 kwietnia 1934 r. w gmachu głównym Politechniki Warszawskiej podpisano deklarację założycielską Obozu Narodowo-Radykalnego. I to właśnie tę datę co roku członkowie dzisiejszego ONR-u, bezpośrednio odwołujący się do tradycji międzywojennej i uznający się za spadkobierców tamtej organizacji, celebrują jako rocznicę istnienia. Dziedzictwo ideologiczne ONR-u lat 30., oparte m.in. na skrajnym nacjonalizmie, segregacji rasowej i religijnej oraz dyskryminacji mniejszości etnicznych i seksualnych, jest dla dzisiejszych narodowców punktem odniesienia, ideową bazą do działania we współczesnej Polsce.

Przypominają nam zresztą o tym co roku, kiedy 14 kwietnia organizują marsze komemoracyjne, często zwieńczone mszami koncelebrowanymi przez sympatyzujących z nimi duchownych. Na do rocznych manifestacjach rocznicowych ONR-u znaleźć można całą gamę symboli faszystowskich, od celtyckich krzyży do rzymskich pozdrowień, i usłyszeć nawoływanie do przemocy, chociażby w słynnym już okrzyku „śmierć wrogom Ojczyzny”.

W dodatku szeregi równo maszerujących młodych ludzi, ubranych od stóp do głów na czarno, ze sztandarami i naramiennymi opaskami z symbolem Fałangi, budzą dość jasne skojarzenia z militaryzacją życia publicznego i radykalnym nacjonalizmem międzywojennej Europy. W poprzednich latach sporadycznie udawało się te marsze zatrzymać, najczęściej właśnie z powodu używania przez ich uczestników symboli nawiązujących do ideologii faszystowskiej.

Od przyszłego roku będzie to jednak zapewne niemożliwe. Ustanawiając 14 kwietnia świętem państwowym, PiS wziął ONR pod swoje skrzydła i rozłożył nad nim opiekę nie tylko polityczną, ale przede wszystkim prawną. Od przyszłego roku wszystkie rocznicowe manifestacje narodowców odbywać się będą w Dzień Chrztu Polski. Jakiegokolwiek skargi na ich działanie będą zatem odpierane argumentem o celebrowaniu święta narodowego.

Już teraz łatwo przewidzieć możliwą linię ewentualnego sporu. Jeśli, dla przykładu, na manifestacji ONR-u pojawią się hasła dyskryminujące inne religie, narodowcy będą mogli w majestacie prawa odpowiedzieć, że świętują w ten sposób ponad 1000-letnie przywiązanie Polski do chrześcijaństwa. Jeśli nieść będą ze sobą znaki w stylu „zakazu pedałowania” (który zresztą inna organizacja nacjonalistyczna, Narodowe Odrodzenie Polski, chciała w 2011 r. zarejestrować w sądzie jako swój znak graficzny), będą mogli swobodnie stwierdzić, że przecież chrześcijaństwo, które w 966 r. przyjmował Mieszko I, jednoznacznie potępiało homoseksualizm.

Krótko mówiąc, poprzez wprowadzenie do naszego kalendarza świąt narodowych dnia 14 kwietnia PiS prawnie usankcjonował w Polsce mowę nienawiści i odwołania do radykalizmu lat 30.

Wątek ukraiński

Zanim stało się to na niwie prawnej, partia Jarosława Kaczyńskiego wprowadziła nową narrację o nacjonalizmie do głównego nurtu polskiej pamięci zbiorowej. Nie jest to pierwszy raz, kiedy PiS flirtuje z narodowcami, udzielając im ochrony i roztaczając nad nimi patronat.

Sojusz partii rządzącej z koncesjonowanymi środowiskami radykalnymi obowiązuje praktycznie od początku jej rządów w 2015 r. Widać to doskonale na przykładzie działań PiS-u w zakresie polityki historycznej i pamięci zbiorowej – dziedzin, w których partia ta jest wręcz nadaktywna, produkując więcej pamięci publicznej niż jakiegokolwiek inny rząd III RP. Problem w tym, że niemal każdy akt prawny, ceremonia rocznicowa czy odwołanie do symboli jest ręką wyciągniętą ku nacjonalistom.

Przykładem takiego działania, choć w sposób nie do końca oczywisty, była styczniowa nowelizacja ustawy o IPN. W tym kontekście, podobnie jak w przypadku wspomnianego głosowania z 18 lipca, trzeba jednak odrzucić pierwszą warstwę interpretacyjną i pogrzebać nieco głębiej. Kontrowersje, które wybuchły w następstwie uchwalenia noweli, skupiły się na niesławnych „polskich obozach śmierci” i penalizacji użycia tego określenia. Ustawa o IPN stała się synonimem debaty o Zagładzie do tego wręcz stopnia, że media zagraniczne zaczęły ją nazywać „polskim prawem o Holokauście”. Rzadko

kiedy jednak wspomniano o zawartym w nowelizacji wątku ukraińskim.

Ustawa z 26 stycznia 2018 r. stawia bowiem na równi zbrodnie popełnione przez ukraińskich nacjonalistów w latach 1925-50 ze zbrodniami dokonanymi przez przedstawicieli reżimów komunistycznych i nazistowskich. W ten sposób w majestacie polskiego prawa zwoleńników Stepana Bandery wymienić można jednym tchem z poplecznikami Hitlera i aparatchykami Stalina.

Kwestia ukraińskiego nacjonalizmu od zawsze była jednym z najważniejszych tematów dla polskich narodowców. Przez ostatnie kilka lat coraz głośniej domagali się zaostrzenia polityki Warszawy wobec Kijowa, na ich wiecach, forach i stronach internetowych regularnie pojawiały się wpisy czy opracowania podające w wątpliwość sens i prawomocność ukraińskiej państwowości. Ich żądania pozostawały jednak niespełnione, gdyż rząd PO przez długi czas chciał odgrywać rolę przewodnika Kijowa po Europie, który wprowadzi Ukrainę do struktur i instytucji demokratycznego Zachodu. Sytuacja zmieniła się wraz z dojściem do władzy PiS-u, który zaniechał jakiegokolwiek aktywnej polityki wobec Ukrainy, biorąc się za to z ogromnym impetem za newralgiczne kwestie w stosunkach bilateralnych obu krajów, na czele z tzw. rzezią wołyńską. Zaledwie 10 miesięcy po przejęciu władzy partia Jarosława Kaczyńskiego przegłosowała w Sejmie uchwałę nazywającą wydarzenie na Wołyniu ludobójstwem, wytykając przy tym swoim liberalnym i lewicowym poprzednikom, że ofiary rzezi nigdy nie zostały należycie upamiętnione.

Przy całej determinacji PiS-u w działaniach wokół Wołynia nie można zapomnieć, że głównym, niezwykle zaciekleym adwokatem tej uchwały byli posłowie Kukiz '15. To właśnie pod parasolem listy Pawła Kukiza do parlamentu w 2015 r. weszli narodowcy, w poprzedniej kadencji w Sejmie nieobecni. I to właśnie poseł tej formacji, Piotr Apel, jest jednym z najgłośniejszych obrońców polskości przed „epidemią banderyzmu”, która jego zdaniem czai się na ukraińskiej granicy, a i w Polsce rośnie w siłę wraz z napływem ukraińskich imigrantów zarobkowych (choć dla obozu rządzącego wszyscy oni są wojennymi uchodźcami).

Co więcej, to właśnie dający parlamentarny mecenat narodowcom Kukiz '15 wpisał do styczniowej noweli ustawy

o IPN zapis o karaniu banderyzmu i zbrodniach ukraińskich nacjonalistów. Zapis ten nie wyszedł z ław partii rządzącej, tylko właśnie od jej satelickiego partnera. I choć można dopuścić interpretację, że posłowie PiS ustawę z ukraińskimi poprawkami przegłosowali, bo zapisów narodowców zwyczajnie nie zauważyli, co jest możliwe, biorąc pod uwagę szaleńcze tempo procedowania ustaw i sprowadzenie parlamentu do roli maszyny do głosowania, to jednak bardziej prawdopodobna jest teoria o kolejnym ukłonie w stronę narodowców.

Dla ONR-u, Ruchu Narodowego czy Młodzieży Wszechpolskiej bandy UPA są demonem straszniejszym niż oddziały Armii Czerwonej czy Wehrmachtu. W dodatku to właśnie w walkach z ukraińskimi nacjonalistami zginęło wielu tzw. żołnierzy wyklętych, dla narodowców – bohaterów najważniejszych i absolutnych. Penalizacja pamięci o Banderze to zatem ich ogromny sukces. Tym bardziej że nie została cofnięta, gdy Jarosław Kaczyński nakazał niedawno złagodzenie kursu w polityce historycznej. Kiedy w czerwcu ustawę o IPN błyskawicznie znowelizowano po raz kolejny, usuwając zapisy o karze więzienia za „polskie obozy śmierci”, paragrafów dotyczących Ukrainy nie tknięto.

Przejęte symbole

Relacja między PiS-em a narodowcami nie jest jednostronna. Wręcz przeciwnie – ONR i inne organizacje nacjonalistyczne są dla partii rządzącej bardzo wdzięcznym partnerem, nie tylko na sali sejmowej. Przydają się przede wszystkim na ulicach, gdzie jak nikt inny potrafią wywołać kontrowersje i zradycalizować debatę publiczną.

Widać to co roku chociażby na manifestacjach przy okazji rocznicy powstania warszawskiego – również tej ubiegłotygodniowej. Po raz kolejny potwierdziła się bowiem teza, że polskie środowiska narodowe są w swojej narracji mocno reaktywne, a nie kreatywne. Innymi słowy: ich przekazy na manifestacjach i wiecach nie są projekcją nowych postulatów, a jedynie wiernym odzwierciedleniem aktualnej debaty politycznej i historycznej w kraju.

Tak było 1 sierpnia w poprzednich latach, tak było i tym razem. Gdy w 2016 r. marsz odbywał się zaledwie kilka dni po przyjęciu uchwały o ludobójstwie na Wołyniu, na warszawskim rondzie Dmow-

Wpisując do głównego nurtu i sankcjonując prawnie pamięć o radykalnych elementach historii,
PiS chce zyskać monopol
na definiowanie polskiej tożsamości.

skiego można było zobaczyć dziesiątki transparentów głoszących nienawiść do ukraińskiego nacjonalizmu i wzywające do eliminacji zwolenników UPA i Bandery. Z kolei w tym roku, na progu kampanii przed wyborami samorządowymi i kilka miesięcy po erupcji antysemityzmu wywołanej nowelizacją ustawy o IPN, ton manifestacji nadawały ataki na Hannę Gronkiewicz-Waltz i teorie o zmo- wie Żydów przeciwko polskim narodowcom.

Kiedy zgromadzona na Nowym Świecie policja poinformowała manifestujących o rozwiązaniu zgromadzenia publicznego, na czele pochodu zaczęły rozpowszechniać się komentarze o „spisku pejsatych”, którzy dobili targu z rządowym przez PO warszawskim Ratuszem. Co ciekawe: gniew tłumu nie skupił się na policjantach, tylko na strażnikach miejskich. Nie powinno to jednak dziwić, biorąc pod uwagę typowy dla mocno hierarchicznych środowisk narodowych szacunek do munduru i rozkazu. Policjantów tłum momentalnie rozgrzeszył, śpiewając „rzucicie pały, chodźcie z nami!”, agresję werbalną kierując na tych, którzy uosabiali Ratusz.

Regulowany prawnie romans PiS-u z narodowcami jest o tyle niebezpieczny, że prowadzi do delegitymizacji wszystkich innych narracji o polskiej pamięci zbiorowej. Dla partii Kaczyńskiego jest to od początku rządów cel nadrzędny w polityce historycznej. Narodowcy przejmują symbole opozycji demokratycznej z czasów PRL. Swoją tegoroczną marsz rocznicowy w Gdańsku rozpoczęli w sali BHP, gdzie w 1980 r. Lech Wałęsa podpisywał z Mieczysławem Jagielskim Porozumienia Sierpniowe. Przejęli też w pełni pamięć o sierpniu 1944 r. Trudno sobie bowiem wyobrazić, by w obecnej sytuacji ze swoją narracją o powstaniu warszawskim jako tragicznym zrywem do walki z faszy-

zmem przebiły się środowiska liberalne czy lewicowe.

Kolejną odsłoną tego procesu będzie teraz 14 kwietnia. Mając prawne pozwolenie i polityczny patronat na zmonopolizowanie nowego święta, narodowcy mogą zawłaszczyc pamięć o dużej części dorobku chrześcijaństwa w historii Polski.

Jak przesunąć się do centrum

Partia Kaczyńskiego jest jednak wobec narodowców sędzią prawdziwie sprawiedliwym, który potrafi zarówno wynagrodzić, jak i ukarać. Dlatego związek obu środowisk jest niepełny, wręcz koncesjonowany. Gdy narodowcy przesadzają, PiS szybko i sprytnie się od nich odcina. Ma to miejsce przy każdym wywołanym przez nich głośniejszym akcie przemocy czy geście politycznym jawnie promującym agresję. Kiedy w listopadzie ubiegłego roku narodowcy zorganizowali w Katowicach happening, wieszając na szubienicach zdjęcia europosłów PO, publicznie potępiła ich ówczesna premier Szydło. Podobnie zachowywał się stojący na czele MSW minister Błaszczak, gdy środowiska narodowe krzyczały publicznie o wprowadzeniu czystości rasowej i etnicznej w Polsce.

Narodowcy nie są mimo wszystko dla PiS-u partnerem równorzędnym, choć zapewne nieraz tak właśnie uważają. Są raczej kimś na kształt pożytecznych idiotów, którymi partia rządząca sprawnie administruje, regulując ich wybuchy nienawiści i odpowiadając na wybrane postulaty, gdy akurat jest jej to potrzebne w bieżącej walce partyjnej. Kiedy jednak nacjonaści przekroczą dopuszczalne granice, PiS przypomina społeczeństwu, że cała scena polityczna przesunęła się na prawo. A co za tym idzie, to właśnie Kaczyński i jego akolici stoją w jej centrum i pociągają za sznurki w obie strony.

Dlatego obywatele muszą docenić rządy Prawa i Sprawiedliwości. Koncesjonowana relacja z narodowcami ma im bowiem przypominać, że PiS jest jedyną siłą polityczną, która może skutecznie ujarzmić coraz silniejszy rodzimy nacjonalizm. Przynajmniej tak się PiS-owi wydaje. Obejmowanie nienawiści i neofaszyzmu mającym prawem łatwo może jednak obrócić się przeciwko rządzącym. A wtedy zatrzymanie dalszej ekspansji narodowców może okazać się niewyobrażalnie trudne.

© MATEUSZ MAZZINI



Agnieszka Dziemianowicz-Bąk na proteście we Wrocławiu, wrzesień 2016 r.

KORNELIA GŁOWACKA-WOLF / AGENCJA GAZETA

cił Maciej Gdula w „Nowym autorytaryzmie”. PiS intuicyjnie rozumie, że największym magnesem jest dzisiaj działanie na poziomie „kosmicznym”, nie jest więc przypadkiem, że wprowadza projekty o skali 500 plus albo likwiduje gimnazja. To ostatnie jest dobrym przykładem: głęboka reforma szkolnictwa odcisnę piętno na pokoleniu i będzie pamiętana przez dziesięciolecia.

W twierdzeniu „nie ma powrotu do tego, co było” najistotniejsze nie są jednak reformy, ale to, że pejzaż sił politycznych, tych już w grze i tych drgających pod powierzchnią, przebudował się w 2015 r. zasadniczo. Kto komu ufa, kto kogo i jakim kodem kulturowym reprezentuje, cały ten niezwykle złożony *tetris* demokracji parlamentarnej przetasował się zupełnie. A mówiąc ściślej, przetasowywał się stopniowo, jakoś w ciągu tych pięciu lat, które były już po Smoleńsku, a jeszcze za PO. I w 2015 r. z wielkim hukiem przeszło to – mówiąc Arystotelesem – z możliwości w aktualność. Albo językiem kuchni: wykipiało i się rozlało. I nie da się tego nie wiedzieć.

Narcyzm małych różnic

Nie ma chyba większego licznika, niż mówić o „zmęczeniu wojną polsko-polską”, o nonsensie tej wojny czy o konieczności jej zakończenia. Wojna między dwoma partiami postsolidarnościowymi trwa od rozpadu negocjacji PO-PiS-u jesienią 2005 r. i nie jest zaskoczeniem, dlaczego jest aż tak zajadła. Im bliższy jest rodowód, tym zacieklej (i mniej zrozumiale dla postronnych) trzeba dowodzić wzajemnych różnic. Narcyzm małych różnic jest tematem znanym nie od dziś.

Głosy, że redukcja polskiej polityczności do rytualnego sporu PO-PiS jest absurdem, przybierają przy tym różne formy, czasem są to zwykłe wezwania w ramach fetyszu jedności narodowej, żeby „zjednoczyć się” i „nie dzielić społeczeństwa”, porozumieć „ponad” czy właśnie „pod” podziałami. Zmęczenie wojną polsko-polską nie polega jednak na tym, że „trzeba się pogodzić” pod znakiem „Polska jest najważniejsza”. Polega na tym, że duopol PO-PiS wyczerpał swoje możliwości i musimy pójść dalej – bo nowych perspektyw w rozwoju Polski nie otworzy zwycięstwo którejkolwiek ze stron tego sporu.

Nie jest przypadkiem, że właśnie teraz nastąpił wysyp książek, dyskusji i sporów o Polskę. „Turbulentne czasy to płodna

Ludzie młodszy niż Solidarność

PIOTR STANKIEWICZ

Wojny polsko-polskiej nie zakończą wezwania do rytualnej jedności ponad podziałami. Potrzebna jest zmiana pokoleniowa.

Z WYCIĘSTWO PiS-u JESIENIĄ ROKU 2015 było datą przełomową, porównywalną chyba tylko z rokiem 1989 i 2004. Tak oczywiście twierdzić będą zwolennicy „dobrej zmiany”, ale przyjęcie to do wiadomości musi także opozycja (jeżeli oczywiście chce być opozycją kontaktującą z rzeczywistością). Im więcej czasu mija, tym bardziej widać, jak fundamentalne konsekwencje ma tamta zmiana władzy. Nie ma i nie będzie powrotu do tego, co było przed nią.

Co więcej, warto z tego wyciągnąć wniosek na przyszłość: nic już się nie wyda-

rzy twórczego w okopach wojny PO-PiS, a państwo polskie musi być bardziej opiekuńcze. A co najważniejsze: największa zmiana przyjdzie wtedy, gdy na dobre wejdzie i rozgości się w polityce pokolenie wyżu lat 80. Ale idźmy po kolei.

Zacznijmy od tego, co na wierzchu. PiS usilnie pracuje nad taką przebudową Polski, jakiej nie będzie się dało łatwo odwrócić kilkoma ustawami. Chodzi tyleż o reformę sądownictwa i inne tematy wzbudzające uliczne emocje, co o sprawy, które, by tak rzec, są dostępne dla wszystkich w swoim rozmachu. Trafnie to wychwy-

epoka dla teoretyków państwa” – taki ustęp z Hannah Arendt zacytowała Magdalena Nowicka-Franczak w tekście omawiającym kilka z nich w czerwcowym „Tygodniku”, dodając, że komentarze i próby wyjaśnienia fenomenu wygranej PiS-u są „wyjątkowo liczne”. I tak właśnie jest. Długie, stabilne i przewidywalne rządy (2007-15) mają moc usypiającą, stają się chocholim tańcem. Natomiast czas rządów burzliwych to czas, w którym wszyscy się aktywizują, każdy zaczyna politykować, a wszystko staje się polityczne.

Rządy PiS-u powinny być dla opozycji szansą i okazją do przemyślenia spraw, przegrupowania szeregów, zastanowienia się, co się nie udało i co świeżego można Polkom i Polakom zaproponować. Tak to się zresztą – przynajmniej teoretycznie – powinno dziać w zdrowej demokracji. Stąd też niepokojąco często spotykana postawa „jeden program opozycyjny to obalić PiS, a potem się zobaczy” jest nie tylko głupia, ale też... niedemokratyczna. A dodatkowo jest absurdem taktycznym: nie da się bowiem odsunąć PiS-u od władzy, nie zastanowiwszy się wcześniej, co właściwie ma się Polsce do zaproponowania lepszego.

W tym więc sensie nie ma racji Janusz Majcherek, utyskując (gazeta.pl, 23 lipca), że młoda lewica „zohydzi III RP”, zakaże grilla i nakaze homoseksualizm. W tym sensie surrealnie brzmią diagnozy Elizy Michalik, że „w Polsce hołubi się nędzę materialną (...) a zdolnych, mądrych, bogatych się karze” (jej Facebook, 29 lipca). W tym sensie absurdalne jest także wezwanie Magdaleny Środy (jej Facebook, 25 lipca) do zakładania „podziemnych uniwersytetów” i „wyrzucenia paszportów”, bo „władza będzie je przyznawać tylko za donosy” (sic!). Cóż, to nie jest żadna konstruktywna wizja. To w ogóle nie jest żadna wizja, ani nawet poważna rozmowa.

Państwo opiekuńcze, głupcy

Tak się bowiem składa, że PiS miał wizję: państwo bardziej opiekuńcze. I m.in. dzięki tej wizji wygrał. Likwidacja 500 plus jest dzisiaj politycznie niewyobrażalna... a przecież to nie tylko o ten program chodzi, ale szerzej – o pewien zwrot, czy przechryst w stronę państwa opiekuńczego. Czasy się zmieniły, weszły do obiegu rzeczy, które jeszcze parę lat temu były smutnymi obrzezami czy wręcz egzotyką. Walka z uśmiecieniem rynku

pracy, wiele kwestii prosojalnych, pracowniczych czy lokatorskich stało się już mainstreamem. Trudno dzisiaj zaprzeczyć, że nowa inkarnacja Rzeczypospolitej musi być – będzie! – bardziej prospołeczna, coraz bardziej odchodząca od neofickiej dzikości młodego kapitalizmu.

Warto zauważyć, że „Polska solidarna” (przeciwstawiona wtedy „Polsce liberalnej”) była hasłem PiS-u już w poprzedniej dekadzie. Trudno wstecznie wyrokować, czy to postulaty prosojalne dały wreszcie zwycięstwo w 2015 r., ale na pewno się do niego przyczyniły. Z pewnością jednak już w czasie trwania kadencji polityka prospołeczna rządu PiS cementuje i gwarantuje mu poparcie. To jest ta część obrazka, której brakuje w „Nowym autorytarzmie” Gduli. Ekonomia liczy się nie mniej niż wtedy, kiedy Clinton powiedział: „Gospodarka, głupcze!”.

Trudno sobie wyobrazić, że w 2019 r. wygra partia, która obieca cięcia socjalne. Trudno sobie wyobrazić siły polityczne, które odniosą zwycięstwo, postulując dalszą likwidację państwa polskiego w powiatach (zamknięcie kolei i poczta w Biedronce), obniżenie pensji minimalnej czy ułatwienie wyrzucania lokatorów z reprivatyzowanych (i „reprivatyzowanych”) kamienic. Choćby z tego powodu, że państwo mniej opiekuńcze niż Polska... trudno sobie wyobrazić. Przynajmniej w Europie.

Czyj jest Sejm?

Ostatnia rzecz to zmiana pokoleniowa w polskiej polityce. Niczego nie potrzebuje tak bardzo jak zastrzyku, ba, ocianu młodej krwi. Ten punkt wymieniam na końcu, ale jest on chyba najważniejszy, bo umożliwia wszystkie poprzednie. Żeby odpowiedzieć na wyzwania nowego świata, trzeba go przede wszystkim rozumieć. Na szczęście wiele znaków na niebie i ziemi wskazuje na to, że stoimy w przededniu zmiany.

Fakt ten wyraźnie widać w tym, co się działo już po zwycięstwie PiS-u. Istnieje bowiem ten znany paradoks, że, mówiąc w skrócie, „młodzi nie chodzą na KOD”: na protestach organizowanych przez KOD, Obywateli RP czy kolejne inkarnacje tychże ruchów jest wyraźna nadreprezentacja osób w wieku 45+. Fakt ten jest źródłem stałej frustracji organizatorów protestów („myśmy dla was wolność wywalczyli, a wy co teraz?”), uciechy dla strony prorządowej („przeciw »dobremu

zmianie« gardłuje tylko skomuszała geiatria”), a zarazem intelektualną zagadką.

Jest to jednak zagadka-niezagadka, bo „niemłodzieżowość KOD-u” jest intuicyjnie oczywista dla każdej chyba osoby urodzonej w demograficznym boomie lat 80. i później. Przejrzenie danych biograficznych posłów i posłanek kadencji bieżącej pokazuje, że ludzie urodzeni w latach 80. i 90. mają wszelkie prawo czuć, że polski parlament nie jest ich. 83 proc. osób wprowadzonych w 2015 r. do Sejmu przez duopol PiS-PO urodziło się przed rokiem 1975. W tym aż 59 proc. przed rokiem 1965. Mówiąc obrazowo: wyraźna większość posłów i posłanek PiS-PO to ludzie, którzy urodzili się w czasach, gdy w Polsce panował Władysław Gomułka lub Bolesław Bierut, a w niektórych wypadkach... Adolf Hitler czy wręcz Ignacy Mościcki (tak, tak! mamy w obecnym Sejmie posła urodzonego przed drugą wojną światową). Patrząc zaś z drugiej strony: za ledwie siedmioro (tak!) posłów i posłanek PiS-PO urodziło się po 1985 r. Zaprawdę, wprowadzanie do Sejmu ludzi młodszych niż Solidarność nie jest bynajmniej tym, co nasze dwie główne partie postsolidarnościowe robią najlepiej.

Posłowie z duopolu są średnio prawie dekadę (o osiem i pół roku) starsi niż posłowie Nowoczesnej i Kukiz'15. I zdziwi się też ten, kto spodziewa się, że PiS jest starszy niż PO. W rzeczywistości średni wiek obu formacji jest niemal taki sam i wynosi 53,9 dla PiS i 53,8 dla PO. Czy w świetle tych danych dalej jest niejasne, dlaczego „młodzi nie chodzą na KOD” i w ogóle, że czują się zniechęceni do polityki parlamentarnej? Spór PO i PiS to jest po prostu spór nie ich – nie naszego! – pokolenia.

W tym kontekście cieszy każda młoda twarz wybijająca się w polityce. Nagroda „Foreign Policy” dla Agnieszki Dziemianowicz-Bąk (ur. 1984), rosnąca pozycja Kamili Gasiuk-Pihowicz (ur. 1983) w Nowoczesnej czy wreszcie ten znamieny fakt, że z trójcy pretendentów do fotela prezydenta Warszawy dwóch jest ledwie tuż po trzydziestce (Patryk Jaki, ur. 1985; Jan Śpiewak, ur. 1987). Są to jednak ciągle wyjątki: czekamy, by stały się mainstreamem.

Młodsze roczniki dojdą do głosu z powodów, jak to się brutalnie mówi, „biologicznych”. Nie ma jednak co z tym zwlekać, a wiek emerytalny naprawdę jest dla ludzi, również dla polityków. Im wcześniej pałeczkę przejmą młodzi, tym lepiej dla nas wszystkich. ©

PZPN robi z nas frajerów

RAFAŁ ROSTKOWSKI

Zamiast ogłosić, jak planuje naprawić sytuację w polskim futbolu po kolejnym przegranym mundialu, porażkach drużyn młodzieżowych i klubów, Zbigniew Boniek przyjął do pracy z reprezentacją trenera skazanego za korupcję.

NAJNOWSZA DECYZJA PZPN o ZATRUDNIENIU Andrzeja Woźniaka jako szkoleniowca bramkarzy reprezentacji to kolejny, zdecydowanie najmocniejszy policzek dla ludzi uczciwych, którzy zostali skrzywdzeni w czasach, kiedy korupcja w polskiej piłce była powszechna. Związek znów udowodnił, że lepiej traktuje skorumpowanych niż tych, którzy z korupcją starali się walczyć, albo choćby tych, którzy przynajmniej się jej nie poddali. To taka kropka nad i piłkarskiej beznadziei.

Przez lata lojalnie zgłaszałem w PZPN problemy i korupcyjne zagrożenia. Najpierw chodziłem do szefa Kolegium Sędziów, a gdy ten z różnych powodów nie chciał reagować, udawałem się wyżej – aż do prezesa.

Przez kilka lat próbowałem przekonać Zbigniewa Bońka do reakcji na zjawiska patologiczne. Okazało się, że traciłem czas, a teraz widzę, dlaczego.

Poprzedni prezesi związku – późno, bo późno, ale jednak – ludzi oskarżonych lub skazanych za korupcję zwalniali z pracy. Zbigniew Boniek jest pierwszym, który postanowił kogoś takiego zatrudnić. Widocznie stwierdził (albo dał się przekonać), że stan polskiego futbolu jest już tak zły, że nie ma innych odpowiednich kandydatów i reprezentacja narodowa potrzebuje trenera bramkarzy skazanego prawomocnie za regularne ustawianie meczów. Nic to, że w ten sposób obraził lub co najmniej zasmucił wielu byłych znakomitych bramkarzy – bo Polska to przecież od dawna kraj znakomitych golkipierów – i rozczarował wielu pracujących w zawodzie trenerów, nie tylko bramkarskich. Oni nie mają na koncie wyroków i nadal czekają na szczyt pracy z reprezentacją, jaki właśnie spotkał skazanego za psucie sportu, oszukiwanie rywali, klubów i kibiców.

W tej sytuacji prezes chyba powinien wyjaśnić, według jakich kryteriów tacy znani i cenieni specjaliści jak Krzysztof Dowhań, Jerzy Dudek, Jacek Kazimierski, Wojciech Kowalewski, Adam Matyssek, Arkadiusz Onyszek, Maciej Szczesny czy inni o podobnych doświadczeniach i umiejętnościach zostali uznani za gorszych kandydatów do pracy z reprezentacją. Czego im brakuje, co ma Andrzej Woźniak?

„Mafia Fryzjera”? Prezes nie czytał

Po latach obserwowania działań związku od środka odnoszę wrażenie, że Zbigniew Boniek przespał najbardziej wstrząsający okres w historii polskiej piłki nożnej – gigantyczną aferę korupcyjną – i nie wyciągnął z niej żadnych wniosków. Najwyraźniej nie czytał akt, nie słuchał zeznań, nie zna wielu ważnych faktów albo to wszystko po prostu lekceważy. W efekcie czasem krytykuje lub wyśmiewa tych, do których wcześniej „strzelał” słynny „Fryzjer” – Ryszard Forbrich, główny organizator korupcyjnego procederu – i jego podwładni, a broni lub nagradza osoby, które na taką obronę i nagrody ewidentnie nie zasłużyły.

Boniek mógłby z łatwością takich błędów uniknąć. Wystarczyłoby, gdyby zadzwonił do Tomasza Smokowskiego z Komisji Mediów PZPN, który o sprawach nagłośnionych przez Ryszarda Niedziela w książce „Mafia Fryzjera” mówił w telewizji, albo do swojego podwładnego Pawła Drażby, który o wątkach z książki Niedziela pisał w gazecie, zanim zaczął pracować w PZPN. Mógłby też zadzwonić do Andrzeja Strejlaua, którego przecież zna od dawna, a który od lat uprzedzał, że korupcja wróci do polskiej piłki. Wiedział, co mówi, bo ma bardzo szeroką wiedzę: był trenerem klubów Ekstraklasy, reprezen-

tacji Polski, szefem sędziów, członkiem władz PZPN.

Prezes mógłby też zadzwonić do świetnie zorientowanego w branży piłkarskiej właściciela portalu „Weszło” Krzysztofa Stanowskiego, którego chyba lubi i ceni, albo do dziennikarza Polskiego Radia Dominika Panka, nazywanego jednoosobowym piłkarskim Instytutem Pamięci Narodowej. Panek od lat poświęca swój prywatny czas dla – w założeniu – dobra polskiej piłki nożnej, prowadząc blog „Piłkarska Mafia”. Można na nim znaleźć wiele informacji, które prezes PZPN powinien znać i uwzględniać.

Afera korupcyjna, która wybuchła w 2005 r., była i jest pod wieloma względami rekordowa. W wyniku żmudnej pracy prokuratury we Wrocławiu okazało się, że w polskiej piłce działały setki nieuczciwych piłkarzy, trenerów, kie-





PAWEŁ MAŁECKI / AGENCJA GAZETA

Prezes PZPN Zbigniew Boniek, Kielce, 9 października 2017 r.

rowników drużyn, sędziów, obserwatorów, prezesów, sponsorów i różnych innych działaczy. Ustawiono setki meczów, także w Ekstraklasie i I lidze. Setki osób skazano, setki nadal czekają na wyrok, tylko garstkę uniewinniono.

Wiele szczegółowych informacji Panek ma w małym palcu, jeszcze więcej zamieścił na blogu, a pozostałe ma w notatkach i na nagraniach. Człowiek z taką wiedzą, archiwum i oddaniem powinien być konsultantem w PZPN, a tymczasem bywa tam postrzegany jako wróg polskiej piłki.

To bulwersujące, bo przecież przez przestępcze działania nieuczciwych osób uczciwie działające kluby traciły szanse na mistrzostwo lub awans albo były degradowane, uczciwi piłkarze i trenerzy przegrywali zamiast wygrywać, a uczciwi sędziowie byli szantażowani lub poprzez

korupcyjne układy usuwani ze świata futbolu, albo sami rezygnowali z gwizdka. Żeby przetrwać najgorsze czasy, naprawdę trzeba było mieć silne plecy lub mnóstwo szczęścia. Ewentualnie ulec korupcji albo szukać innej drogi. Arbitrów, którzy gwizdali w Ekstraklasie w 2005 roku i zakończyli karierę z podniesionym czołem, było dosłownie kilku.

„Sportowo to można sobie guza nabić”

„A czy piłkarze nie mogą wygrać uczciwie, sportowo?” – zapytał kiedyś „Fryzjera” jeden z sędziów, który miał opinię uczciwego i nigdy nie był karany. „Sportowo to można sobie guza nabić” – odpowiedział mu szef piłkarskiej mafii. Śledztwo prokuratury udowodniło, że komedia „Piłkarski poker” mogłaby być ledwie pilotem wielo-odcinkowego serialu kryminalnego.

Tak było przez wiele lat, wcześniej i później. Gdy klub związany z członkiem zarządu PZPN bezskutecznie próbował mnie przekupić, w ramach zemsty PZPN zawiesił mnie na kilka tygodni, mimo iż kasetą wideo była dowodem, że zarzuty skorumpowanego przez klub związkowego obserwatora były niesłuszne. „Tak, tu i tu miał pan rację, ale ogólnie pokazał pan za dużo kartek” – usłyszałem. Jedynie ówczesny szef sędziów Marian Środecki próbował mnie pocieszać: „Niech pan się nie martwi, wcale nie sędziował pan źle”.

W podobnym klimacie, po dwóch sezonach z rzędu, w których przed co drugim meczem ktoś proponował mi łapówkę, próbował przymuszać, szantażować albo domagał się wyjaśnień, „dlaczego nie można się ze mną dogadać” – zrezygnowałem z gwizdania w Polsce dla sędziowania meczów międzynarodowych z chorągiewką. Wielu moich uczciwych kolegów takiego wyboru nie miało. Dzisiaj w większości na piłkę patrzą z oddali i znowu kiwają głową z niedowierzaniem.

Sędziego, który naiwnym pytaniem próbował nawrócić „Fryzjera”, PZPN pozbył się kilka lat temu. Obecne władze rozwiązały z nim kontrakt, gdy z powodów rodzinnych nie zaliczył testu kondycyjnego w wyznaczonym terminie. Z równie błahych powodów lub bez powodów PZPN pozbył się kilku innych sędziów, którzy przez lata byli tak szczegółowo prześwietlani przez organa ścigania, że naprawdę bezpieczniejszym ręczyć za ich uczciwość niż za te osoby z PZPN, które tych sędziów usunęły.

Przez korupcję okradani byli również kibice – bo wydawali pieniądze na bilety i dekodery, żeby oglądać uczciwą grę, a oglądali ustawione mecze, kolejki, sezony. Przede wszystkim byli jednak oszukiwani i okradani z wiary, nadziei i radości. Praca prokuratorów i policji pokazała skalę zjawiska: ponad pół tysiąca skorumpowanych osób. Poszkodowanych – nie da się zliczyć. To pewnie także większość czytelników tego tekstu, którzy wierzyli w uczciwy sport.

Mistrzowie czarnego PR

Państwo, władze samorządowe i prywatni sponsorzy wybudowali nam duże i piękne stadiony. Korzystają z nich kluby i reprezentacja.

Opakowanie polskiego futbolu jest lepsze niż zawartość, także dzięki telewizji publicznej i telewizjom prywatnym. ➔

→ Mecze Ekstraklasy są pokazywane najlepiej ze wszystkich słabych i przeciętnych lig europejskich, a nawet lepiej niż kilka lig sportowo wyraźnie lepszych. Warunki do zbudowania w Polsce silnej piłki są więc znakomite, potencjał – ogromny, a mimo to reprezentacje młodzieżowe i juniorskie ponoszą klęskę za klęską. Reprezentacja narodowa na kolejnym mundialu rozczarowała nie tylko Polaków, ale i świat, a kluby co roku przynoszą nam wstyd w rozgrywkach pucharowych, starając się o spadek w rankingu UEFA z miejsca 21. o kilka lokat w dół.

Czy tłumaczenie, że polskiej młodzieży żyje się za dobrze i dlatego nie gra dobrze w piłkę, naprawdę ma być traktowane poważnie? A młodzieży we Francji, Anglii czy Belgii żyje się niby gorzej? Przecież reprezentacje tych krajów, a także – dla odmiany – reprezentacja wojennego pokolenia Chorwacji, zajęły cztery pierwsze miejsca w mistrzostwach świata. Czyli co: u nas jest nie dość dobrze i równocześnie nie dość źle, żeby osiągnąć sukces w sam raz na taki kraj jak Polska?

Otóż nie, prawda jest inna. Jesteśmy gwiazdami głośnych bankietów po małych sukcesach i prawdziwymi mistrzami koleśnictwa, nepotyzmu, złe pojętej lojalności, prowizorki, spychologii i czarnego PR. Z jednego krytyka robi się frustrata, z drugiego wariata, a z trzeciego zarty, że „Kapusta – głowa pusta”. Żenujących plotek albo pustych złośliwostek o osobach krytycznych wobec władz związku usłyszałem w PZPN więcej niż dobrych pomysłów, co zrobić z polską piłką. „O co panu chodzi? Czego pan chce? Przecież wszystko jest dobrze” – słyszałem, zresztą nie ja jeden.

Zazwyczaj przemilczamy lub ukrywamy prawdę o polskiej piłce. Władze PZPN robią tak, bo udają, że są lepsze niż są. Kibice – bo ciągle ludzą się nadzieją na rychłą poprawę, a każdy sukcesik te nadzieje podsyca. Zorientowani w sytuacji – dlatego, że prawda jest kompromitująca, zwłaszcza w kraju z takim potencjałem jak Polska. Prawie wszyscy – bo mało kto chce podpaść potężnemu prezesowi, który rozbudował związkowe media i stał się pracodawcą nawet dla czołowych i bardzo zdolnych dziennikarzy sportowych.

Poziom naszej piłki jest wynikiem dyletanctwa, ignorowania problemów i właśnie korupcji, która nie została wypłeniona. Gdy sukcesów brak, pokuśa rośnie, a skorumpowany to zwykle ktoś, kto nie

Czy tłumaczenie, że polskiej młodzieży żyje się za dobrze i dlatego nie gra dobrze w piłkę, naprawdę ma być traktowane poważnie?

A młodzieży we Francji, Anglii czy Belgii żyje się niby gorzej?

potrafi wygrać uczciwie, nie przejmując się regułami i wybiera drogę na skróty. Nieuczciwą. Czy oszukiwał w Ekstraklasie, czy w trzeciej lidze – jeden czort, różny jest tylko stopień wstydu lub zażenowania. Gdy ktoś taki trafia do reprezentacji narodowej, na usta ciśnie się krzyk: kto na to wszystko pozwala!? A może inaczej: dlaczego pozwala?

Nikt nie przeprosił

Nigdy nie słyszałem, żeby PZPN w jakikolwiek sposób docenił kogokolwiek za to, że walczył lub starał się walczyć z korupcją. Nikt ze związku nie przeprosił oficjalnie (ani w ogóle) tych, którzy w wyniku korupcji zostali skrzywdzeni. Poszkodowanymi PZPN się nie interesuje, choć powinien, bo to właśnie PZPN latami zaniedbał, zaniedbał czy złych decyzji doprowadził do raka w polskim futbolu, którego przez lata karmili kolejni wysocy funkcjonariusze związku. Najbliższymi współpracownikami „Fryzjera” byli przecież m.in. przewodniczący Kolegium Sędziów PZPN, szef komisji szkoleniowej Kolegium Sędziów PZPN, członek zarządu Kolegium Sędziów i członek zarządu PZPN.

Gdy Andrzej Woźniak pracował w klubach, nikt głośno nie protestował. Skoro jakiś prywatny właściciel ma ochotę zaufać takim ludziom – trzeba to uszanować. Woźniak odbył karę, jest wolny. Praca z reprezentacją narodową to jednak nagroda, której nie jest godzien. Jego obecność w reprezentacji może sprawić, że zamiast przeprosin czy słów ubolewania ofiary korupcji będą mogły usłyszeć – od skorumpowanych: „Spójrz, frajerze, kto pracuje w PZPN, kto pracuje z reprezentacją Polski. Jak tylko włączysz telewizor, żeby obejrzeć mecz białoczerwonych, jeszcze przed hymnem narodowym obejrzesz prosto w twarz. Przed każdym meczem, w trakcie lub po”.

Kilka dni temu ciekawej wypowiedzi udzielił Onetowi Roman Kosecki, były wielokrotny reprezentant Polski. „Jestem od wielu lat w sejmowej komisji sportu, w przeszłości zajmowaliśmy się m.in. sprawą korupcji w naszej piłce. Ciągłe działa w niej wiele osób, które uczestniczyły w procesie korupcyjnym, a do dziś się nie ujawnili. Nieraz widzę ich w telewizji. Może zajmijmy się takimi osobami, zamiast rozmawiać o Andrzeju Woźniaku?” – powiedział. Potem Zbigniew Boniek zamieścił na Twitterze ikonki symbolizujące brawa dla Koseckiego. Obawiam się jednak, że jego wypowiedzi interpretujemy inaczej. Jestem za tym, żeby zająć się tymi, o których wspominał Kosecki, natomiast Woźniaka i jemu podobnych w telewizji wołałbym nie oglądać. To byłby przecież szczyt kompromitacji polskiego futbolu, gdyby mecze reprezentacji ze skorumpowanym trenerem na ławce komentował inny skorumpowany.

Jeśli Andrzej Woźniak chce być wygwizdywany razem z reprezentacją, to trudno, ale może jednak zdanie zmieni sam Zbigniew Boniek? Dopóki piłka nie jest w grze, pierwszy skład reprezentacji można zmienić, a na ławce posadzić kogoś innego. Winston Churchill mawiał, że ktoś, kto nie zmienia zdania, nic nie zmienia. Boniek polubił wielkość, choć nie lubi przyznawać się do błędów. Teraz – paradoksalnie – swoją wielkość może podkreślić wycofując się z błędnej decyzji.

PZPN jest monopolistą, którego niezależność i samorządność w dużym stopniu jest chroniona przez FIFA. Jednak PZPN działa w Polsce, podlega polskiemu prawu i czerpie ogromne korzyści z funkcjonowania w kraju. Dlatego powinien być rozliczany nie tylko przez swoich delegatów, lecz także przez opinię publiczną, a w pewnych kwestiach – również przez odpowiednie instytucje państwowe.

© RAFAŁ ROSTKOWSKI

Autor przez 30 lat był sędzią liniowym, głównym i sędzią asystentem. Sędziował m.in. mecze Ekstraklasy w latach 1991–2017, UEFA 1997–2016 i FIFA 2001–2017, w tym mecze aktualnych mistrzów świata, Europy, Azji i Afryki oraz mecze Ligi Mistrzów UEFA. Prestiżowy miesięcznik „World Soccer” w majowym numerze napisał, że wprowadzenie systemu VAR w Polsce było osobistym triumfem Rafała Rostkowskiego, który na początku 2017 r. rozpoczął medialną kampanię w tym celu.

ANNA

Dziewit-Meller:

Inni szatani są tu czynni



TROCHĘ STRACH PISAĆ, BO JAK SIĘ PISZE COŚ o Rafale Trzaskowskim i nie jest to krytyka, to wypada się z towarzyskiego obiegu i nie jest się już tak cenionym i lubianym. Ale muszę chyba, bo nie wytrzymam dłużej. Na wstępie jednak chętnie podeprę się cudzym słowem, zawsze to różnie we dwie niż samej. Patrycja Pustkowiak, pisarka, w niedawnym wywiadzie dla „Tygodnika” powiedziała o tym, dlaczego w powieści „Maszkaron” podśmiewuje się nieco ze swoich lewicowych koleżanek i kolegów, którzy z niespecjalnie skrywaną niechęcią spoglądają na polską klasę średnią. „Nie rozumiem, czemu uciekanie na grodzone deweloperskie osiedla na obrzeżach miasta jest większym obciążeniem niż zamykanie się w 200-letniej kamienicy otoczonej starymi drzewami” – mówi, dodając, że śmieje się z tych, co „widzą potrzebę fraternizacji z mieszaną strukturą społeczną, której nigdy nie widzieli z bliska”. W tym jakże smacznym wywiadzie dużo więcej jest o hipokryzji, zachęcam do lektury.

Teraz zaś w związku z hipokryzją przejdę płynnie do Rafała Trzaskowskiego, który dla wielu naszych kolegów i koleżanek jest kandydatem nie do zaakceptowania z powodów podobnych, dla których zbyt trudne do zniesienia byłoby mieszkanie w miasteczku Wilanów, w otoczeniu neoliberalnych niewrażliwych złogów postbalcerowiczowskich, z irokezem na głowie i beemką w garażu. Mam bowiem wrażenie, że dla wielu z nich to, jak bardzo Trzaskowskiego nie znoszą, jest czymś w rodzaju rozszerzonego ojcostwa, które nazwałabym w nowoczesnej nomenklaturze głębokim samozaoraniem. Pamiętny tekst o książkach Morina i srogim Geremku, napisany na fejsbuku przez Trzaskowskiego, dał rezonans, jakby Trzaskowski przyznał się do polowania na foki na Helu, wspierania ISIS albo skrywanej przyjaźni z Jackiem Kurskim. Oczywiście pomna jestem przestróg kierowanych przez Michała Olszewskiego w „Wyborczej” do tych, co jak ja większe zagrożenie widzą w Jakim niżli w Trzaskowskim, żeby swoim głośzeniem nie kneblować ust dziennikarzom opozycyjnych mediów, którzy patrzą na ręce opozycji – ale nie do końca jednak pojmując satysfakcję, z jaką ludzie jadą po Trzaskowskim.

W reportażu o kandydacie PO na prezydenta Warszawy, który ukazał się w „Dużym Formacie”, Trzaskowski pytany przez dziennikarzy, co teraz czyta, mówi: „Dziesięć książek jednocześnie. Ostatnio reportaże o pracy, kryminały, literaturę amerykańską, ale tego nie piszcie, bo dostanę łomot” i dodaje w tym kontekście: „Muszę się pilnować, jak mówię o sobie”.

I oczywiście jest, że łomot, którego się boi Trzaskowski, to nie ten na prawicowych forach. Nas się boi – tych, o których mówiła w wywiadzie Pustkowiak. Ów łomot pozwalam sobie nazywać samozaoraniem lewicowych elit, bo jest on emanacją jakiejś coraz mniej zrozumiałej dla mnie potrzeby zaprzeczania swojej własnej pozycji społecznej i oddawania pola na rzecz podsztytego hipokryzją podlizu wobec domniemyanych mniej lub bardziej grup uciśnionych. Nie kwestionując, rzecz jasna, istnienia różnego rodzaju grup wykluczonych, mam poczucie, że stopień umizgiwania się do nich, jaki stosuje się ostatnio w polskiej publicystyce po stronie opozycyjnej, leci w kosmos. Oto kandydat na prezydenta stolicy uprasza dziennikarzy „GW” o niepiśanie, że czyta książki, oraz nie pozwala, by gdziekolwiek wokół niego rozbrzmiewał jazz, bo jako ujawniony syn jazzmana mógłby mieć kłopoty z suwerenem, który przecież woli Sławomira i Zenka Martyniuka. Komentatorzy domagają się od Trzaskowskiego społecznego słuchu, albowiem jego pochodzenie i wykształcenie ponoć miały go stępić – by istnieć w polityce, trzeba dziś grać z Zenkiem, a nie, że tak powiem, z Komedą. *Vox populi, vox Dei*, jak rzekł Jarosław Kaczyński, komentując sprawę odebrania premii ministrom rządu Beaty Szydło.

Może strategia coraz bardziej obleśnych umizgów do „wykluczonych”, widzenia prawdziwego życia jeno w „busie do Lublina” miast w Miasteczku Wilanów, którego rozmemłani neoliberalizmem mieszkańcy są wyłącznie cieniem prawdziwego czerstwego istnienia, jest świetna i wkrótce tak doceniony przez lewicową wrażliwość lud odda masowo głos na Jana Śpiewaka, a Warszawa zakwitnie jak róże w parku Ujazdowskim. Acz wątpię. Ci, którym się tak podlizujemy, gardzą nami przez to jeszcze bardziej – czemu nie mieliby gardzić, skoro sami sobie zaprzeczamy i kwestionujemy nasze prawo do brania udziału w życiu społecznym?

Swoją drogą: Jarosław Kaczyński, inteligent z Żoliborza, który zaszuwa suwerenowi Kornela Ujejskiego i każe się głowić nad tym, jacy to „inni szatani byli czynni”, wzbudza szacunek, Trzaskowski ze swoim Morinem i srogim Geremkiem budzi śmiech i politowanie. Jak mawiał jeden z ojców taktyki samozaorania, „byliśmy głupi”. Co gorsza, najpewniej głupi umrzemy. ©

Przed Sądem Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się pod sygn. akt I Ns 119/18 postępowanie z wniosku Doroty Rosik i Zbigniewa Rosika o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości – stanowiącej odrębną nieruchomość budynku mieszkalnego położonego w Leszczyńcu 59, gmina Kamienna Góra, województwo dolnośląskie, dla której Sąd Rejonowy w Kamiennej Górze prowadzi księgę wieczystą nr JG1K/00005598/2. Jako ostatni właściciel tej nieruchomości wpisana jest Jadwiga Jacek.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w ciągu trzech miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili swoje prawa do wyżej opisanej nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie może zostać stwierdzone zasiedzenie nieruchomości przez posiadaczy rzeczy, tj. Dorotę Rosik i Zbigniewa Rosika.

OGŁOSZENIE



I SIĘ IDZIE, MEDYTUJE

ROMAN BIELECKI OP:

Każda pielgrzymka jest metaforą życia.
Ona nie rozwiązuje problemów, tylko je pokazuje z innej perspektywy.
W drodze nic nie ma już, od razu i natychmiast.

BŁAŻEJ STRZELCZYK: Ile razy?

ROMAN BIELECKI OP: Dwanaście.

Bardzo dużo!

Żadne osiągnięcie.

Ale co roku?

Czasem nawet po dwa razy w roku. Po kilkanaście dni. Średnio 30 kilometrów dziennie.

A pierwszy raz?

Osiem lat temu. Namówili mnie studenci. Nigdy wcześniej nie słyszałem o drodze do Composteli.

I jakie to było?

Dramatyczne.

Bo?

Bo miało być duchowo i modlitewnie, a było upokarzająco i skończyło się na pogotowiu, gdzie mi opatrywali zdarte stopy. To było duchowe rozbrojenie. Odłożenie na bok wszystkich bezpieczników i technik uników, które stosuje się na co dzień. Spotkanie z Bogiem, które prowadzi do rezygnacji ze swojej suwerenności.

Bołało?

Jak po kilku dniach zwiąłem się z bólu, widząc moich towarzyszy oddalających się na horyzoncie, miałem poczucie porażki.

ROMAN BIELECKI (ur. 1977) jest dominikaninem, absolwentem prawa i teologii. Od 2010 r. redaktor naczelny miesięcznika „W drodze”.

I?

Pan Bóg dotknął mojego serca mocno i głęboko. Powiedział mniej więcej tak: „A teraz porozmawiamy inaczej, po Mojemu”. To było tak mocne, że stało się do wódem Jego obecności w moim życiu.

A Ojciec był na tę utratę suwerenności przygotowany?

Nigdy nie jest się przygotowanym na tak radykalne doświadczenia. Przeszedłem w życiu tysiące kilometrów, zaliczyłem wiele szczytów. Za pierwszym razem myślałem, że takie chodzenie po płaskim to żadna sztuka. Po prostu plecak na plecy i do przodu. Stąd to bolesne rozczarowanie.

Dobrze, ale dochodzi się do tego Santiago de Compostela, i co?

I nic.

Jak to nic?

Nic. Dochodzi się do miasta pielgrzymów, takiego samego jak każde inne. Santiago de Compostela nie ma w sobie nic ciekawego. Raptem kilka wieków tradycji więcej niż Częstochowa. Na siłę, jeśli tak ci zależy, to jest kilka interesujących kościołów.

Łzy? Żal za grzechy? Radykalna decyzja o naprawie życia? „Już więcej nie będę”? Chęć zadośćuczynienia? Zupełnie nic?

Wchodzi się do miasta. Miasto żyje wokół katedry. Mija się dziesiątki auto-karów. Jest się w grupie setek pielgrzy-

mów, umordowanych jak ty. Można kupić figurkę kiwającego się, plastikowego świętego Jakuba. Nierzadko w pakiecie z muszlą-symbolem. I koniec. Jeszcze trzeba pójść do biura pielgrzyma po certyfikat potwierdzający przebycie drogi. Owszem, jest jakieś delikatne wzruszenie, gdy się klęczy na placu przed katedrą, ale nic więcej. Innego końca świata nie będzie.

No to po co to wszystko?

Nasz dominikański Mistrz Eckhart pisał, żeby we wszystkich uczynkach kierować swoją wolę ku Bogu i Jego tylko mieć za swój cel.

Brzmi mądrze.

Staram się.

Chodzi o drogę?

O coś w rodzaju ascezy codzienności, a nie wyścig, pokonywanie kilometrów i sprawne dotarcie do celu, co niestety przydarza się wszystkim pielgrzymom grzejącym motory od piątej rano i biegnących do kolejnego schroniska, żeby mieć gdzie spać.

Co to jest asceza codzienności?

Zdanie sobie sprawy, że wykonujemy całe mnóstwo niepotrzebnych czynności, i otaczamy się masą niepotrzebnych rzeczy.

A co się jeszcze dzieje w drodze?

Zaczynasz słuchać ludzi, rozmawiać z nimi, siedząc nad poranną kawą, robiąc wieczorem pranie albo niespiesznie idąc. ➔

→ Na to codziennie kompletnie nie ma się czasu, bo ciągle jest „coś”. Mistrzami są Hiszpanie, bo oni ciągle mówią. Niesamowicie rozgadany naród. Zaczynasz też rejestrować i cieszyć się drobnymi rzeczami – zjadłeś, wykąpałeś się, nie pada ci na głowę, dostałeś kieliszek wina.

Co się rejestruje jako pierwsze?

Próbę przejścia kontroli. Nad wszystkim. Najpierw nad oddechem. On oczywiście zaczyna być przyspieszony. Ten pierwszy dzień w drodze, jakiegokolwiek, czy to będzie droga do Composteli, czy do jakiegokolwiek innego sanktuarium, zaczyna się od wojny z samym sobą. Pojawiają się te wszystkie próby zachowania w sobie starego człowieka.

Stawia się pierwsze kroki bardzo uważnie. Starając się nie nadwyrężyć nóg. Nie spocić się tak bardzo. Z taką świadomością, że jestem jeszcze z tamtego świata. Że nie jestem jeszcze stąd. Albo: „zaraz wracam”. Przed momentem wysiadłem z samolotu, byłem czysty, ogolony, pachnący. Więc idę powoli, żeby się jeszcze nie oddać tej drodze w stu procentach, jeszcze zachować przyzwoitość i czystą koszulkę.

To mija?

Po kilkuset krokach, czujesz, że to wszystko zaczyna puszczać. Pojawia się perspektywa kilkunastu kolejnych dni w drodze. Przestajesz się z tym bić. Wiesz, że nie ma szans, żeby zachować czystą koszulkę. Że ciało i tak ci udowodni, że twoje poczucie kontroli jest złudne.

I co z tym zrobić?

Możesz się z tym bić. Podejmować próby ocalenia siebie. Wściekasz się. Marzysz o wannie z coca-colą, białym hotelowym łóżku. Oczywiście tego nie masz i nie będziesz miał, ale wyobraźnia pracuje i podsuwa znieczulacze rzeczywistości. Ci, którzy idą trzydzieści dni, czyli całą tzw. trasę francuską, mówią, że po trzech tygodniach jest ci właściwie obojętne, jak wyglądasz. Tylko idziesz.

Czyli najpierw jeszcze ci się wydaje, że to ty decydujesz, ale powoli zaczynasz to oddawać i dajesz się prowadzić drodze. Przyznam, że najbardziej śmieszą mnie te wszystkie momenty, w których włącza mi się na Camino brawura.

Kiedy włącza się brawura?

Wiele razy był taki moment, że bardzo dobrze mi się szło. Plecak nie wydawał

się taki ciężki. Żar nie lał się z nieba. Nogi same szły. I na przykład na trzydziestym kilometrze myślałem sobie: „Pociągnę jeszcze z pięć, dam radę”.

I?

Raz zostałem skarcony mniej więcej na 38. kilometrze. Żle postawiłem nogę i zaczęło tak boleć, że dalej ani kroku. Musieli mnie pielgrzymi z Austrii podratować i przygarnąć do swojego schroniska. Powiedzieli, że na dziś i na jutro starczy.

To właściwie trochę jak z Jonaszem i jego uciekaniem od nawracania Niniwy.

Każda pielgrzymka jest w gruncie rzeczy metaforą życia. Ona nie rozwiązuje problemów, tylko pokazuje je z perspektywy innej niż wszystko. Nic nie ma już, od razu i natychmiast.

A kiedy Jonasz usłyszał od Boga: „Wstań i idź do Niniwy i wzywaj do nawrócenia” – stchórzył?

Nie wiem, czy stchórzył. Uciekł, bo wiedział, że stanie się dokładnie to, czego chce Bóg. Na pielgrzymce wygląda to tak, że możesz swoje trudności przeżywać jako utrapienie losu i narzekać „W co ja się wpakowałem?”. Możesz potem wrócić do swojego życia i mówić: „Uff... dałem radę” albo „dobrze, że się skończyło”. Ale możesz też zobaczyć, że nagle Bóg pisze ci przed nosem dużymi literami. Bo co z tego, że masz najlepsze buty ze sklepu górskiego i myślisz, że dasz sobie sam radę. Noga boli, masz rozwolnienie, przypaliło cię słońce, no, nie jesteś królem życia. Wtedy możesz przekroczyć swoją pychę i poprosić o pomoc.

Jonasz ucieka po raz drugi, buduje sobie szałas i siedzi w cieniu krzewu rycynusowego.

Bardzo miał tam komfortowo.

„Ale z nastaniem brzasku dnia następnego Bóg zesłał robaczka, aby uszkodził krzew, tak iż usechł. A potem, gdy wzeszło słońce, zesłał Bóg gorący wschodni wiatr. Słońce tak prażyło Jonaszę w głowę, że zasłał”.

Bóg nie chciał dla Jonaszę źle. Pokazał mu tylko, że wystarczy drobiazg, który zmieni plany, a ty już się wściekasz.

Da się zabezpieczyć na drogę?

Na żadnej drodze nie ma stuprocentowego bezpieczeństwa. Natomiast, co ciekawe: na samym końcu orientujesz się, że potrafisz przeżyć tylko z butelką wody, kromką chleba, dwiema koszulkami, dwiema parami skarpet i majtek, a tak naprawdę to jedna koszulka właściwie wystarczyłaby w zupełności.

To jak z papieżem Franciszkiem w „Laudato si”: „można żyjąc mieć niewiele, a żyć intensywnie”.

Powiedziałbym więcej. Że dopiero, gdy masz niewiele, możesz doświadczyć tego, co jest naprawdę smaczne i dobre. Boję się każdego coachowania pielgrzymki, ale naprawdę w tym wypadku czasem warto przeskalować swoje życie o kilka procent, żeby zobaczyć, co się naprawdę liczy. Bo przecież założenie plecaka i przejście tych 30 kilometrów dziennie nie jest wielkim wyrzeczeniem i wielką życiową rewolucją. Jest tylko przesunięciem się o kilka kroków do mniejszego komfortu. A okazuje się, że zmiana jest widoczna.

Jak bardzo widoczna?

Po jednym z Camino oddałem dwieście swoich książek.

Ojej!

Nie przesadzajmy, nie obłożą mi przecież tymi książkami grobu. I nie napiszą na grobie, że „tu leży Roman Bielecki, za życia miał dwieście książek”.

Dwa tygodnie temu prof. Zofia Rośńska mówiła w „Tygodniku” tak:

„Modlitwa sprawia, że człowiek wydobywa się poza siebie samego. Kiedy się modłę, to już nie boleję nad tym, że mnie boli noga albo że nie jestem taka sprawna jak kiedyś, tylko po prostu zwracam się poza siebie”.

Pozostaje mi powiedzieć tylko: „Tak jest!”.

Bardzo mnie interesuje, co to właściwie znaczy „wydobyć się poza siebie samego”.

Trzeba iść na pielgrzymkę i sprawdzić. Wdrapać się koniecznie pod jakąś górę.

Po co?

Zobaczyć, co się dzieje w naszych myślach. Głowę mamy tak skonstruowaną, że ona bardzo lubi wspominać i projektować.

Wspominać?

Właściwie non stop, podczas drogi, coś się nam przypomina. I to są zazwyczaj bardzo złe rzeczy. Podczas mojego ostatniego Camino, wróciłem tydzień temu, miałem taki moment dziesięciokilometrowego podejścia. Nie był to wielki szczyt, ale czuło było w nogach, że trzeba się nasapać.

I co wtedy?

Idąc monotonnie, po chwili odczuwasz, że nic w twojej głowie nie ma. Pustka. Równe kroki. W takim momencie bardzo łatwo na snucie wspomnień, zwłaszcza tych złych.

Jakich?

W głowie zaczynają gromadzić się wszystkie te momenty, w których okazałeś się chamem. Ja podczas ostatniej pielgrzymki miałem dwa takie zdarzenia, które wpadały mi do głowy nieustannie. Jedno to przykre zdanie, które powiedziałem bratu ze wspólnoty. A drugie: podczas jednej z mailowych korespondencji naprzykrzałem się pewnej osobie.

To wyrzuty sumienia?

To udręka i wspomnienia, o których mówili mnisi pustyni.

Cała medytacja jest właściwie zmaganiem się z tymi myślami.

Nieustannie myślimy, co by było, gdybyśmy nie powiedzieli komuś złych rzeczy. Albo jak to się właściwie stało, że w tak wielu momentach okazaliśmy się łajdakami.

Dlaczego okazujemy się łajdakami?

Bo taka bywa prawda o nas. Mogę oczywiście powiedzieć, że to wynik egoizmu, ale powiedzieć to, to jak nic nie powiedzieć.

Bóg nas w tych chwilach wiedzie na pokuszenie?

Nie. Bóg nie wiedzie na pokuszenie. Natomiast żyjąc na co dzień w świecie pełnym bodźców, okazuje się, że najzwyczajniej w świecie zaczynamy nadużywać ludzi. To jest ohydne. I właśnie w drodze, kiedy nam się te wspomnienia narzucają, możemy sprawdzić, jakie mamy żądze, co nami kieruje.

Ojcowie Pustyni każą pozbywać się tych myśli.

Jestem przekonany, że te złe myśli nie zjawiają się bez powodu.



EAST NEWS

Ci, którzy idą trzydzieści dni, czyli całą trasę francuską, mówią, że **po trzech tygodniach Camino jest ci właściwie obojętne**, jak wyglądasz. Tylko idziesz. Dajesz się prowadzić drodze.

To po co?

Żebyśmy nauczyli się prosić o miłosierdzie. To znaczy muszę sobie odpowiedzieć na pytanie, co się właściwie stało, że sprawiłem swojemu bratu przykrość. Dlaczego użyłem takich, a nie innych słów. Trzeba być wobec siebie uczciwym.

Tylko że Mistrz Eckhart mówi: „Niech człowiek kroczy naprzód i się nie lęka, że może nie dość się zastanawiał, czy dobrze albo źle postępuje”.

Zapętlanie się w rozpamiętywaniu swoich grzechów nie jest chrześcijańskie. Chrześcijańska jest natomiast nadzieja i perspektywa naprawy życia. Przecież katolicy są grupą nawracających się grzeszników, a nie nieskazitelnych bohaterów. Myślenie, że jest się bez grzechu, to kłamstwo. Mnie to zawsze dotyka podczas naszych dominikańskich kapituł win.

Podobno dajecie sobie wtedy po razie.

Do rękoczynów nie dochodzi. Ale każdy z braci wstaje i mówi, co do ciebie ma. To jasne, że 50 procent z tego, co słyszysz, to emocje współbrata. Zabrałeś mu półmisek sprzed nosa podczas kolacji i to w nim głęboko siedzi itd. Więc te emocje trzeba precedzić. Ale tam też jest prawda o tobie. Musisz to wziąć na warsztat i dobrze sprawdzić, kiedy słyszysz, że wszyscy wokół mówią o tobie, że grasz pod siebie i lubisz się popisywać. Znowu: to będzie duża brawura uznać, że wszyscy są w błędzie, a tylko ty masz rację.

Co robić z tymi myślami, kiedy pojawiają się w drodze? Przeżuwać słowo.

Proszę?

Nie jestem jakoś specjalnie przywiązany do form medytacji, ale w rzeczywistości wszystko, co istotne, nie bierze się z wielkich komentarzy biblistów, wybitnych konferencji kaznodziej itd., ale z twojego bezpośredniego kontaktu ze Słowem Bożym.

Co to znaczy przeżuwać słowo?

Podczas Camino najczęściej czytam Ewangelię św. Jana. To jest czasem kilka rozdziałów dziennie, a czasem tylko jeden werset. Podobnie jak z Imieniem Jezusa podczas medytacji. To pomaga nieustannie wracać i trwać w chwili obecnej. Ja myślę, że definicja pielgrzymowania zamyka się w ewangelicznym zdaniu „dość ma dzień swojej biedy”. Całe życie można strawić na analizowaniu historii i snuciu planów na przyszłość. Ale sens ma tylko trwanie w tym, co jest tu i teraz. Wszystko polega na tym, żeby nauczyć się uważności.

A co jest po powrocie?

Droga jest jednak miejscem, w którym nie wchodzisz w ostrą konfrontację ze światem. Wszystko jest w niej ograniczone, a jedyny przymus, jaki masz, to iść, jeść i spać. Nie musisz, jeśli nie chcesz, odbierać telefonów, odpowiadać na maile i rozwiązywać wszystkich problemów świata. Więc kiedy się wraca, trzeba podjąć próbę utrzymania tego, czym zostaliśmy właśnie nakarmieni. Po drodze wiesz już, że nie potrzebujesz tych wszystkich rzeczy. Orientujesz się także, że świat poradzi sobie bez twojego egoizmu i ciągłego stawiania na swoim.

© Rozmawiał BŁAŻEJ STRZELCZYK

Bóg kocha życie

PIOTR SIKORA

Zmiana katolickiego stosunku do kary śmierci to efekt ciągłego odkrywania przez Kościół niezmiennej miłości Boga. Ewangelia nie została naruszona – po prostu lepiej ją rozumiemy.



PAPIEŻ FRANCISZEK ZAAPROBOWAŁ NOWĄ redakcję 2267. punktu Katechizmu Kościoła Katolickiego, który w nowym brzmieniu jasno stwierdza niedopuszczalność kary śmierci. Zatwierdzony właśnie tekst brzmi:

2267 Wymierzanie kary śmierci, dokonywane przez prawowitą władzę, po sprawiedliwym procesie, przez długi czas było uważane za adekwatną do ciężaru odpowiedzi na niektóre przestępstwa i dopuszczalne, choć krańcowy, środek ochrony dobra wspólnego.

Dziś coraz bardziej umacnia się świadomość, że osoba nie traci swej godności nawet po popełnieniu najcięższych przestępstw. Co więcej, rozpowszechniło się nowe rozumienie sensu sankcji karnych stosowanych przez państwo. Ponadto, zostały wprowadzone skuteczniejsze systemy ograniczania wolności, które gwarantują należyłą obronę obywateli, a jednocześnie w sposób definitywny nie odbierają skazańcowi możliwości odkupienia win.

Dlatego też Kościół w świetle Ewangelii naucza, że „kara śmierci jest niedopuszczalna, ponieważ jest zamachem na nienaruszalność i godność osoby”, i z determinacją angażuje się na rzecz jej zniesienia na całym świecie.

Ewangelia w zwierciadle świata

Mamy do czynienia z doniosłym wydarzeniem. Po pierwsze, jest to poważna zmiana istotnego punktu tradycyjnego

nauczania Kościoła – co pokazuje, że Kościół w swoim rozumieniu świata i Ewangelii wciąż się rozwija i zmienia. Po drugie, ciekawe jest uzasadnienie tej zmiany – tekst Katechizmu wskazuje na współczesne zmiany społeczne zarówno na poziomie świadomości, jak i organizacji życia. Zmiany te pozwoliły Kościołowi w nowy sposób zrozumieć Ewangelię i skorygować własne, długo podtrzymywane nauczanie.

Zarówno sam fakt zmiany w Katechizmie, jak odwołanie w uzasadnieniu do zmian kulturowych spotykają się z oporem w środowiskach, które traktują doktrynę katolicką jako system niezmienny, doskonały i niezależny od zewnętrznych wpływów. Ostatnia zmiana jest w tej perspektywie – jak napisał Tomasz Terlikowski na stronie dorzeczy.pl – „niebezpieczna dla nienaruszalności doktryny”.

Zmiana ta jest, owszem, niebezpieczna, ale dla pewnego obrazu Magisterium Kościoła: Magisterium, które tak jasno i jednoznacznie rozumie Boże Objawienie, że nie potrzebuje uczyć się od nikogo (ani od wiernych, ani od niechrześcijan), samo zaś może wydawać ostateczne wyroki co do moralności wszystkich ludzkich działań. Obraz ten jest jednak fałszywy, co obecny papież często podkreśla. Z obrazem takim wielu ludziom trudno się rozstać, dlatego starają się pomniejszyć znaczenie ostatniej zmiany.

Brytyjski dziennik „The Catholic Herald” cytuje anonimowego teologa, który

twierdzi, że nowe brzmienie Katechizmu jest herezją, ale – ponieważ należy do niskiego rangą nauczania Kościoła – nie wymaga od wiernych wiary. Na amerykańskim portalu catholicculture.org zamieszczono z kolei analizę wpływowego konserwatywnego publicysty, Phila Lawyera. Dowodzi on, że katechizmowe uzasadnienie odwołujące się do zmian kulturowych sprawia, iż orzeczenie o niedopuszczalności kary śmierci nie wymaga uznania ją za wewnętrznie niemoralną, a zatem, że katolicy nie muszą odrzucać jej we wszystkich okolicznościach. Podobne głosy pojawiają się w polskich prawniczych mediach.

Zauważmy jednak, że odwołanie do zmieniającej się świadomości społecznej i rosnącej skuteczności bezkrawnych form systemu penitencjarnego ma tylko poboczne znaczenie. Ważniejsza inspiracja wynika z głębszego zrozumienia samej Ewangelii. To w jej świetle kara śmierci okazuje się niedopuszczalna – gdyż jest „zamachem na nienaruszalność i godność osoby”. Znaczy to, że nie chodzi tu tylko o niedopuszczalność, by tak rzec, „pragmatyczną”, ale właśnie o wewnętrzną niemoralność tego aktu. Owszem, Magisterium potrzebowało „przejrzeć się” we współczesnej niekościelnej świadomości moralnej, by rozpoznać niedoskonałość swoich dotychczasowych sądów. Lecz ostatecznie wraca do własnych, ewangelicznych źródeł, ucząc się lepiej je rozumieć.

Warto także zauważyć, że dopiero uznanie niedopuszczalności kary śmierci

jest spójne z wyrażonym we wcześniejszym punkcie Katechizmu rozumieniem, czym w ogóle powinna być kara. W chrześcijańskiej perspektywie nie może ona być zemstą, odwetem na sprawcy jakiegoś zła. Celem kary jest naprawienie naruszonego porządku rzeczywistości, zadośćuczynienie poszkodowanemu, ochrona osób przed potencjalną kolejną krzywdą oraz stworzenie winowajcy możliwości poprawy.

Zabicie przestępcy, nawet w majestacie prawa, może mieć związek tylko z ochroną innych przed jego – potencjalnymi – dalszymi krzywdzącymi działaniami. Skazanie na śmierć stoi jednak w sprzeczności z wszystkimi pozostałymi celami kary. Zadawanie śmierci w majestacie prawa niczego nie naprawia w porządku świata; przeciwnie – jako zamach na godność skazanej osoby jest dokładaniem zła do zła. Uniemożliwia też zabijanemu zadośćuczynienie tym, których skrzywdził, oraz jego osobistą poprawę.

Krok na drodze

Jesteśmy więc świadkami rozwoju moralnej świadomości Magisterium Kościoła. Nie jest to jednak przełom wprowadzony nagle przez obecnego papieża. Warto pamiętać, że punkty Katechizmu dotyczące kary śmierci były już zmieniane pod wpływem nauczania Jana Pawła II z encykliki „*Evangelium vitae*”. Pierwotnie Katechizm podtrzymywał tradycyjne nauczanie Kościoła, które „nie wyklucza kary śmierci” – jedynie naciskając na jej ograniczanie. Stary tekst wskazywał, że odpowiednia władza powinna ograniczać się do środków bezkrwawych, o ile tylko wystarczą do zapewnienia bezpieczeństwa innych osób przed przestępcą. Pod wpływem nauczania Jana Pawła II w 1998 r. wprowadzono istotne poprawki, m.in. zapis sugerujący, że współcześnie „przypadki absolutnej konieczności usunięcia winowajcy »są bardzo rzadkie, a być może już nie zdarzają się wcale«”.

Zmiany w moralnej świadomości Magisterium, zachodzące za pontyfikatu ostatnich trzech papieży, nie stanowią też radykalnego zerwania z tradycją chrześcijańską. W pierwszych wiekach wśród Ojców Kościoła dominowało przekonanie, że – jakkolwiek kara śmierci może jawić się jako konieczna prerogatywa władzy państwowej, która

ma obowiązek chronić członków społeczeństwa – chrześcijanie nie powinni uczestniczyć w strukturach, które doprowadzają do jej orzekania i wykonywania. Pierwsi Ojcowie Kościoła zabraniali nawet chrześcijanom wносить do sądów oskarżenia, które mogło się takim wyrokiem zakończyć.

Poglądy na karę śmierci zaczęły się zmieniać, gdy cesarstwo stało się chrześcijańskie, a zatem chrześcijanie z konieczności musieli znaleźć się we władzach orzekających i wykonujących wyroki. Zaczęto wówczas szukać uzasadnień, dla których w określonych okolicznościach chrześcijanie mogą brać udział w procesach kończących się skazaniem na śmierć. Uważano je jednak za podejrzone moralnie. Np. św. Ambroży w IV w. sugerował, by sędzia, który wydał wyrok śmierci, przez trzy lata nie przystępował do komunii. Wrażliwość moralna w tej kwestii z czasem zaczęła się zacierać, choć jeszcze postanowienia Soboru Laterańskiego IV (1215) zakazywały duchownym wyrokować i wykonywać karę śmierci.

Jak zauważył papież Franciszek w przemówieniu z okazji 25-lecia Katechizmu (które przyczyniło się zasadniczo do ostatniej zmiany), pogodzenie się chrześcijan ze stosowaniem kary śmierci wynikało z tego, że w Kościele mentalność chrześcijańska została wyparta przez mentalność legalistyczną – a więc ze swego rodzaju sekularyzacji Kościoła. Współczesna kościelna krytyka kary śmierci okazuje się więc jednym z aspektów ewangelicznego nawrócenia.

Miłosierdzie nie chce śmierci

Niektórzy zwolennicy kary śmierci chcą jej bronić przez sakralizację władzy państwowej. Uznają, że życie ludzkie należy do Boga i człowiek sam z siebie nie może go odbierać. Następnie jednak stwierdzają, że władza państwowa może ją stosować, gdyż pochodzi od Boga – „stąd niemożliwością staje się potępienie kary śmierci” (por. np. Michał Krajski, prawo.pl).

Problem z takim rozumowaniem polega na tym, że opiera się ono na fałszywym obrazie Boga. Gdy czytamy się np. w encyklikę „*Evangelium vitae*” Jana Pawła II, zauważymy, że papież przedstawia tam ewangeliczny obraz Boga jako miłosiernego „miłośnika życia”. Podobnie robi Franciszek: głosi, iż

Bóg jest przede wszystkim miłosierny. We wspomnianym już przemówieniu właśnie prawda o Bogu stanowi najgłębszy powód odrzucenia kary śmierci: „Bóg jest Ojcem czekającym zawsze na powrót syna, który to, wiedząc, że się pomylił, prosi o przebaczenie i rozpoczyna nowe życie. Nikt nie może być zatem pozbawiony nie tylko życia, ale również możliwości odkupienia moralnego i egzystencjalnego, które powraca jako wkład na rzecz wspólnoty”.

Boży sposób patrzenia na człowieka sprzeciwia się ludzkiej, naturalnej reakcji na doświadczenie zła, która nie pozwala dostrzec bezsensu kary śmierci. Jak pisze jej zwolennik, cytowany już Michał Krajski: „Kiedy słyszy się o seryjnym mordercy, który z zimną krwią w sposób okrutny zabił wiele osób, a następnie spotyka się z argumentem, że kara śmierci byłaby uderzeniem w godność oprawcy, musi budzić się w nas oburzenie. Oto bowiem życie ofiar okazuje się niewiele znaczyć w porównaniu z życiem mordercy”.

Ani tekst Katechizmu, ani papież nie pomniejszają znaczenia życia i cierpienia ofiar. Podkreślają jedynie, że Ewangelia stawia przed nami wyzwanie, by nie stracić z oczu także życia i godności krzywdziela. Możemy się na to oburzać – ale Bóg i jego cały czas kocha. On wziął na siebie cierpienie Abła, ale Kainowi dał znamie – by nikt nie mógł dokonać na nim odwetu.

ROZWÓJ ŚWIADOMOŚCI MORALNEJ Magisterium i zmienność tekstu Katechizmu odśladania przed nami naszą własną odpowiedzialność za rozwój osobistej zdolności sądów etycznych. Ujawnia także właściwy kierunek chrześcijańskiej wiary: nie wierzymy w Katechizm ani w dogmaty. Wierzymy w Boga i Jemu.

© P. PIOTR SIKORA



PIOTR SIKORA będzie gościem Agnieszki Lichnerowicz w „Światopodglądzie” Radia TOK FM w środę 8 sierpnia o godz. 16.00
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

Czwarty Świat woła

MISZA TOMASZEWSKI

Obrać preferencyjną opcję na rzecz ubogich to przyjąć do wiadomości, że życie osób i społeczności doświadczających nędzy i ucisku ma szczególną głębię teologiczną.

OTEOLOGACH WYZWOLENIA MÓWI SIĘ w Polsce albo źle, albo wcale, o czym najlepiej świadczy fakt, że tłumaczenia ich prac na język polski, niemal bez wyjątku pochodzące sprzed 1989 r., mieszczą się na niewielkiej półce, a ich czytelnicy – na równie niewielkiej kanapie. Napisana przez Victora Codinę książka „Kościół wykluczonych”, która ukazała się na wiosnę nakładem Wydawnictwa WAM, jest dobrą okazją do tego, żeby również w polskim Kościele zacząć odczarowywać czarną legendę „czerwonej teologii”. „Poza ubogimi nie ma zbawienia”. Tytuł, który nadał jednemu ze swoich esejów Jon Sobrino, z powodzeniem mogłaby nosić również książka Codiny. W tym krótkim zdaniu, stanowiącym przewrotną trawestację zasady sformułowanej w III w. przez Cypriana z Kartaginy, streszcza się bowiem cały program teologii wyzwolenia.

Ubodzy w duchu jako pretekst

„Najbardziej radykalną dehumanizacją ze wszystkich jest żyć na tym świecie, jak gdyby ubogich nie było” – deklaruje we wspomnianym esej Sobrino, nawiązując do słynnej formuły Dietricha Bonhoeffera. Kim jednak są ci ubodzy? Sobrino wymienia m.in. ubogich w sensie materialnym, których nazywa wprost „umierającymi przedwcześnie”, ubogich w sensie socjologicznym, których nędza jest skutkiem wyłączenia z owoców pracy, a następnie pozbawienia ich samej możliwości pracowania, oraz ubogich w sensie duchowym.

Odnotujemy, że ci ostatni – „ubodzy w duchu” znani z formuły błogosławieństw w przekazie Mateusza (Mt 5, 3) – posłużyli chrześcijanom za pretekst do wyparcia ze świadomości faktu istnienia ludzi jak najdosłowniej ubogich, do których skierowane zostały błogosławieństwa w wierniejszym, jak się wydaje,

przekazie Łukasza (Łk 6, 20). Pojęcie ubóstwa zostało w teologii katolickiej „przeduchowane”, tak by mogło odnosić się również do osób, które nędzę znają tylko z własnych o niej wyobrażeń. Tymczasem w tradycji biblijnej między obydwoma grupami ubogich nie ma żadnej różnicy. „Ubogimi w duchu” – to znaczy bezgranicznie otwartymi na wolę Boga, są ubodzy i uciśnieni w sensie ekonomicznym.

By zdać sobie sprawę z tego, że istnieją, nie trzeba czytać teologów wyzwolenia. Wystarczy sięgnąć do „Wykluczonych” Artura Domosławskiego, którzy zabiorą nas w podróż przez fawele São Paulo i Rio de Janeiro, getta okupowanych terytoriów palestyńskich i obozy dla uchodźców na wyspach Grecji. Albo do „Geopolityki głodu” Jeana Zieglera. Albo do „Planety slumsów” Mike’a Davisa. Albo do wielu innych książek, które – w przeciwieństwie do kanonu teologii wyzwolenia – znajdują się w zasięgu ręki polskiego czytelnika. „To nie wiedzy nam brakuje – za Svenem Lindqvistem powtarza Domosławski. – Brak nam odwagi, by zrozumieć to, co wiemy, i wyciągnąć z tego wnioski”. Jeśli żyjemy na tym świecie, jak gdyby ubogich nie było, to z własnego wyboru, choć na cudzą odpowiedzialność.

Teologowie wyzwolenia idą jednak dalej, kiedy głoszą preferencyjną opcję na rzecz ubogich. Nie sprowadza się ona do miłosierdzia. „Także i w naszych dniach Kościół bardziej identyfikuje się z Matką Teresą niż z arcybiskupem Romero” – konstatuje ze smutkiem Codina. Nie sprowadza się ona jednak także do sprawiedliwości. Obrąć preferencyjną opcję na rzecz ubogich to przyjąć do wiadomości, że życie osób i społeczności doświadczających nędzy i ucisku ma szczególną głębię teologiczną. „Pierwszą szkołą modlitwy jest niemy krzyk (...) milionów istot ludzkich cierpiących głód i pragnących sprawiedliwości – pisze Codina. – Jest to wołanie lu-

dzi Trzeciego Świata, emigrantów zarobkowych i uchodźców z krajów dotkniętych wojną. Tych, którzy są niesłusznie przetrzymywani w więzieniach, torturowanych, współczesnych niewolników wielkich plantacji lub międzynarodowych korporacji, dzieci-żołnierzy, gwałconych kobiet, porzuconych starców (...), ofiar katastrofizmów, takich jak trzęsienia ziemi, powodzie i huragany, które to klęski jakże często dotyczą najuboższe części naszej planety. Ich wołanie jest przedłużeniem w historii Jezusowego krzyku z krzyża, w którym mistycznie zawarty jest krzyk wszystkich krzyżowanych na świecie”.

Abym głosił uwolnienie

„Poza ubogimi nie ma zbawienia, poza ubogimi nie ma Kościoła, poza ubogimi nie ma Ewangelii” – powtarza za Sobrino bp Pedro Casaldàliga, któremu hiszpański teolog zadedykował swój esej. Nasz Kościół powinien być Kościołem, w którym wykluczeni zajmują wyjątkowe miejsce, ponieważ o szczególnej roli odgrywanej przez nich w historii zbawienia zaświadcza cała tradycja biblijna. Najpierw Pięcioksiąg Mojżeszowy, w którym przybysz, sierota i wdowa – osoby pozbawione opieki ze strony innych członków wspólnoty i z tego względu najbardziej narażone na niebezpieczeństwo – znajdują się pod wyjątkową opieką Boga: „Nie będziesz uciskał ani gnębił przybysz, ponieważ byliście przybyszami w ziemi egipskiej. Nie będziesz gnębił żadnej wdowy i sieroty. Jeśli będziesz je gnębił tak, że zaczną do Mnie wołać, na pewno wysłucham ich wołania” (Wj 22, 20-22). Następnie prorocy na czele z Izajaszem, który potępia hipokryzję swoich współczesnych, wołając: „Czy nie chodzi o to, by dzielić swój chleb z głodnym, wprowadzić do domu biednych, bezdomnych, zobaczyć nagiego i przyodziać i nie odwracać się od swego krewnego?” (Iz 58, 7). Wreszcie cztery Ewangelie, przede wszystkim Łukasza, w której Jezus – wchodząc w spór z religijnymi i intelektualnymi elitami swoich czasów – definiuje swój mesjański program, cytując Izajasza: „Duch Pana nade mną, dlatego namaścił mnie, abym zwiastował ubogim Dobrą Nowinę. Posłał mnie, abym głosił więźniom uwolnienie i niewidomym przejrzenie, abym uciśnionych wypuścił na wolność i ogłosił rok miłosierdzia Pana” (Łk 4, 18-19).

Preferencyjna opcja na rzecz ubogich jest jedną z biblijnych metanarracji, które



Uczestnicy Drogi Krzyżowej mijają bezdomnego, São Paulo (Brazylia), marzec 2013 r.

zróznicowanemu wewnątrz Pismu nadają zasadniczą spójność. Teologowie wyzwolenia, fałszywie oskarżani nieraz o to, że w większej mierze inspirowali się Marksem niż Jezusem, są w rzeczywistości tymi, którzy powrócili do uprawiania teologii społecznej w oparciu o źródła biblijne: Księgę Wyjścia z jej motywem wyzwolenia Izraelitów spod władzy faraona, Księgę Hioba z jej dramatycznym pytaniem o to, gdzie jest Bóg, kiedy niewinni cierpią ucisk i prześladowanie, Księgę Izajasza z jej pieśniami Sługi Jahwe, który przyszedł „uwięzionych wyprowadzić z zamknięcia” (Iz 42, 7), a został „wzgardzony i odrzucony” (Iz 53, 3).

Wykluczeni powinni zajmować w Kościele szczególne miejsce nie dlatego, że cechują się jakimiś wyjątkowymi przymiotami moralnymi. Teologowie wyzwolenia, a wśród nich także Codina, są dalecy od romantyzowania ubóstwa. Wykluczeni powinni zajmować w Kościele szczególne miejsce, ponieważ „w ten sposób postępuje Bóg”. Píše Codina: „To oni, których los nie był Jezusowi obojętny, których On uzdrawiał, którym przebaczał grzechy, dla których rozmnóżł chleb,

których przyjmował i których błogosławił. To właśnie ci ubodzy, z którymi Jezus się identyfikuje w ewangelicznej scenie Sądu Ostatecznego, ukrzyżowani tego świata, męczennicy niesprawiedliwych systemów społecznych i ekonomicznych dominujących w świecie, które są następstwami grzechu. Są oni (...) obliczami, w których mamy dostrzec twarz Ukrzyżowanego: obliczami dzieci, kobiet, starców, wieśniaków, Afrolatynoamerykanów, Indian, robotników. Jednakże to z tych twarzy naznaczonych cierpieniem, podobnie jak z oblicza cierpiącego Sługi Jahwe z Izajaszowego proroctwa czy oblicza ukrzyżowanego Jezusa, przebija tajemnicze światło człowieczeństwa i nadziei”.

Chrześcijaństwo jest polityczne

Brazylijski teolog Clodovis Boff twierdzi, że istnienie ubóstwa może być tłumaczone na trzy sposoby. Pierwszy: ubóstwo jest wadą, to znaczy skutkiem lenistwa, głupoty lub wyrachowania, a ubodzy są ludźmi, którym się nie chce, którzy nie potrafią lub którzy tak sobie zorganizowali życie, żeby inni ich utrzymywali (brzmi znajomo?). Drugi: ubóstwo jest

zacofaniem, to znaczy problemem, który można rozwiązać za pomocą kredytów i inwestycji ponad głowami osób nim dotkniętych (a to?). Trzeci: ubóstwo jest uciśkiem, to znaczy produktem ekonomicznych, społecznych i politycznych struktur, które wykorzystują jednych i wykluczają innych, sprawiając, że bogaci bogacą się kosztem ubogich, a ci stają się jeszcze ubożsi. Teologowie wyzwolenia, a wraz z nimi Codina, opowiadają się za tą trzecią interpretacją.

O ile jednak twórcy teologii wyzwolenia, inspirując się motywem wyjścia Izraelitów z Egiptu, z optymizmem mówili o demontowaniu „struktur grzechu” i zastępowaniu ich „strukturami łaski”, o tyle Codina proponuje przyjęcie perspektywy wieloletniego wygnania babilońskiego: „Dzisiaj jesteśmy zagubieni, niejako bez wyraźnego horyzontu, ku któremu należałoby się kierować. Nie ma konkretnej globalnej alternatywy wobec systemu neoliberalnego, szaleństwem są próby ucieczki do nieistniejących rajów. Nie ma sensu ronić pełnych nostalgii łez za tym, o czym marzyliśmy w latach 70. XX w. Nie mamy innego wyboru niż →

→ wejść w ten jedyny świat, który został nam dany i który koniecznie trzeba zmienić”.

Myliłby się jednak ten, kto chciałby zinterpretować ten fragment w kluczu „zaczynania od siebie”. Doświadczenie pokazuje, że ci, którzy zaczynają od siebie, najczęściej również na sobie kończą. Pisze więc Codina: „Należy wspomagać działania mające na celu kształtowanie świadomości obywatelskiej w świecie, [w którym] politycy się zdyskredytowali, należy wspierać nowe ruchy społeczne (feministyczne, rdzennych społeczności indiańskich i afro-latynoamerykańskich, pacyfistyczne, ekologiczne, grupy wolontariatu, walczące o prawa człowieka). Należy sprzyjać organizacjom i ruchom działającym na rzecz zmiany istniejącego systemu wykluczającego całe społeczności oraz niszczącego kosmos – Matkę Ziemię”. To, że teologia wyzwolenia stoi przed wyzwaniem podjęcia namysłu nad przebudową rzeczywistości przy użyciu metod oddolnych, nie oznacza, że może ona zrezygnować z polityki. Chrześcijaństwo jest polityczne, choć nie partyjne. Wszystko jest polityczne, choć polityka nie jest wszystkim.

Ubodzy na wyciągnięcie ręki

„Sprawiedliwość Boża nie jest czymś urojonym, na co nie możemy mieć nadziei. Bóg pragnie, abyśmy zbudowali sprawie-

Teologowie wyzwolenia są dalecy od romantyzowania ubóstwa.

Wykluczeni powinni zajmować w Kościele szczególne miejsce,

ponieważ „w ten sposób postępuje Bóg”.

dliwość, pokój i jedność między ludźmi w naszym świecie i naszych czasach. Jezus Chrystus nie jest apolityczny. Jego życie, śmierć i Zmartwychwstanie były zamysłem, polityką i programem dla człowieka”. To nie Codina ani żaden spośród teologów wyzwolenia. To ojciec Józef Wrzesiński, duszpasterz obozu dla bezdomnych w Noisy-le-Grand pod Paryżem i założyciel ruchu ATD „Czwarty Świat”. Obok gett spektakularnej nędzy w tak zwanym Trzecim Świecie wciąż istnieją bowiem obszary mniej rzucającego się w oczy ubóstwa w Świecie Pierwszym, znajdujące się nieraz w zasięgu spaceru od naszych mieszkań i domów – obszary, które ojciec Wrzesiński nazywał „Czwartym Światem”.

Największą krzywdą, którą możemy w Europie wyrządzić teologii wyzwolenia, nie jest fałszywe oskarżanie jej o bycie komórką komunistycznej agentury w Kościele. Największą krzywdą, którą możemy jej wyrządzić, byłoby zapewnianie kolejnych półek polskimi tłumaczeniami książek Gutiérreza, Ellacurí i Sobrino i organizowanie kolejnych dyskusji dotyczących „specyfiki latynoamerykańskiego myślenia o Bogu” bez próby wyciągnięcia stąd praktycznych wniosków dla naszej własnej duchowości i dla naszego własnego zaangażowania. Teologowie wyzwolenia przypominali Kościołowi o tym, że chrześcijańska „ortodoksja”, czyli słuszność przekonań, jest nierozdzielnie związana z „ortopraksją”, czyli słuszością postępowania. „Sprawiedliwość społeczna bez wiary jest etyką, wiara bez sprawiedliwości staje się ideologią” – notuje Codina. Jeśli za daleko nam do tak zwanego Trzeciego Świata, na wyciągnięcie ręki mamy Świat Czwarty, świat osób dotkniętych bezdomnością, wyzyskiem i wykluczeniem – świat, którego mieszkańcy czekają na swoje wyzwolenie i którego prędzej czy później się doczekają, bo Bóg „na pewno wysłucha ich wołania”. Biada jednak nam, jeśli pozostaniemy na to wołanie głusi.

© MISZA TOMASZEWSKI

Rower na peryferiach

KS. ADAM BONIECKI

Lekcja z historii: odległe prowincje kościelne zachowują zdrowy rozsądek, a uparte centrum, niekiedy poniewczasie, musi uznać ich racje.

JUŻ PO ODDANIU DO DRUKU EDYTORIAŁU Z POPRZEDNIEGO NUMERU (czytaj na powszech.net/rowerywwatykanie) zadałem sobie pytanie: a może niechęć władz kościelnych do księży cyklistów nie była bezzasadna? Przecież kapłan na bocykle faktycznie mógł budzić u wiernych reakcje negatywne.

Towarzysz zakonnej młodości przypomniał mi opowieść naszego prowincjała z lat 1947-57, słynnego apostoła miłosierdzia warszawskiej Pragi ks. Władysława Łysika. Wspominał on, że gdy nowo zakupionym rowerem jechał ulicami Warszawy, kobiety na jego widok krzyczały: „do piekła z nim!”. Wkrótce ks. Łysika wezwał bp Aleksander Kakowski. Powiedział: „Słyszałem, że ksiądz dobrodziej na bocyklu jeździ”, i upomniał go, że „ksiądzu nie przystoi”.

Ale uleganie opinii tych, którzy agresją reagują na każdą nowość, do niczego nie prowadzi. A co ważniejsze: alergiczne reakcje dostojników kościelnych na bocykiet nie były zjawiskiem powszechnym. Opracowana, z pewnością na życzenie Piusa X, ekspertyza Świętej Kongregacji do spraw Biskupów i Zakonników ostrzegła przed oskarżeniem Kościoła o wsteczność wobec nowych wynalazków.

Najciekawsze było jednak nie to, co się działo w centrum, ale na peryferiach. Liczni bowiem księża albo protestowali, albo po prostu nie stosowali się do zakazu. Pisali do Stolicy Apostolskiej, dowodząc użyteczności duszpasterskiej bocykletu. Decyzja synodu Lombardii o zakazie używania rowerów nie mogła być ogłoszona, bo jeden z biskupów złożył *votum separatum*, ukazując w obszernym tekście absurdalność zakazu.

Kościół w USA uporał się z problemem wyjaśniając, że wszystkie regulacje wychodzące z Watykanu odnoszą się tylko do diecezji, których biskupi zwracali się o wskazówki. Same zakazy zaś – wyjaśniono – są zrozumiałe w Europie ze względu na bezpieczeństwo, tam bowiem księża poruszają się w sutanach. W Stanach kler chodzi „na krótko”, wobec tego problemu nie ma.

Sam Pius X pod koniec pontyfikatu miał dojść do wniosku, że z surowością w materii rowerów nieco przesadził, i zalecił szereg udzielanie dyspens od zakazu.

© P

SZYMON

Hołownia: *Msza dla kaszlących*



GDY KTOŚ MNIE TERAZ BĘDZIE PYTAŁ, NA CZYM opieram tezę o obecnym (mam nadzieję, że twórczym) kryzysie polskiego Kościoła, wskażę mu nie tylko ohydne polityczno-religijne amalgamaty czy toczono ostatnio debaty o kryzysie powołań. (Choć tu akurat

wypada zgodzić się z tymi, którzy przytomnie zauważali w sieci: jaki „kryzys powołań”, skoro wciąż stać nas na to, by księża zajmowali się budowlami, prowadzeniem firm, byli dziennikarzami, wojskowymi, leśniczymi, celnikami albo marnowali kapłaństwo na podawanie Ekscelencji teczki bądź okularów, których Ekscelencja, rzecz jasna, sam wziąć sobie nie może). Podam mu też do refleksji dwa ważne teksty, które w ubiegłym tygodniu opublikował portal aleteia.pl.

Pierwszy to przedruk poradnika „Podstawowe zasady zachowania podczas Mszy Świętej”, zredagowanego przez duszpasterzy jednej z parafii diecezji rzeszowskiej. Znalazły się w nim nie tylko rzeczy oczywiste (np. by w kościele nie korzystać z telefonów komórkowych), ale także polecenie, by w Domu Boga zrezygnować ze wszelkich zachowań ludzkich. „Ponieważ ośrodkiem zainteresowania w kościele jest Bóg, dlatego też w kościele ustają takie obowiązki towarzyskie, jak np. ukłony, witanie się. Kłanianie się znajomym lub uśmiechanie się do nich w kościele jest gorszące”. Mało tego: „Jeszcze bardziej gorszące są wszelkie przejawy męsko-damskich czułości. Pary nie powinny zatem w żadnym przypadku tulić się do siebie, dotykać, trzymać się za ręce i w jakikolwiek inny sposób okazywać swoje do siebie przywiązanie. Na to jest miejsce poza świątynią”. Osoby przeziębione i kaszlące powinny stać z tyłu kościoła itd., itp.

To zaiste nowy dogmat Kościoła, że sakrament Eucharystii zawieszają sakrament małżeństwa (skoro w czasie Eucharystii należy traktować małżonka jako obcą osobę). Wydaje się też, że jedynie przez nieuwagę nie polecono, by chorzy na epilepsję albo na serce też gromadzili się pod chórem, by ewentualnym osunięciem się na ziemię nie stać się przyczyną zgorszenia, dekoncentrując wiernych skupionych na „ośrodku zainteresowania”, czyli Bogu. Ciekawe, że ponad tysiąc lat po chrzcie Polski są w niej zakątki, do których nie dotarła jeszcze prawda, że Bóg obecny w Eucharystii to ten sam Bóg, który jest w kaszłym i w małżonku.

W drugim z tekstów („List do rodziców, którzy zabierają na mszę swoje niesforne dzieci. W każdą niedzielę”) Anna O’Neil apeluje do rodziców takich właśnie dzieci, by się nie poddawali i nie robili sobie wakacji od kościoła do czasu, aż pociecha skończy naście lat. Pisze, że sama bała się niedziel. Na jej pociechy nie działały prośby, groźby, próby edukacji przed mszą ani sążniste bury po niej. Pisze, że ma świadomość, iż czasem nie jest w stanie „przeżyć” takiej mszy, ale daje od siebie to, co może dać: wdowi grosz, wszystko co ma. Jest.

„Bardzo często wychodzę z mszy z uczuciem, że było to kompletne fiasko. Nie byłam nawet w stanie za nią podążyć, a wyszłam tak szybko, że zapomniałam przyklęknąć. Jaka ze mnie katoliczka? Jeśli czujesz się tak samo, nie zapominaj – małe dzieci lub dzieci wymagające szczególnej opieki, czy jakakolwiek sytuacja, w której się znajdujesz i która uniemożliwia ci ukłknięcie w spokoju i uważne słuchanie, to wyjątkowy rodzaj ubóstwa. I my, w naszym ubóstwie, naprawdę dajemy wszystko, co mamy, po prostu robiąc co w naszej mocy. Nawet jeśli w naszej mocy jest tylko pojawienie się w kościele”.

Najciekawsze, jak zwykle w polskim internecie, znalazło się pod tekstem. Dyskusja: „Gdy ktoś ma dzieci, które nie umieją się zachować, niech idzie na mszę dla dzieci albo pomodli się w domu”. „Ja mam szanować to, że oni mają dzieci? A kto uszanuje moje prawo do tego, by przeżyć mszę, tak jak chcę ją przeżyć?”. „Kiedyś widziałam księdza, który nie mógł się przebić przez płacz dziecka i przerwał Eucharystię!”. Bank rozbila pani, która zasugerowała, że współczesnym rodzicom w głowach się poprzewracało, bo ona wychowała trójkę swoich dzieci, które i spały grzecznie i w ogóle były grzeczne, a ona wieczorami śpiewała im pieśni religijne oraz patriotyczne. Argument „A moje nie płaczą!” nie zostawia miejsca na dyskusję.

O’Neil pokazała mi coś, co dotąd mi umykało: jak często ja (i, sądząc z debaty, nie tylko ja) traktuję kościół jako punkt świadczenia usług religijnych, w którym egzekwuję swoje konsumenckie prawa, domagam się, by być w komfortowych warunkach obsłużonym. Ma być zgrabne kazanko, estetyczny śpiew, żadnego przewlekłego kaszlu, dzieci tylko na mszach dla dzieci. Jak ktoś chce mdleć – proszę, ale w tylnej ławce. I niech się ten mąż z żoną nie trzymają za rękę, bo ja mam moralność pani Dulskiej itd.

Czy definicja wspólnoty brzmi: „grupa, która ma szanować wszystkie moje potrzeby”? Czy może to ja powinienem się otworzyć na to, że wspólnotę chcą tworzyć ze mną również ci, których potrzeby kolidują z niektórymi moimi?

Jasne, można w kościele zrobić getta, sektory, branżowe msze: dla kaszlących, dla wydzielających przytkrą woń biedaków, dla umęczonych rodziców z niespokojną progeniturą. Tyle że taki Kościół to nie matka, która zawsze przyjmie na ucztę nawet najsłabsze ze swoich licznych dzieci, lecz komendantka obozu jakiejś paramilitarnej formacji.

I taki właśnie Kościół – to Kościół w kryzysie. Oby ludzie, których napomni ksiądz – zgorszony, że się w kościele trzymają za ręce – mieli w sobie dość siły, żeby się nie pożegnać z Panem Bogiem. Rodzicom, na których ksiądz wylewał żale z ambony, dzieci w końcu dorosną, lecz ilu z nich wróci wtedy do parafii mimo publicznego upokorzenia? Ilu z nas wpuści do nieba bezdomny, który nie miał się gdzie umyć, a do kościoła przyszedł się zdrzemnąć pod okiem Kogoś, kto naprawdę go kocha, a nie tylko ma dla niego tuzin złotych rad?

„Upomnienie braterskie” – to pojęcie robi u nas dziś zawrotną karierę. Ale jest jeszcze czas, by zrozumieć, ile zupełnie niezmięskiej radości jest w otwarciu się na to, że jesteśmy wspólnotą słabych. Ubogi, słaby nie ma siły kogokolwiek upominać. Wie, że życie jest takie, iż dziś ktoś przeszkadza mnie, a jutro ja, nie chcąc tego, będę przeszkadzał komuś. Pocucie własnej siły – od biskupów do ostatniej ławki – oto czynnik odpowiedzialny za większość tych przypadków, w których ludzie omijają dziś nas, Kościół, bardzo szerokim łukiem. ©

WIECZNA POLITYKA KREMLA

PROF. TIMOTHY SNYDER, HISTORYK:

Rosji jest obojętne, czy Polacy ją lubią, czy nie.
Ważniejsze są inne pytania: Czy lubią Unię Europejską?
Czy ich kraj jest państwem praworządnym?

MARCIN ŻYŁA: Inwazja na Ukrainę, wspieranie skrajnych ruchów w Europie, manipulacja podczas wyborów w USA. Czy Rosja realizuje własny plan zniszczenia zachodniego porządku, czy wykorzystuje okazje, które Zachód sam stwarza?

TIMOTHY SNYDER: Państwo, które wykorzystuje okazje, jest też dobrze przygotowane – ma światopogląd i strategię. W Rosji polityka to spektakl, w którym rządzący oligarchowie i kleptokraci przekonują obywateli, że cały świat jest taki, jak ich kraj. I że nie ma alternatywy.

Ludziom Zachodu zawsze wydawało się, że są pierwsi. Sądzę, że mniej więcej od dekady już tak nie jest. To Rosja pierwsza dostała się do miejsca, w którym polityka wygląda inaczej. Nazywam ten stan „polityką wieczności”. Zaprasza nas tam, wykorzystując to, że mamy podobne skłonności – ku oligarchii, nierówności społecznej, skorumpowanym mediom czy brakowi wiarygodnych wiadomości lokalnych. I dlatego to, co się teraz dzieje na Zachodzie, należy rozumieć przez pryzmat tego, co wcześniej stało się w Rosji.

W Polsce czy Stanach Zjednoczonych mamy pokusę bycia cynicznym wobec innych oraz wobec państwa. Przestajemy wierzyć w prawdę i dziennikarstwo. Kreml to wykorzystuje. Inaczej niż Związek Sowiecki w XX w., Rosja nie proponuje żadnej wizji czy utopii. Jej „wizja” po-

lega na tym, że wszyscy jesteśmy marni. Wszędzie są tylko korupcja i kłamstwa.

W takim ujęciu Zachód jest przestrzenią, w której panuje zło, Rosja zaś – jego zbawicielką.

Do niedawna rządziło nami przekonanie, że polityka opiera się na działaniu – aby osiągnąć określony cel, należy wymyślić plan i wcielić go w życie. Istnieje jednak inne rozumienie polityki, które polega na podkreślaniu nie tego, co robimy, lecz tego, kim jesteśmy. Takie podejście dominuje obecnie na Kremlu.

Zgodnie z nim Rosja jest ostoją wartości, właściwie jedyną liczącą się cywilizacją europejską, zagrożoną przez korupcję Unii i Ameryki. Jeżeli można przekonać obywateli, że nie chodzi o to, aby państwo coś robiło, ale o to, żeby ich określało, oligarchowie i kleptokraci zyskują na tej sytuacji. Nie mogą zmienić państwa. Dopóki Putin jest u władzy, praworządność nie jest możliwa. Mogą jednak przekonywać obywateli, że dzieje się tak nie dlatego, że są bogaci i mają większe możliwości, lecz z powodów metafizycznych – gdyż posiadają monopol na dobro.

To właśnie powtarza propaganda Kremla: owszem, mamy w Rosji problemy, ale mają je też inne kraje – a tylko u nas panują wartości. Polityka Unii Europejskiej i Stanów Zjednoczonych nie ma tu znaczenia – przejście do poli-

tyki wieczności nastąpiło w Rosji w momencie stosunkowego spokoju w relacjach z Zachodem. Wystarczy, że Europa i Ameryka istnieją. Dopóki istnieją – są alternatywą.

W swojej nowej książce „The Road to Unfreedom” (Droga do niewolności) opisuje Pan moment, w którym doszło do zwrotu Rosji w stronę polityki wieczności, czyli stanu, w którym zamiast postępu widzi się raczej niekończący się cykl upokorzeń, upadku i ponownych narodzin własnej kultury i cywilizacji. To rok 2012.

Kiedy Putin został prezydentem po raz drugi, był już na misji. Wiedział, że nie będzie uprawiał polityki w dotychczasowym sensie tego słowa, lecz stanie na czele państwa-cywilizacji. Od tego momentu nie chciał już dyskutować o przeszłości z Europą, ponieważ historię zaczął rozumieć wyłącznie jako szereg ataków Zachodu na Rosję.

Co się stało później?

Polityka zagraniczna Kremla została oparta o ideę tzw. Eurazji: nie szukamy własnych wad, bo takich nie mamy; w Unii widzimy wyłącznie wzory negatywne, nie szukamy z nią porozumienia, tylko tworzymy alternatywę – Unię Euroazjatycką. To wszystko działo się przed Majdanem i inwazją na Ukrainę.



TIMOTHY SNYDER jest historykiem, profesorem Yale University. Związany z Instytutem Nauk o Człowieku w Wiedniu. Opublikował m.in.: „Skrwawione ziemie. Europa między Hitlerem a Stalinem”, „Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie”, „O tyranii. 20 lekcji z XX wieku”. Wkrótce ukaże się polski przekład jego ostatniej książki „The Road to Unfreedom”.

Wiele miejsca poświęca Pan patronom, którzy kształtują filozofię polityki Kremla. Pisze Pan o wpływowym Klubie Izborskim, think tanku Aleksandra Prochanowa, Lwie Gumilowie, oddanym koncepcji Euroazji, Aleksandrze Duginie, który tę koncepcję przeformułował w kategoriach nazistowskich, oraz przede wszystkim o Iwanie Iljynie, prawosławnym myślicielu i autorze doktryny o przeciwstawianiu się złu siłą.

Dla Iljina demokracja i głosowanie były rytuałami. Lidera należało popierać, ponieważ był postacią transhistoryczną – kimś, kto nie istniał w normalnym trybie historycznym, pojawił się nagle. Taka jest biografia Putina oraz Trumpa.

Właśnie w myśli Iljina znajdziemy pogląd, że historia się powtarza – widać w niej wyłącznie wrogość Zachodu wobec Rosji. Władimir Putin sprowadził do Rosji ze Szwajcarii zwłoki Iljina, szukał jego archiwum w Stanach Zjednoczonych, cytował go w najważniejszych momentach swojej prezydentury. Jego idee miały wpływ na decyzje Kremla, ale my na Zachodzie byliśmy na to ślepi. Nie było nikogo, kto by śledził, kogo Putin cytuje.

To właśnie pod wpływem tych idei Putin świadomie nawiązuje do 1030. rocznicy chrztu Rusi Kijowskiej i – mając za nic prawa historii i czasu – niemal wciela się w postać Włodzimierza I Wielkiego?

To czysty Iljin: Rosja jest Rosją nie dzięki temu, że politycy coś robią, lecz dlatego, że historia się powtarza. Wielu Rosjan widzi duchowe źródła swojego kraju w Rusi Kijowskiej. Nowym Wołodymirem staje się Władimir. Putin.

Putinowi i Władisławowi Surkowowi – współpracownikowi prezydenta, który odpowiada m.in. za telewizyjną propagandę – Iljin daje legitymację do ➔

→ postmodernistycznego patrzenia na rzeczywistość. Głosi, że na tym świecie nie ma nic prawdziwego. A jedyną prawdą jest Boża prawda, wszędzie poza Rosją zapomniana. Rosja jest więc jedyną szansą na odrodzenie prawdy. Reszta świata, rzeczywistość empiryczna, jest okryta fałszem.

To pozwala Surkowowi traktować świat i politykę jako przestrzeń dla fikcji. Nie da się kłamać – bo skoro nie ma prawdy, nie ma też kłamstw. W Iljinie widzimy usprawiedliwienie świata, w którym nikt nie powinien wierzyć w prawdę. A najlepszy patriota to ten, kto najskuteczniej fałszuje rzeczywistość na rzecz Rosji.

Jeśli około 2013 r. Rosja rzeczywiście zaproponowała alternatywę wobec Zachodu – model sukcesu, rozumiane go już nie w kategoriach zamożności i wolności, lecz cywilizacji i kultury – to czy Europa i Ameryka mogą na to jakoś odpowiedzieć?

Według konwencjonalnych miar Rosja jest państwem słabym: nie rozwija własnych technologii, mimo rozmiaru i potencjału eksportuje nieco mniej niż Holandia. Nie powinna być w stanie konkurować z Zachodem. W takim opisie tkwi jednak nieporozumienie. Bowiem Rosja ma filozofię – przełożoną na język polityki dzięki telewizji, internetowi i służbom specjalnym – że prawda nie istnieje. Kremlowi świetnie wychodzi sprzedawanie Zachodowi narracji, że u nas jest gorzej, niż się nam wydaje.

Dla Zachodu było dotąd oczywiste, że dzięki temu, iż symbolizuje demokrację i dobrobyt, wywiera bierny wpływ na innych. Ale to wrażenie coraz słabiej przekracza granicę rosyjską – Rosjanie odrzucili bowiem ten wpływ i jednocześnie uderzyli w słaby punkt Europy. Unii wydawało się, że zawsze będzie magnesem, który przyciąga. Lecz podczas swojej drugiej prezydentury Putin odrzucił tę ofertę i zaczął nowy etap w historii Unii. Nikt u nas nie zwrócił na to uwagi.

Dlaczego?

Ponieważ Unii nie interesowała historia jej samej. W pierwszych dekadach swojego istnienia Wspólnota była ratunkiem dla zachodnich imperiów, które traciły swoje peryferie. Po roku 1989 Unia stała się też ratunkiem dla państw wschodnioeuropejskich, wcześniej peryferii imperium sowieckiego. Jej wielkim osiągnię-

Prace dziennikarza i historyka są ze sobą związane. Bez pierwszych, może czasem niedoskonałych sprawozdań reporterskich, **nie jesteśmy w stanie pisać historii.**

ciem było stworzenie z tych fragmentów przestrzeni demokracji i dobrobytu.

Zapomnieliśmy o tym. Podczas debaty o brexicie obie strony zgodziły się, że po wyjściu Zjednoczonego Królestwa z Unii będzie istnieć jakieś państwo brytyjskie. Ale przecież narodowego państwa brytyjskiego nigdy nie było. Kiedyś istniało imperium, potem Zjednoczone Królestwo w Unii. To, co nastąpi po brexicie, to otchłań, niewiadoma.

Także Polacy myślą o swojej przeszłości w kategoriach państwa narodowego. Owszem, była II Rzeczpospolita, ale zgodzimy się, że ten okres nie zakończył się szczęśliwie i raczej nie potwierdza teorii o wartości i samowystarczalności państw narodowych. W 1989 r. w Polsce zdawano sobie z tego sprawę i zwrócono się na Zachód. Był to moment mądrości: uznanie, że aby mieć silną państwowość, potrzeba rzeczywistości politycznej na wyższym poziomie – Unii Europejskiej.

Rosjanie bezlitośnie wykorzystują europejskie iluzje. Brytyjskie – że była kiedyś „narodowa” Wielka Brytania. Polskie – że w latach 30. XX w. tak naprawdę nie było najgorzej. Mówią: kiedy byliśmy państwami narodowymi, było najlepiej, wróćmy do tego momentu, bądźmy razem wolni.

Także na Zachodzie te idee zyskują na popularności. Mamy wzrost ruchów neonazistowskich i skrajnie narodowych. Mamy „politików wieczności”, którzy wracają do idei państwa jednolitego etnicznie. Kłamstwa i manipulacje są w użyciu tak długo, jak długo stoi za nimi interes polityczny. Czy na poziomie postaw społeczeństw zachodnich jest równie groźne?

Globalizacja nie prowadzi automatycznie do komunikacji najlepszych z najlepszymi, do oświecenia. Może być brunatna. Pozwala na politykę lęku.

Siedzimy przed ekranami komputerów i smartfonów ludząc się, że zachowujemy autonomię. Jednak, chcąc nie chcąc, ostatecznie jesteśmy włączani do ogólnoswiatowej rozmowy, często kierowanej w ten sposób, abyśmy na końcu poczuli strach albo swoich sąsiadów uznali za wrogów. Obrazy docierają do nas szybciej niż słowa. Emocje i lęk – szybciej niż myśli.

W 2016 r. technologia pozwoliła Rosjanom na manipulację podczas wyborów prezydenckich w Stanach Zjednoczonych. Skrajna prawica z różnych krajów współpracuje ze sobą w internecie, czasem z pomocą Rosji. To działanie skoordynowane. Dlaczego George Soros pojawia się teraz jako symbol międzynarodowego spisku żydowskiego nie tylko na Węgrzech, ale też w Polsce czy w Stanach Zjednoczonych? Przecież niczego konkretnego nie zrobił. Amerykańscy rasiści, niczym amerykańscy komuniści z lat 20. XX w., bardzo lubią Rosję. Nigdy tam nie byli, nie znają rosyjskiego, nic nie wiedzą o Rosji. A jednak ją adorują. Powtarzają, że Putin jest przewodnikiem ich „białego projektu”.

Czy Zachód może na to odpowiedzieć? Tak, choć nie na tym samym poziomie. Można patrzeć na internet sceptycznie – Europa już tak robi. Można wspierać lokalne media i budować zaufanie do dziennikarstwa. Ludziom brakuje dostępu do informacji lokalnych, są więc przyciągani do mediów „odległych”. A skoro jest tak, że informacja nie ma już bezpośredniego kontaktu z życiem, dlaczego nie wybrać tej, która jest wygodniejsza?

W „The Road to Unfreedom” jest przejmujący fragment o rosyjskiej dziennikarce, która w lipcu 2014 r. jest świadkiem bombardowania Ukrainy od strony Rosji. Całą książkę zadedykował Pan reporterom, „bohaterom naszego czasu”. Czy odzyskanie faktów dla historii i debaty publicznej jest jeszcze możliwe?

Wygrana nie jest pewna. Musimy jednak odbudowywać ten nasz oświecony świat, w którym pewna grupa profesjonalistów – dziennikarze i reporterzy – dostarcza nam fakty, my zaś na ich podstawie ćwiczymy podejście krytyczne. Co się stanie, gdy zabraknie reporterów? Pozostanie w nas tendencja, żebyśmy byli krytykami – lecz nie będzie już faktów.

Cytując w książce dziennikarzy chciałem pokazać, jacy są dziś ważni. To ważne, aby wiedzieć, że Rosjanie ostrzeliwali

Ukrainę ze swojego terytorium, rosyjskie bojówki zaś kierowały się do miast ukraińskich. Ważne, aby mieć faktografię wojny. Prace dziennikarza i historyka są ze sobą związane. Bez pierwszych, może niedoskonałych, ale często uważnych sprawozdań reporterskich nie jesteśmy w stanie pisać historii. Kiedy nie będzie już dziennikarzy, a źródła państwowe będą wyłącznie elektroniczne, będzie trudno.

Dlaczego Europa tak późno zorientowała się, że rosyjski atak na Ukrainę jest tak naprawdę wojną o przyszłość Europy?

Ukraińcy, którzy byli na Majdanie – i mówię to nie tylko na podstawie swoich doświadczeń i rozmów, ale także badań socjologicznych – znajdowali się w sytuacji epistemologicznie uprzywilejowanej. Wiedzieli, co jest istotne – że Europa to potwierdzenie i umocnienie ukraińskiej świadomości. Takiej wiedzy nie ma na Zachodzie, ponieważ już mało kto pamięta o tym, że dopiero dzięki integracji staliśmy się państwami w obecnym kształcie.

Na Kremlu zdawano sobie sprawę, że jeżeli Ukraińcy zbliżą się do Europy, Rosjanie również uznają, że to możliwe. Zobaczą – wbrew wizji wyjątkowej, jedynej Rosji, o której mówiliśmy wcześniej – że jest alternatywa. Ale na Zachodzie mało kto rozumiał, o jaką stawkę toczy się gra, długo postrzegano kwestię ukraińską jako marginalną. Tak już jest: gdy zostaje się członkiem Unii Europejskiej, zapomina się, jakie to ma znaczenie.

Doszła do tego jeszcze jedna nowość. Az do 2014 r. Europejczycy nie mieli do czynienia z wrogością wobec własnego projektu. Były kraje niezainteresowane członkostwem, były kraje poza zasięgiem, nikt jednak nie podejrzewał, że Rosja będzie chciała zniszczyć Unię.

Niestety, Europejczyków, podobnie jak Amerykanów, wciągnęła rosyjska propaganda. Podczas Majdanu dyskutowano o obecności, w zależności od własnych przekonań, nazistów, Żydów; pytano, czy Ukraina jest państwem. Rosjanie wykorzystywali naszą niewiedzę. Do brytyjskiej lewicy docierał komunikat, że Ukraińcy są nazistami. Do francuskiej skrajnej prawicy – że samo istnienie Ukrainy jest przejawem żydowskiego spisku.

Propaganda Kremla forsowała koncepcję polityki wieczności: Ukrainy nie ma, nigdy jej nie było. Jest pewien spór – językowy, cywilizacyjny – wewnątrz te-

Żyjemy w rosyjskim świecie, wśród rosyjskich wpływów.

Pytanie brzmi: jak bardzo
Kremlowi uda się nas
zmienić, zanim w samej Rosji
nastąpi kolejny kryzys?

rytorium ukraińskiego. Przez sześć miesięcy w zachodniej prasie ukazywały się mapy z liniami przebiegającymi przez terytorium kraju z informacją, gdzie mówi się po rosyjsku, a gdzie po ukraińsku. To istota polityki wieczności: linie i wieczne, odradzające się konflikty. Efekt był taki, że w tym kluczowym dla współczesnej historii kontynentu momencie Europejczycy myśleli obcymi sobie kategoriami.

Co może czekać Polskę w tej rozgrywce?

Prezydent Trump jest przykładem otwartego wpływu rosyjskiego. Kiedy kilka tygodni temu w Helsinkach pytano Putina, czy go popierał – przytaknął. Rosjanie wspierali Trumpa, Trump wspiera Rosjan. Jeśli ktoś tego nie dostrzega, to tylko dlatego, że nie chce.

Jednak Rosji nie zależy na tym, aby wszystko było tak oczywiste. Wystarczy, że rusyfikuje się wewnętrzna polityka danego kraju. W Polsce ewidentnie tak jest. Można zapytać: jak to możliwe, że zbliżamy się do Rosji, skoro rządząca polska prawica nie jest przyjazna Moskwie. To iluzja – Rosji jest obojętne, czy Polacy ją lubią, czy nie. Dla Kremla ważniejsze są inne pytania. Czy Polacy lubią Unię Europejską? Czy Polska jest państwem praworządym? Czy funkcjonuje tu jeszcze społeczeństwo obywatelskie, w ramach którego istnieje dialog?

Polityka wieczności nie jest pomysłem rosyjskim. I choć to Rosjanie ją teraz „eksportują”, to dzieje się tak dlatego, że dostali się do takiego punktu doskonałości, wieczności przed nami. Ale skłonność do polityki wieczności jest w nas wszystkich. Widać ją też w Polsce.

W jaki sposób?

Jej najbardziej zauważalny objaw to ciążenie ku przekonaniu, że w przeszłości Polacy byli zawsze niewinni. Sądzę, że je-

śli społeczeństwo w to uwierzy, w przyszłości Polacy nie będą w stanie obronić swojej niezależności. Jeśli uznaje się siebie za niewinnego, nie można zrozumieć drugiego. A bez tego drugiego, czyli sojuszników, polska państwowość będzie zawsze w słabym położeniu – to najważniejsza lekcja z historii Polski XX w. Im bardziej kolejne pokolenie Polaków będzie przekonane o metafizycznej niewinności swojego narodu, tym bardziej będzie ciążyło ku Rosji.

Co więcej: między polską prawicą a Rosją historycznie nie było dużych sprzeczności. Politycy endeccy obawiali się Zachodu bardziej niż Rosji, ponieważ stanowił dla nich zagrożenie cywilizacyjne. Nie jest wykluczone, że któregoś dnia obudzimy się i zobaczymy, że polska prawica nagle Rosję polubiła. Ale zanim polubi, stworzy Polskę bardziej do Rosji podobną.

Czy zestaw poglądów, który stanowi bazę rosyjskiej polityki, jest trwały na tyle, że będzie ją kształtował niezależnie od tego, czy gospodarzem Kremla będzie Putin?

W ciągu ostatnich kilku lat Putinowi udało się zmienić istotę stosunków międzynarodowych. Emocje i to, co subiektywne, zaczęły się liczyć bardziej niż stan gospodarki. Jednak obiektywne, gospodarcze problemy Rosji są bardzo duże. Rosjanie trzeba więc przekonywać, że na Zachodzie nie jest lepiej. Właśnie dlatego, że nikt nie ma pojęcia, co zastanie po Putinie, trwa spektakl zagraniczny. Łatwiej i taniej niż rozwiązać problemy rosyjskie jest ingerować w amerykańskie wybory.

Pytanie brzmi: jak bardzo Kremlowi uda się nas zmienić, zanim w Rosji nastąpi kolejny kryzys? Dziś żyjemy w rosyjskim świecie, wśród rosyjskich wpływów. Kreml znajduje się teraz u szczytu swoich możliwości. Chyba samemu Putinowi nie marzyło się, że zdoła wybrać amerykańskiego prezydenta. Ale Rosja jeszcze nie wygrała. Putin nie żyje wiecznie, a po jego śmierci rosyjska oligarchia wejdzie w wewnętrzny konflikt. Jeżeli Polska, Unia i Ameryka potraktują obecny moment jako wyzwanie, okazję do refleksji i reform, może się okazać, że są silniejsze od Rosji. Szansa Zachodu polega na tym, że potrafi uczyć się ze swojego doświadczenia. W polityce wieczności, tam, gdzie nas zaprasza Rosja, już się tak nie da – bo doświadczenia, po prostu, nie ma.

© Rozmawiał MARCIN ŻYŁA

KOŚCI NIEZGODY

Rząd w Madrycie chce ekshumować generała Franco z monumentalnego górskiego mauzoleum. Od 40 lat nikt nie odważył się tknąć tego miejsca.

KATARZYNA KOBYLARCZYK Z MADRYTU, PAMPELUNY I DOLINY POLEGŁYCH

NIGDY OFICJALNIE NIE POWIEDZIAŁ, ŻE chciałby być tam pochowany. Po- noć wszyscy bali się zapytać. Trudno sugerować dyktatorowi, że myśli się o jego śmierci.

Diego Méndez, architekt Doliny Poległych – gigantycznego mauzoleum w górach na północ od Madrytu – nie odważył się na to. W zamian, na własną rękę, przygotował grób dla Francisca Franco. Taki sam jak ten, w którym w 1959 r. spoczął José Antonio Primo de Rivera (rozstrzelany przez republikanów założyciel Falangi): otwór w posadzce o wymiarach 226 cm na 105 cm, nakryty granitową płytą. Méndez chciał, by grób Franco znalazł się bardziej z tyłu niż grób Riverę, między chórem i głównym ołtarzem. „Jakby był tu gospodarzem, osobą, która wita innych we własnym domu” – opowiadał w latach 70. dziennikarzowi Danielowi Su-eiro.

Nowy lewicowy rząd w Madrycie przygotowuje prawo, które ma pozwolić jeszcze latem tego roku – 43 lata po śmierci – zabrać szczątki generała z Doliny Poległych. Ale także kości innych zmarłych w czasie wojny domowej są wyzwaniem dla hiszpańskiej demokracji. W Sewilli kontrowersje budzi grób generała Queipo de Llano, pochowanego w bazylice La Macarena. Pampeluna – nie bez protestów – ekshumowała ciała generałów Emilia Moli i Joségo Sanjurjo z Pomnika Poległych.

Tymczasem tysiące rodzin wciąż szukają szczątków swych bliskich, rozstrze-

lanych przez falangistów i nacjonalistycznych żołnierzy, które leżą w bezimiennych zbiorowych mogiłach (szacuje się, że „zaginięło” w ten sposób 130 tys. osób).

– Główny problem tkwi w nierówności, z jaką traktowano ofiary obu stron – uważa Josetxo Munárriz. – Podczas gdy jednych po wojnie chowano w mauzoleach, drudzy byli porzucani w przydrożnych rowach albo znikali na zawsze.

Pampeluna.

Pierwszy, który oddał życie

Wuj Josetxa Munárriza do niedawna spoczywał w lokalnym mauzoleum. Według frankistowskiej wykładni 18 lipca 1936 r. to on poległ jako pierwszy w regionie Nawarra w walce z czerwonymi.

– Czy był pierwszy? Nie mam pojęcia, jest mi to obojętne – mówi Munárriz. – Ale to prawda, wujek wierzył, że Bóg posłał go do walki. Cała moja rodzina to byli zatwardziali karliści [członkowie skrajnie konserwatywnego ruchu katolickiego w Hiszpanii w XIX i XX w. – red.]. Wujek został ciężko ranny podczas walki z komunistami, zmarł kilka dni później. Miał 21 lat.

W 1951 r. jego ciało ekshumowano z rodzinnego grobu i przeniesiono do krypty pod zbudowanym kilka lat wcześniej Pomnikiem Poległych w Pampelunie. Obok „pierwszego, który oddał życie”, trafili tam także: 15-latek, który „umarł, gdy zaczął żyć”, staruszek, który „zwyciężył wiek siłą ducha”, ksiądz, który „szedł uzbrojony w krzyż”, i dwóch braci „w życiu



i śmierci”. Mieli stanowić honorową reprezentację nawarczyków, towarzyszącą ciałom generałów Emilia Moli i Joségo Sanjurjo – autorów spisku wojskowego przeciw republice, który w 1936 r. doprowadził do wybuchu wojny domowej.

Munárriz od 2015 r. domagał się ekshumacji wujka spod Pomnika Poległych. Jak twierdzi: „z powodów moralnych”. Okazja nadarzyła się w 2016 r., gdy rada miasta – właściciel Pomnika – postanowiła go „zdefrankizować”.

Choć miasto dogadało się arcybiskupstwem, nie obeszło się bez protestów. Do ostatniej chwili wydobyć ciała próbowały wstrzymać rodziny generała Sanjurjo i Severiana Arregui Olalquiaga (który



JAVIER BARBANCHO / REUTERS / FORUM

Demonstracje zwolenników generała Franco przed mauzoleum w Dolinie Poległych, lipiec 2018 r.

„duchem zwyciężył swój wiek”). Bezskutecznie. 16 listopada 2016 r., pół godziny po północy, do krypty zeszli przedstawiciele władz, arcybiskupstwa, rodzin i antropologów. Ciało generała Moli nie było już w Pampelunie: kilka dni wcześniej rodzina, z pomocą wynajętej firmy pogrzebowej i w największej tajemnicy, zabrała jego szczątki z sarkofagu. O przeprowadzenie ekshumacji pozostałych poproszono Francisca Etxeberrię, gwiazdę hiszpańskiej medycyny sądowej (zasłynął m.in. badaniem szczątków chilijskiego prezydenta Salvadora Allende i poszukiwaniem ciała poety Cervantesa). Etxeberria od początku jest zaangażowany w ruch na rzecz ekshumacji ofiar wojny i powojennych re-

presji. Wydobył z anonimowych grobów szczątki już ponad ośmiu tysięcy osób.

Josetxo Munárriz był przy tym, jak rozkuwano sarkofag wuja. Czuł, że zrobiono to godnie i z szacunkiem. Mówi: – Mój ojciec był lekarzem. Pamiętał pierwszą ekshumację, tę z lat 50., gdy wujka brali do Pomnika. Po wyjęciu z cynowej trumny ciało było nietknięte. Ludzie na cmentarzu szeptali, że to cud, ale ojciec, racjonalista, burknął tylko: „To nie cud, to próżnia”.

Dlatego Munárriz zdziwił się, gdy Etxeberria wręczył mu wyjętą z sarkofagu małą kaskę. Wewnątrz było tylko kilka kości. Nikt nie potrafi powiedzieć, co stało się z resztą „tego, który pierwszy oddał życie”. Munárriz: – Pomyślałem, że

skoro tak traktowali ciała swoich bohaterów, to co musieli robić z ciałami wrogów?

O tym już za chwilę opowie nam Fausto Canales. Ale najpierw musimy zbudować Dolinę Poległych.

Dolina Poległych. Mauzoleum generała Franco

Dolina Poległych (hiszp. El Valle de los Caídos) była oczkiem w głowie Francisca Franco. Myśl o budowie, w której spoczęliby „męczennicy i bohaterowie” polegli w „krucjacie” (tak propaganda nazywała wojnę domową), powziął na długo przed końcem walk. Decyzję o wzniesieniu w górach Sierra de Guadarrama – 55 km na północny zachód od Madrytu – wielkiego →

→ mauzoleum, złożonego z klasztoru, wykutej w skale bazyliki i gigantycznego krzyża, ogłosił w 1940 r., pierwszym roku po zwycięstwie.

Sam wybrał dla niego miejsce. A właściwie nie wybrał – odnalazł.

Dyktator miał powiedzieć do benedyktyna Justa Péreza de Urbel, późniejszego opata klasztoru w Dolinie (tamtejsi benedyktyni opiekują się mauzoleum), jak któregoś dnia zaproponował generałowi José Moscardó, obrońcy Alkazaru w Toledo: „Chciałbyś, żebyśmy poszli poszukać Doliny Poległych?”. Razem ruszyli w góry. Legenda głosi, że dwaj generałowie wspinali się po ścieżkach wydeptanych przez kozy, wśród piniowych drzewek. Dotarli na szczyt, którego nazwa wywarła na nich wrażenie: Ołtarz Główny. Dostrzegli inne wzniesienie, jeszcze bardziej majestatyczne: wyglądało, jakby ogromna dłoń usypała tu stos ogromnych kamieni. To była Nawa. „Tylko nie każ się tam wspinać” – miał jęknąć Moscardó, a Franco odrzekł wspaniałomyślnie: „Teraz nie jest to konieczne. Ale któregoś dnia wejdziemy tam i śmiem oczekiwać, że zrobi to także wielu Hiszpanów”.

Miał rację. Jeszcze w latach 90. Dolinę Poległych odwiedzał rocznie milion ludzi (w tym turyści). Ostatnie dane mówią o 300 tys. Najwięcej przyjeżdża jesienią: 20 listopada przypadają rocznice śmierci Rivery i Franco. Na ich grobach nigdy nie brak goźdźników i róż.

Także dziś. Jest niedziela i wykuta w skale bazylika jest pełna ludzi. – To dlatego, że rząd ogłosił, iż ekshumuje Franco – tłumaczy Pablo Linares. – Zawsze, kiedy lewica zaczyna prześladować Dolinę, nie chcący zmienia ją w cel pielgrzymek.

Linares jest przewodniczącym Stowarzyszenia Obrony Doliny Poległych. Jego dziadek był kamieniarzem, pomagał ją budować. Linares uważa, że Dolina to najdoskonalszy symbol pojednania Hiszpanii po wojnie domowej. Odpowie na każdy zarzut pod jej adresem. A będzie ich kilka.

Prace nad Doliną ruszyły w 1941 r. i trwały 18 lat. Franco osobiście ich doglądał. Poprawiał rysunki projektantów (było ich dwóch: Pedro Muguruza, a po jego śmierci Diego Méndez). Zżymał się na architektów. „Jest konieczne, aby kamienie, które wzniesiemy, miały w sobie wielkość pomników starożytności, aby rzuciły wyzwanie czasowi i zapomnieniu” – oświadczył. Zapowiedziany i niezapowiedziany przyjeżdżał na budowę. W połowie prac

nad podziemną bazyliką, dynamitem i kilofami rytą w skale Nawy przez więźniów politycznych i wolnych robotników, oznajmił: „Temu brakuje wymiaru”. 11-metrowy wówczas tunel powiększono prawie czterokrotnie.

Ofiar śmiertelnych było zaskakująco niewiele: mówi się o czterestu. Kolejnych 50 robotników zmarło na pylicę.

Po 18 latach podziemna bazylika sięgnęła prawie 300 m w głąb skały. Nawa główna liczy 262 m długości i 41 m wysokości. Góruje nad nią krzyż, który uważa się za najwyższy na świecie: 150 m wysokości. Zrobiono go z 20 mln m³ zbrojonego betonu, pokrytego 4 mln m³ granitu i 3 mln m³ kamiennej okładziny. W pustych w środku ramionach, długich na 24 m każde, mogłyby minąć się dwa autobusy.

Wszystko to powstało w przymierającej głodem, pogrążonej w biedzie powojennej Hiszpanii, gdzie kobiety wymieniały się przepisami na ziemniaczaną tortillę bez jajek. I bez ziemniaków.

W 1958 r. budowa Doliny Poległych miała się ku końcowi. Zbliżała się pora, by zapęlić ciałami podziemne krypty.

To dobry moment, by Fausto Canales opowiedział o swoim ojcu.

Aldeaseca. Sucha studnia

Ojciec Fausta Canalesa nazywał się Valerico Canales Jorge. Pochodził z Pajares de Adaja, wioski koło Avili. Był *jornalero*, robotnikiem dniówkowym. Pracował jako żeńca. Kiedy kończyły się zniwa, zatrudniał się przy naprawie dróg, czyszczeniu rowów nawadniających, budowie kolei. To dało mu trochę obycia w świecie, nieco szerszy ogłęd spraw.

Fausto Canales uważa to za pierwszą z jego win. Drugą była przynależność do Casa del Pueblo, syndykatu robotników rolnych. Trzecią – czytanie gazet.

Falangści przyszli po niego w nocy 20 sierpnia 1936 r. Ręce związali mu *atillos*, sznurem do wiązania zboża. Taki sznur ma gotową pętlę i węzeł. Musieli dostać go od sąsiadów. Canales: – Tu, w prowincji Àvila, nie było wojny domowej. Przewrót zatriumfował natychmiast. 18 lipca 1936 r. cała północno-zachodnia część Hiszpanii, od Valladolid przez Leon i Salamanę po Galicję, znalazła się w rękach wojskowych. Ojciec nie walczył, nie miał na rękach krwi.

Ci, którzy przyszli po Valerica, byli z tzw. „patrolu śmierci”. Mieli listę przy-

gotowaną przez ludzi ze wsi. Zabrali siedem osób: sześciu mężczyzn i kobietę. Zastrzelili ich w przydrożnym rowie, 7 km za miastem Arévalo. Nazajutrz o świcie kazali parobkowi ze wsi Aldeaseca wrzucić ciała do suchej studni na jednym z pól.

Fausto Canales miał wówczas dwa lata. Nie pamięta ojca. – Tylko coś w rodzaju cienia – mówi. – Jakbym go wyczuwał, intuicyjnie czuł jego obecność w moim wczesnym życiu.

Że ciało ojca może znajdować się w Dolinie Poległych, Fausto zaczął podejrzewać już w 1959 r. Ale nie miał pewności. Zdobyl ją dopiero w 2003 r., gdy odnalazł i rozkopał suchą studnię w Aldeasece. Na jej dnie leżały tylko pojedyncze kości. Widać było, że szczątki ktoś stąd zabrał.

Dolina Poległych. Ciało anonimowe

Gdy Franco marzył o Dolinie Poległych, myślał o miejscu, gdzie pochówek znajdą „bohaterowie i męczennicy”, „polegli za Boga i Hiszpanię” w „krucjacie przeciw marksistowskim hordom”. W jego zamysśle Dolina miała służyć zwycięzcom.

Ale w latach 50. retoryka zmieniła się: zaczęto mówić o pojednaniu. Dolina nie miała być już miejscem tylko dla poległych i zamordowanych frankistów. W 1958 r. zdecydowano, że przyjmie też ciała poległych i pomordowanych ze strony republikańskiej, „jak nam nakazuje duch chrześcijańskiego przebaczenia, pod warunkiem, że byli narodowości hiszpańskiej i wyznania katolickiego”.

Czy rzeczywiście chodziło o pojednanie podzielonego narodu? Pablo Linares i większość hiszpańskiej prawicy nie ma wątpliwości. Ale lewicowi historycy i publicyści mówią, że szło raczej o to, by zrujnowana i głodna Hiszpania nawiązała dobre stosunki z zagranicą. Pojednanie – nawet markowane – robiło dobre wrażenie na USA i zachodniej Europie.

Z całej Hiszpanii zaczęły napływać do Doliny skrzynie pełne ciał. Ekshumowano pobojujowiska. Władze lokalne wskazywały miejsca, gdzie mogą znajdować się nieoznaczone pochówki.

Było ich mnóstwo. Leżeli w nich ludzie, po których – jak po ojca Fausta Canalesa – przyszli żołnierze Franco albo falangści: rozstrzelali bez sądu i pochowali w rowie, studni albo pod murem cmentarza.

Krypty w Dolinie Poległych były przepastne. Ale nagle okazało się też, że nie wszyscy „męczennicy” chcą w nich leżeć.

Przeniesienia ciała Joségo Calvo Sotelo – prawnicowego polityka, zamordowanego przez republikanów w przededniu wojny – odmówiła wdowa. Na ekshumację nie zgodzili się rodziny rozstrzelanych w Paracuellos de Jarama: masakra blisko 2 tys. prawicowych wojskowych, duchownych i cywilów, wywiezionych z madryckich więzień, to największa jednorazowa zbrodnia na sumieniu republikanów.

Ale w sprawie ciała robotnika rolnego Valerica Canalesa Jorgego nikogo nie pytano o zdanie. Po prostu wykopano je – 1 marca 1959 r. – wraz z sześcioma innymi, ze studni w Aldeaseca, wsadzono do skrzyni nr 198 i przewieziono do Doliny Poległych. Benedyktyni zapisali je w rejestrze jako „ciała anonimowe”.

Podobny los – ekshumacja i przeniesienie bez wiedzy i zgody rodziny – spotkał ciała innych ofiar frankistowskiego terroru. Ilu? Nie sposób powiedzieć. Nie wiadomo, czemu niektóre mogiły rozkopano, a inne nie (szacuje się, że w Hiszpanii – poza cmentarzami – do dziś jest ponad 500 zbiorowych grobów, które wciąż nie zostały otwarte).

Nie wiadomo też, ile ciał spoczywa w Dolinie. Rejestr kończy się na liczbie 33 847, ale sami benedyktyni przyznają, że jest niedokładny. Aż 12 421 z tych wpisów dotyczy ciał niezidentyfikowanych. Dlatego prasa lubi nazywać Dolinę Poległych „największym masowym grobem Hiszpanii”. Historycy szacują, że w kryptach bazyliki może spoczywać nawet 50 tys. szczątków. O tym, że są wśród nich ofiary frankistowskich represji, głośno mówi się dopiero od kilkunastu lat. Dla wielu rodzin o tradycjach republikańskich wiadomość o tym była szokiem.

Fausto Canales jest jednym z wielu, którzy nadaremnie starają się odzyskać ciała bliskich. Walczy o to od ponad 10 lat. – To oburzające, żeby mój ojciec leżał w tym samym miejscu, co jego kat – powtarza. Ma na myśli Franco.

Pora poprosić Pabla Linaresa, przewodniczącego Stowarzyszenia Obrony Doliny Poległych, żeby nam to wytłumaczył.

Linares nie ma z tym kłopotu. – Wszyscy, których udało się zidentyfikować, zostali przeniesieni do Doliny za zgodą rodzin – twierdzi. – Ale co władze miały zrobić z ciałami niezidentyfikowanymi? Kogo pytać? Zabrano je i dano im najgodniejszy z możliwych pochówków. Czy mogło w ogóle być lepsze miejsce dla takich szczątków niż kościół?

Najpierw **Dolina miała służyć zwycięzcom** wojny domowej. Potem zaczęto przyjmować także ciała ich ofiar. Czy rzeczywiście chodziło o pojednanie podzielonego narodu?

Nie jest to wyjaśnienie, które przekonywał Canalesa. – Tak – mówi z westchnieniem – wiedzieliśmy, że władze ekshumują ciała. Ale co mieliśmy robić? Przecież oficjalnie ojciec był zaginiony. Władze nigdy nie wystawiły aktu zgonu, nie przyznały, że zamordowały go bez sądu. Matka nie była formalnie wdową. Dopiero w 1979 r., już za demokracji, uznano go za zmarłego i mama mogła dostać po nim pierwszą rentę!

Pytam Josetxa Munárriza, czemu rodzina nie protestowała, gdy w latach 50. brano jego wuja karlistę do mauzoleum w Pampelunie. Tylko się śmieje: – Chyba nie wiesz, czym jest dyktatura.

Rodziny, które walczą o ekshumację bliskich z krypt w bazylice, nazywają ich „załącznikami Doliny”. Dolina Poległych jak dotąd nie oddała żadnego. Ale to może się wkrótce zmienić.

Kaplica Grobu. Stan zadowalający

Dwa lata temu sędzia z San Lorenzo de El Escorial nakazał wydobyć, zidentyfikować i zwrócić rodzinie szczątki Manuela Lapeña Altabása i jego brata Ramira. Bracia Lapeña byli anarchistami, których w lipcu 1936 r. rozstrzelali bez sądu falangiści z Calatayud. Rodzina przekonała sąd, że ich ciała mogą znajdować się w Dolinie.

To, jak dotąd, jedyny prawomocny wyrok, nakazujący ekshumację w Dolinie. Na jego wykonanie rodzina czeka od dwóch lat. Najpierw nie spieszyło się Patrimonio Nacional, rządowej agencji, która ma w pieczy cały kompleks Doliny. Argumentowano, że ekshumacja jest niemożliwa, bo krypty są zawilgocone, przez skałę Nawy przecieka woda, część skrzyń rozsypała się, kości pomieszały i być może nawet stopiły w jedno z fundamentami bazyliki.

Rodziny zażądały badań technicznych. Wówczas dostęp do krypt odmówił opat. Upomniany przez Episkopat, wycofał się.

W kwietniu tego roku Patrimonio Nacional wysłało do krypt rzeczoznawców, którzy przebadali podziemia z pomocą wideoskopolu. Na zdjęciach widać katastrofalny stan niektórych ossuariów. Część skrzyń zbutwiała, kości leżą zmieszane. Ale eksperci wydali opinię, że na trzecim poziomie krypt w Kaplicy Grobu Pańskiego – a więc tam, gdzie według rejestru leżą ciała z Calatayud – stan podziemi jest „zadowalający” i przy zachowaniu środków ostrożności można myśleć o dotarciu do szczątków braci. Patrimonio zapowiedziało, że przygotowania do ekshumacji zaczną się „najszybciej jak to tylko możliwe”.

Pablo Linares i obrońcy Doliny zapowiadają jednak, że do tego nie dopuszczają. – Nasze stowarzyszenie reprezentuje 212 rodzin poległych, których szczątki spoczywają w kryptach – mówi Linares. – Te rodziny kategorycznie sprzeciwiają się, by naruszać spokój ich krewnych. Nie godzą się na dotykanie, przenoszenie czy próby identyfikacji. W krypcie, w której ponoć leżą bracia Lapeña, spoczywa jeszcze 2400 innych osób! Należy im się szacunek!

Dotyczy to nie tylko krypty objętej nakazem sądu. Stowarzyszenie nie zamierza dopuścić do otwarcia któregośkolwiek z miejsc pochówku w bazylice. Linares zapewnia, że rodziny tych 212 poległych, które reprezentuje, mają przynajmniej po jednym ciele w każdym ossuarium i nie pozwolą tknąć żadnego.

Wiosną tego roku ówczesny rząd konserwatysty Mariano Rajoya obliczył, że wydobyć wszystkich ciał z Doliny kosztowałoby 36 mln euro. Do tego trzeba by doliczyć badania DNA, interwencje architektoniczne, odszkodowania dla rodzin ofiar represji. Całość miałaby kosztować państwo nawet 213 mln euro.

Opozycja wytknęła rządowi, że nie poдал jednej kluczowej informacji: ile kosztowałoby ekshumowanie generała Franco. Bo usunięcie tego jednego ciała mogłoby rozwiązać cały problem z Doliną.

Dolina Poległych. Jaki to symbol?

Pochówek Franco w Dolinie przygotowywano w pośpiechu. Już wówczas budził kontrowersje. Franco nie poległ przecież. Po długiej chorobie Parkinsona zmarł w łóżku na sepsę, wywołaną zapaleniem wątroby. Mówiło się, że rodzina chciała pochować go w rodzinnym grobowcu. Ale ostateczną decyzję podjął rząd, a ratyfikował ją król Juan Carlos.

→ Generał Franco został pochowany w Dolinie 23 listopada 1975 r. W pogrzebie wzięło udział 100 tys. ludzi. Zabalsamowane ciało złożono w podwójnej trumnie pod posadzką bazyliki i nakryto ważącą 1,5 tony płytą. Wyryto na niej tylko napis: „Francisco Franco” i prosty krzyż.

Dziś, w niedzielę, tuż po mszy, nad grobem generała kłębi się tłum. Wiele osób zatrzymuje się też nad grobem Riveri i wyciąga rękę w falangistowskim salucie (nie różni się on od hitlerowskiego).

– W Hiszpanii takie pozdrowienie nie jest zakazane przez prawo – tłumaczy mi potem Linares, z którym spotykam się przed bazyliką. – Każdy może oddawać cześć zmarłym w sposób zgodny ze swoją wolą. Jakiś czas temu był tu zjazd Zjednoczonej Lewicy. Wznosili pięści w komunistycznym pozdrowieniu. Pamięć historyczna, ale dla wszystkich proszę!

To właśnie przez tzw. „prawo o pamięci historycznej”, które uchwalił w 2007 r. parlament, Dolina jest w kłopotach.

Ustawa nakazuje usunięcie znaków i symboli wychwalających bunt wojskowych, wojnę domową i dyktaturę. Tymczasem zdaniem rządzącej dziś lewicy całe mauzoleum jest jednym wielkim symbolem gloryfikującym dyktaturę.

– To miejsce jest urządzone według rytu frankistowskiego: dwa ciała „prezylają” pozostałym i są to ciała Franco i Riveri, a więc dyktatora i założyciela partii faszystowskiej. Tak nie może być – uważa antropolog Francisco Ferrándiz, zajmujący się pamięcią historyczną.

W 2011 r. Ferrándiz był w rządowej komisji ekspertów, która zastanawiała się, jak zdemokratyzować Dolinę. Uznali, że konieczne jest ekshumowanie Franco i oddanie jego szczątków rodzinie oraz przeniesienie ciała Riveri do bocznej kaplicy, między innych poległych. Proponowali też budowę „centrum interpretacji”, które opowiadałoby o kontekście budowy Doliny, i dodanie jakiejś formy upamiętnienia strony republikańskiej. Raport ukończyli w listopadzie 2011 r. W grudniu wybory wygrała prawicowa Partia Ludowa, premierem został Rajoy. O zmianach w Dolinie nie mogło już być mowy.

Ale na lewicy nie brakuje i takich, którzy uważają, że Doliny Poległych w ogóle nie da się „zdemokratyzować”. Kilka lat temu baskijski senator Iñaki Anasagasti powiedział, że najlepiej byłoby ekshumować z Doliny wszystkie szczątki, a budowlę wysadzić. Stowarzyszenie Linaresa

Nie brakuje takich, którzy sądzą, że Doliny nie da się „zdemokratyzować”.

Najchętniej ekshumowaliby wszystkie szczątki, a budowlę wysadzili.

pozwało go o nawoływanie do przemocy. – Nie wygraliśmy w sądzie – przyznaje Linares. – Ale ludzie dowiedzieli się, że nie pozwolimy tknąć Doliny ani obrażać symboli i uczuć religijnych.

Stowarzyszenie chce, by Dolina pozostała taka, jaka jest. A jaka jest? – Nie mam wątpliwości, że jest miejscem pojednania – mówi Linares. – Jedynym miejscem na świecie, gdzie pod skrzydłami krzyża leżą zmarli z obu stron bratobójczego konfliktu i gdzie codziennie odprawia się nad nimi mszę w intencji pokoju. Przyjrzyj się: wszystkie miecze, które dzierżą rzeźby w bazylice, a jest ich naprawdę sporo, skierowane są w dół.

Dolina raz jeszcze. Spór o Franco

Linares nie wierzy, że nowemu lewicowemu rządowi uda się ekshumować generała Franco. – Nie w obecnej sytuacji prawnej – twierdzi.

Więć o tym, że Franco może zostać ekshumowany z Doliny, gruchnęła w maju 2017 r. Wniosek o to został wówczas przegłosowany w parlamencie. Nawet Partia Ludowa, zwykle przeciwna rozliczeniom z frankizmem, tylko wstrzymała się od głosu. Ostateczna decyzja o podjęciu kroków prawnych należała jednak do rządu Rajoya, a ten po kilku dniach ustami rzecznika oznajmił, że „to nie jest dobry pomysł” i „nie ma po co otwierać starych ran”.

Teraz do pomysłu ekshumacji wrócił nowy lewicowy rząd Pedra Sáncheza. 28 czerwca premier zapowiedział, że szczątki Franco znikną z mauzoleum jeszcze w lipcu tego roku. „Wierzę, że dojrzała demokracja, taka jak nasza, europejska, nie może tolerować symboli, które dzielą Hiszpanów” – oznajmił.

W połowie lipca premier podtrzymał zamiar, ale przyznał, że przygotowanie podstaw prawnych może spowodować kilka tygodni opóźnienia.

Nieoficjalnie mówi się, że Franco miałby zostać ekshumowany równocześnie z braćmi Lapeña.

Pampeluna. Gdzie jego miejsce

Josetxo Munárriz zabrał skrzyneczkę z ciałem wujka karlisty do rodzinnej wsi. Wraz z braćmi pochowali ją w grobowcu Munárrizów. Nie robili żadnego oficjalnego pogrzebu, pogrzebów mieli już dość. Po prostu złożyli szczątki wujka tam, gdzie ich zdaniem powinien spoczywać.

Dwa lata po ekshumacji Pomnika Poległych w Pampelunie sąd wydał wyrok w sprawie generała Sanjurjo. Orzekł, że wyprowadzenie jego zwłok było bezprawne. Rodzina, jeśli zechce, może zażądać złożenia na powrót szczątków generała w krypcie pod Pomnikiem.

Francisco Etxeberria – lekarz sądowy, który prowadził ekshumacje w Pampelunie – uważa, że wydobyć kilkudziesięciu tysięcy ciał z krypt w Dolinie Poległych byłoby ekstremalnie trudne, jeśli nie niemożliwe. – Nie ma w świecie miejsca trudniejszego do ekshumacji – mówi. – Ale wyciągnąć Franco spod posadzki? To proste i wykonalne.

Sam chętnie by się tego podjął.

Rada Ferrol, rodzinnego miasta generała Franco, na wszelki wypadek podjęła już uchwałę, że nie pozwoli na pochowanie ciała dyktatora na miejskim cmentarzu.

Dolina raz jeszcze. No se toca

W poniedziałek Dolina Poległych jest niemal zupełnie pusta. To dzień, kiedy bazylika jest zamknięta dla zwiedzających.

Żeby się stąd wydostać, trzeba przejść kilka kilometrów szosą do drogi M-600, którą jeżdżą autobusy do Madrytu. Na przystanku nie ma nikogo. Szybę wiaty pokrywają duże wlepki z wizerunkiem krzyża z Doliny i napisem „El Valle no se toca” („Doliny się nie tyka”). Z jednej z nich spogląda uśmiechnięty generał Franco.

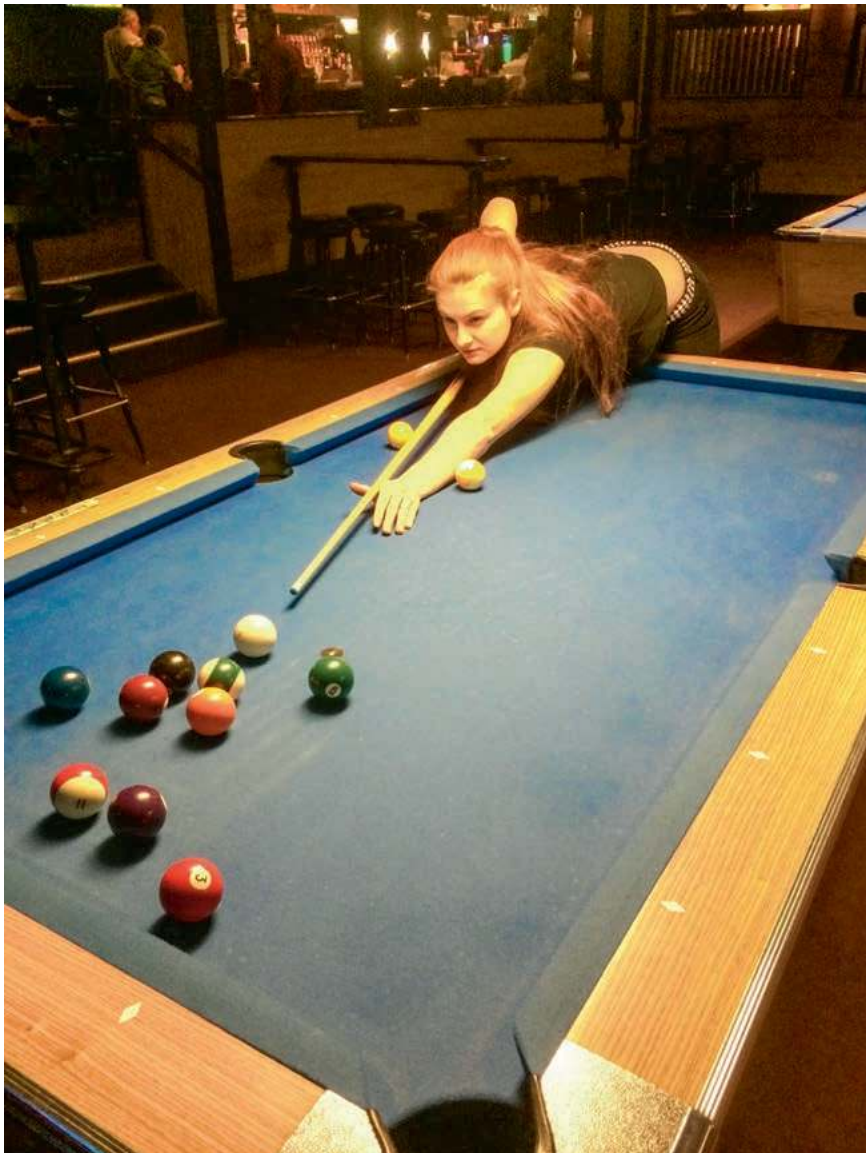
El Valle no se toca?

© KATARZYNA KOBYLARCZYK

Korzystałam z książek Daniela Sueiro „La verdadera historia del Valle de los Caídos” i Fernanda Olmedy „El Valle de los Caídos: una memoria de España”.

Autorka jest reportażystką, autorką „Pyłu z landrynek” i „Baśni z bloku cudów”. Jej następna książka będzie o zmaganiach Hiszpanii z dziedzictwem frankizmu.

Maria Butina, styczeń 2016 r.



FACEBOOK / MARIA BUTINA

Rudowłosa Maria i pięć kroków w niepewność

ANNA ŁABUSZEWSKA

Aresztowanie w USA rosyjskiej agentki, która infiltrowała tamtejsze środowiska konserwatywne, wywołało w Moskwie nerwowość. Dlaczego 29-letnia Maria Butina jest aż tak ważna?

JAKIE CELE STAWIAŁ SOBIE KREML, LICZĄC na nowe, korzystniejsze rozdanie w stosunkach rosyjsko-amerykańskich po wyborach prezydenckich w 2016 r.? Może ważniejsze od tego, aby do Białego Domu wprowadzić kandydata o prorosyjskim

nastawieniu, było zasianie burzy w amerykańskim establishmentie politycznym? A jeśli celem było (także) to drugie, to w jaki sposób? Okazuje się, że – prócz działań z wykorzystaniem internetu i mediów społecznościowych – zastosowano

również metody stare jak świat: zakulisowe działania, przekupstwo oraz seks.

Rozmiękczeniem amerykańskiego gruntu miała się zająć także ona: 29-letnia Maria Butina, ambitna prymuska i wielbielka broni palnej.

Oficjalnie przybyła do USA kilka lat temu, aby studiować. Nieoficjalnie – żeby urabiać wszelkimi dostępnymi sposobami amerykańską polityczną śmietankę, przekonywać do zdjęcia antyrosyjskich sankcji, do powrotu do zasady *business as usual* [nic się nie zmieniło, wszystko po staremu – red.] i do ogólnej poprawy stosunków dwustronnych.

Aresztowana – formalnie pod zarzutem uprawiania lobbingu, niezgodnie ze swoim statusem prawnym w USA – Butina nie przyznała się do winy. W jej obronie stanęli murem rosyjscy dyplomaci najwyższego szczebla – rzecz w przypadku zwykłych szpiegów niezwykła. Dlaczego Rosji tak bardzo zależy na wyciągnięciu rudowłosej Marii z amerykańskich kazaematów? Czy 29-latką może posiadać wiedzę groźną dla Kremla?

Epizod pierwszy: ambitna prowincjuszka

W państwie rosyjskim maksyma Bonapartego nie działa: nie jest tak, że – jak mawiał cesarz Francuzów, motywując swych podwładnych – każdy żołnierz nosi w plecaku buławę marszałkowską. W dzisiejszej Rosji najwyższe urzędy, synekury w zarządach banków czy lukratywne stanowiska w korporacjach są zarezerwowane dla członków elity rządzącej i ich rodzin. Jeśli nie należy się do grona wybrańców, tych bogów polityki i biznesu, niełatwo jest wspiąć się na szczyt. Szczególnie wtedy, gdy pochodzi się z ośrodków położonych daleko od stolicy.

Maria Butina – rocznik 1988, rodem z Barnału w Kraju Ałtajskim (południowa Syberia) – od najmłodszych lat starała się znaleźć szybką i efektywną ścieżkę awansu. Jak sama o sobie napisała w ankiecie na portalu Snob, jeszcze w szkole pracowała społecznie, kierowała szkolnym muzeum, organizowała debaty na tematy polityczne. Potem, podczas studiów politologicznych, koordynowała działalność organizacji „Szkoła realnej polityki”, publikowała w lokalnych gazetach artykuły na tematy polityczne, kreśliła się przy sprawach Rotary Club w Bar- ➔

→ naule. Poza tym zaznaczyła swą obecność w kampaniach wyborczych miejscowych polityków. Wszędzie było ją widać i słychać.

Ale prawdziwą trampoliną do dalszej kariery stała się dla przedsiębiorczej Marii dopiero organizacja młodzieżowa pro-kremłowskiej partii Jedna Rosja. Dzięki temu w wieku 23 lat mogła przenieść się z Syberii do Moskwy.

Dla ambitnej prowincuszki z dalekiego regionu był to skok na głęboką wodę. Maria nie tylko nie utonąła, ale wypłynęła na szerokie wody.

Epizod drugi: powitanie z bronią

Wcześniej, jeszcze w Barnaule, Maria założyła w 2011 r. organizację społeczną, która w warunkach rosyjskich mogła wydać się nieco egzotyczna: broniącą praw posiadaczy broni palnej, pod nazwą „Prawo do Posiadania Broni”.

Ruszyła z kopyta: organizowała wiele imprez, na których można było zapoznać się z bazą prawną legalnego posiadania broni, poćwiczyć strzelanie, wymienić doświadczenia z ludźmi, którzy też interesowali się bronią. Udzielała pomocy prawnej osobom, które użyły broni w obronie koniecznej. Przy wsparciu jej organizacji odbywały się marsze i demonstracje, których uczestnicy domagali się wprowadzenia takich uregulowań w ustawodawstwie rosyjskim, które ułatwiłyby dostęp do broni. Jak mówią współpracownicy z organizacji, Maria sama interesowała się bronią, dużo wiedziała o strzelectwie, brała udział w zawodach – broń palna była jej prawdziwą pasją.

Dzięki aktywności na tej niwie Maria zawarła wiele przydatnych znajomości. Szczególnie istotna okazała się jedna: na nieszablonową aktywistkę z prowincji uwagę zwrócił senator Aleksander Torszyn, wiceprzewodniczący Rady Federacji.

Torszyn był wtedy wpływową osobą w kręgach politycznych. Na początku pierwszej dekady XXI wieku został przewodniczącym komisji parlamentarnej, która miała zbadać okoliczności, w jakich władze przeprowadziły szturm na szkołę w Biesłanie, zaatakowaną przez czeceńskie komando (podczas ataku zginęło wielu zakładników, w tym dzieci). Raport nie obciążał władz odpowiedzialnością za śmierć zakładników.

Potem Torszyn usunął się w cień, ale miał zapewnioną dobrą pozycję we-



FACEBOOK / MARIA BUTINA

Butina chętnie prezentowała się w internecie: tu w styczniu 2013 r. jako fanka broni palnej.

wnątrz elity i szerokie możliwości działania. W lipcu 2012 r., we współpracy z Marią Butiną, przygotował raport dotyczący prawa do posiadania broni palnej; postulował w nim rozszerzenie uprawnień w dostępie do broni krótkolufowej dla osób prywatnych. Raport został przedstawiony izbie, ale nie uzyskał aprobaty rządu i prezydenta.

Analiza profili Torszyna w mediach społecznościowych wskazuje, że bardziej niż broń palna interesowała go Maria – częsta bohaterka zamieszczanych przez niego zdjęć i komentarzy. Według niektórych enuncjacji prasowych, Butina była asystentką Torszyna. Według innych – nie łączyły ich żadne więzy. Przynajmniej żadne formalne.

Epizod trzeci: stowarzyszenie zza oceanu

Bo nawet jeśli autorom ukazujących się dziś publikacji prasowych na temat rosyjskiego etapu działalności wielbicielki broni palnej nie udało się potwierdzić jej formalnych powiązań z Torszynem, to na pewno można mówić o ich bliskich związkach nieformalnych.

Według prasowych enuncjacji, Butina towarzyszyła w 2015 r. Torszynowi – wtedy już wiceprezesowi Banku Centralnego Rosji – w jego podróży do USA. Spotkali się z zastępcą szefa Departamentu Skarbu USA i wiceszefem Rezerwy Federalnej. Maria dobrze знаła język angielski, przydawała się jako tłumaczka. Z przecie-

nika, że Butina i Torszyn „otrzymali akceptację przedstawiciela administracji prezydenta Rosji dla swego projektu ustanowienia »szarego« kanału łączności pomiędzy Kremlm i Partią Republikańską. Kontakty nawiązywano za pośrednictwem NRA [National Rifle Association, Narodowe Stowarzyszenie Strzeleckie – red.]. Być może za pośrednictwem tego właśnie kanału Rosja finansowała kampanię Donalda Trumpa”.

Jeżeli faktycznie oboje otrzymali taką akceptację z Kremla, to zapewne trudno uznać za przypadek fakt, że Maria w 2015 r. rozpoczęła studia politologiczne w Stanach.

Butina otrzymała amerykańską wizę studencką. Ale w USA nie tylko studiowała, lecz przede wszystkim prowadziła życie towarzyskie na szeroką skalę. Z bronią się przy tym nie zamierzała żegnać. Wprost przeciwnie: zainteresowanie bronią palną i działalność na rzecz rozszerzenia uprawnień do jej posiadania zapewniły jej doskonałą płaszczyznę do zawierania nowych znajomości w kręgu ludzi o podobnych poglądach.

National Rifle Association to wpływowa organizacja, zajmująca się lobbieniem na rzecz prawa do posiadania broni palnej. W Stanach kwestia dostępu do broni przez osoby prywatne jest jedną z najgorętszych w dyskursie publicznym. NRA zrzesza wielu ważnych ludzi, również z wierzuszki politycznej. Maria Butina brylowała na imprezach NRA – nie była tam osobą anonimową. Zarówno ona, jak i Torszyn zostali członkami NRA (rosyjski senator od co najmniej 2011 r. utrzymywał bliskie kontakty z członkami stowarzyszenia, bywał na zjazdach, z kolei członkowie NRA bywali w Rosji na zaproszenie Torszyna).

I tu zaczyna się najciekawsze: na kampanię wyborczą Trumpa NRA wpłaciło 33 mln dolarów – trzykrotnie więcej, niż wyniosły wpłaty tego stowarzyszenia w poprzednich wyborach. Skoro NRA jest klubem ważnych lobbystów, to może dałoby się wpływać za jego pośrednictwem na kształtowanie poglądów amerykańskich polityków na temat Rosji? Czy takie właśnie zadanie otrzymała Maria?

Działalność lobbingsowa Marii nie ograniczała się do kręgów politycznych. Miała ona także namawiać amerykańskich biznesmenów do inwestowania w moskiewski Inwestorgbank; bez powodzenia. Z kolei dziennik „Washington Post” pisze,

że działalność Marii w USA była finansowana przez rosyjskiego miliardera Konstantina Nikołajewa, który inwestował w amerykańskie firmy z branży energetycznej. Także to jest przedmiotem śledztwa.

Epizod czwarty: przez łóżko do gwiazd

Na rosyjskojęzycznym portalu „The Insider Russia”, w materiale poświęconym Marii i Torszynowi można znaleźć rozdział zatytułowany „Kronika przenikania do ekipy/kampanii Trumpa”.

Czytamy w nim, że „w 2014 r. Butina przywozi do Moskwy Paula Ericksona, funkcjonariusza NRA i Partii Republikańskiej. 56-letni Erickson zostanie kochankiem Marii, co pozwoli jej zawierać znajomości z ważnymi Republikanami i członkami NRA. Współzycie z Ericksonem było dla Marii zapewne obowiązkiem służbowym. Innemu członkowi NRA proponowała seks w zamian za zapewnienie jej dobrej pozycji w organizacji”.

Tymczasem Torszyn – już jako wiceprezes Banku Centralnego Rosji – kontynuuje bliskie kontakty z członkami NRA. Zaprasza ich do Moskwy, kontaktuje z rosyjskim ministrem spraw zagranicznych. Oficjalnym organizatorem tych imprez jest organizacja „Prawo do Posiadania Broni”, założona przez Marię.

W tym czasie w Stanach studentka Butina tworzy projekt medialny, który chce zrealizować w ramach przegrzywki do wyborów prezydenckich w USA. W projekcie chodzi o tworzenie dobrej atmosfery wokół Rosji. Ona sama w kontaktach z członkami NRA określa siebie mianem przedstawicielki „nieformalnej dyplomacji Rosji”.

Torszyn pilnie śledzi poczynania Marii za oceanem. W jednym z wpisów na Twitterze z lutego 2016 r. pisze: „Maria jest teraz w USA. Pisze mi, że D. Trump (członek NRA) realnie opowiada się za współpracą z Rosją”. Torszyn i Butina zabiegają wtedy o akceptację prezydenta Putina dla swoich planów. Nawiązują kontakty z administracją prezydencką. Ich pomysłem jest sprowadzenie Putina na tzw. Śniadanie Modlitewne w lutym 2017 r., wkrótce po inauguracji prezydentury Trumpa [Śniadania odbywają się w Waszyngtonie od 1953 r., w każdy pierwszy czwartek lutego, a udział bierze w nich kilka tysięcy osób, w tym politycy i zaproszeni goście z zagranicy; w 2014 r. uczestniczył w nim



Jedno z kolejnych wcieleń Marii Butiny w mediach społecznościowych, czerwiec 2013 r.

FACEBOOK / MARIA BUTINA

prezydent Obama – red.]. Torszyn stara się też o osobiste spotkanie z Trumpem. To się nie udaje, jego rozmówcą jest tylko Donald Trump Junior.

Tymczasem – zanim jeszcze w listopadzie 2016 r. Donald Trump wygra wybory – Maria Butina kręci się koło jego sztabu. Wszędzie rozpowiada, że „pracuje dla Trumpa”. Na jednej z imprez z udziałem członków NRA i sztabu Trumpa zjawia się w kostiumie carycy Aleksandry Fiodorowny (żony Mikołaja II, ostatniego cara Rosji), zaś Erickson – w kostiumie Rasputina. Oboje opowiadają współbiesiadnikom, że są blisko Trumpa, że popierają go i oferują swoje usługi członkom sztabu wyborczego. Maria zapowiada, że chętnie będzie pośrednikiem w nawiązaniu kontaktów Trumpa z Rosją. O rudowłosej wielbicielce broni i Trumpa zaczęły już pisać amerykańskie gazety.

Epizod piąty: w amerykańskiej ciemnicy

Maria najwyraźniej zwróciła na siebie uwagę nie tylko amerykańskiej prasy, lecz także służb specjalnych. Charakter jej aktywności stał się istotny w kontekście śledztwa prowadzonego przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera w sprawie ingerencji Rosji w wybory prezydenckie w 2016 r. Wyjawiono jej kontakty z co najmniej czterema funkcjonariuszami rosyjskiej Federalnej Służby Bezpieczeństwa.

FBI zaczęło się więc dyskretnie przyglądać fertycznej studentce. Przeprzo-

wadzono rewizję w jej mieszkaniu, wezwano ją na przesłuchanie przed senacką komisją ds. służb specjalnych, zaczęto prześwietlać transakcje bankowe jej i Ericksona. Portal BuzzFeed zauważył: „Funkcjonariusze kontrwywiadu mówią, że operacje bankowe duetu Butina-Erickson mogą posłużyć jako atlas geograficzny nieoficjalnych kanałów, które prowadziły do takich wpływowych amerykańskich organizacji jak NRA. Być może dowiemy się, jak Kreml próbował [tym sposobem] wpłynąć na wybory prezydenckie 2016 r. w USA”.

Zainteresowanie amerykańskich służb niepokoiło Butinę. Gdy funkcjonariusze przyszli, aby aresztować ją pod zarzutem uprawiania lobbingu niezgodnego ze statusem (Maria nie zarejestrowała się jako zagraniczny lobbysta, korzystała jedynie ze studenckiej wizy), zastali spakowane walizki. Maria najwyraźniej zamierzała opuścić Stany.

Natychmiast po aresztowaniu Marii rosyjskie władze zaczęły usilnie zabiegać o jej uwolnienie. W jej sprawie interweniował nawet sam minister spraw zagranicznych Siergiej Ławrow. Niemal codziennie w programach informacyjnych rosyjskiej telewizji znajduje się wzmianka o losie Marii, o trosce rosyjskich dyplomatów, którzy ją odwiedzają i upominają się o odpowiedni poziom posiłków, dostęp do siłowni itd. Rosyjskie MSZ zainicjowało flashmob, mający być aktem poparcia dla uwięzionej. Skąd tak wielkie zaangażowanie?

Rosyjski publicysta Ilja Miłsztejn tak spekuluje na portalu Grani: „W konflikcie [amerykańskich służb i establishmentu] z Trumpem Maria Butina może stać się cennym świadkiem. Jeżeli okaże się rozmowna, może to mieć daleko idące skutki. Może nawet doprowadzi do impeachmentu prezydenta. A skoro impeachment, to i niepokoje, demonstracje uliczne. A więc chaos w Ameryce, co stanowi przecież główny cel Kremla”.

W prasie po obu stronach oceanu roi się od spekulacji na temat rudowłosej Marii.

Być może efektywnym finałem będzie wzajemna wymiana szpiegów. Jak w 2010 r., gdy doszło do wymiany, podczas której amerykańskie areszty opuściła grupa Rosjan, na czele z inną rudowłosą agentką – Anną Chapman.

A może dojdzie do spektaklu w amerykańskim sądzie? I wtedy znowu będzie bujać łódką... © ANNA ŁABUSZEWSKA



Rybak Mao obok łodzi własnej produkcji, Dakar, lato 2018 r.

Na południe od Sahary

TEKST I ZDJĘCIA **JOANNA MĄKOSA** Z DAKARU (SENEGAL, AFRYKA ZACHODNIA)

Najgorzej pojechać i wrócić z niczym. Dlatego wolą nie wracać, nawet jeśli w Europie nie mają pracy i żyją na ulicy. A nowi wciąż chcą migrować: myślą o tym miliony Afrykańczyków.

DAVID WYJECHAŁ 19 LAT TEMU. ALE DO rodzinnego Dakaru – 2,5-milionowej stolicy Senegalu, położonej nad Atlantykiem, w najbardziej wysuniętym na zachód miejscu całego kontynentu – wraca często. Na wakacje, jak dostanie urlop. Do Włoch dostał się nie łodzią, lecz samolotem, legalnie. Pracuje jako lakiernik przemysłowy, odnawia budynki, jest też nurkiem. Nie narzeka na życie w Europie.

– Gdybym mógł wybrać, wolałbym wrócić i tu mieszkać. Tylko praca jest tym, co mnie we Włoszech trzyma – opowiada. – Ludzie wyjeżdżają, bo marzą o lepszym życiu. Ale jak już tam jesteś, to możesz

mieć wszystkie dobra materialne, wszystkie pieniądze świata, ale i tak nigdy nie będziesz szczęśliwy.

David regularnie pomaga rodzinie w Senegalu. Jemu się poszczęściło. Ci, którym się nie udało, często nie wracają. Bo wrócić z niczym to straszny wstyd. To znaczy, że sobie nie poradziłeś, zawiodłeś oczekiwania rodziny, która często zrzuciła się na kosztowną podróż. David: – Ci, co wracają z niczym, tak się wstydzą, że często nie wychodzą z domu. Bo to porażka pojechać do Europy i wrócić.

Ale David potrafi zrozumieć tych, którym się nie udało: – Tam już nie jest tak jak

kiedyś. Niektórzy myślą, że Europa to eldorado. Tymczasem Włosi sami mają problem z bezrobociem.

MAO PŁYNIE DO BOA VISTA Kiedyś miał licznych klientów, teraz interesy idą źle. Mimo to Mao uśmiecha się szeroko i wręcza wizytówkę. Obok jego imienia widnieje na niej: „Sprzedawca ryb na targu Sombédioune”.

Market Sombédioune leży w zachodniej części Dakaru. Mnóstwo stoisk, słoczonych, przyklejonych do nabrzeża. Można kupić hebanowe rzeźby, afrykańskie tkaniny (sławne na pół Afryki, o tak intensywnych kolorach, że od patrzenia kręci się w głowie). A także ryby.

Na usłanej śmieciami plaży, między gęsto ściśniętymi łodziami, w powietrze wzbija się piasek. Grupa młodych mężczyzn ćwiczy zapasy. Reszta kibicuje, także dzieci. Wrestling to ukochany sport Senegalczyków. Uprawiają go wszędzie, podobnie jak wszędzie ćwiczą formę. To także sposób na zabicie czasu, którego mają pod dostatkiem. Na miejskich plażach ciągną się siłownie pod gołym niebem. Popularne jest też bieganie, zapasy,

ciężary. W Senegalu i części Gambii wrestling to sport najważniejszy, ukochany bardziej niż u nas futbol.

To wszystko, co mają. Wrestling, bieganie i ryby. Ale tych ostatnich jest coraz mniej. Wielkie statki, europejskie i chińskie, łowiące na przemysłową skalę, ogłociły nadbrzeżne wody z ryb i zabrały wielu Senegalczykom jedyne źródło utrzymania.

Mao jest rybakiem, ale czasem na swoją łódkę zabiera turystów. A czasem także tych, którzy chcą płynąć do Europy, by uciec przed biedą i brakiem nadziei. Droga trwa tydzień, a jeśli morze jest niespokojne, nawet dwa.

Pierwszy przystanek to Boa Vista: wyspa w archipelagu Zielonego Przylądka, leżącego na zachód od wybrzeża Senegalu. Mao zatrzymuje się w miejscowości Sal Rei. Tu kończy się jego rola, pasażerów przejmują kolejni przemytnicy, którzy tu zaopatrują się w kapoki, wodę i jedzenie. Mao nie zdradzi, ile trzeba im płacić. On za swoją usługę ma dwie taryfy: dla Senegalczyków 15 tys. franków (ok. 25 euro), dla innych Afrykańczyków 25 tys. franków.

Mao buduje też łodzie. Z senegalskiego drewna, czerwonego i mocnego. Poniekąd jest artystą. Mniejsze łodzie, które wychodzą spod jego dłuta i pędzla, nie nadają się do przemytu ludzi. Jeśli nie sprzeda ich rybakom, pomaluje je w lokalne wzory i będzie liczyć, że kupią je bogaci turyści. Może jako ozdobę do ogrodu?

Większe łodzie potrafią pokonać dystans nawet dwóch tysięcy kilometrów.

- Dopłyną stąd do Hiszpanii? – pytam.
- Mogą. Wejdzie 7-8 ludzi i ładunek, woda, jedzenie, nawet 150 kg.
- Te łodzie są tak mocne?
- My, Senegalczycy, jesteśmy mocni.

YAYI POMAGA KOBIECIOM Pewna siebie, energiczna 70-latką prowadzi na przedmieściach Dakaru ośrodek, w którym pomaga matkom. Tym, których synowie zginęli w drodze do Europy. Tak jak kiedyś jej syn.

– Pewnego dnia zadzwonił i powiedział, że płynie do Mauretanii na połów, bo u nas nie ma już ryb – wspomina Yayi Bayam Diuof. – Potem zadzwonił stamtąd i powiedział, że płynie do Europy. Błagałam, żeby tego nie robił. Ale się uparł. Kazał mi się tylko modlić. Miał się odezwać najdalej za 10 dni.

Przez miesiąc telefon milczał. Łódź, którą płynął jej syn, zatoneła podobno

w pobliżu Wysp Kanaryjskich. Dowiedziała się tego od znajomych, którzy mieszkają na Teneryfie. Syna nigdy nie pochowała, bo ciała nie odnaleziono. Yayi: – Wtedy nie mogłam myśleć o niczym innym, ból rozrywał mi piersi, codziennie chodziłam na plażę i rozmawiałam z nim. I pewnego dnia usłyszałam jego głos. Mówił do mnie przez morze. Kazał mi się zająć swoimi ludźmi.

I tak, już blisko 12 lat temu, Yayi założyła centrum, które dziś pomaga nie tylko matkom zaginionych. Schronienie znajdują tu też młode kobiety, często ofiary wczesnego zamążpójścia. Uczą się wyrobu naturalnych kosmetyków, fryzjerstwa, krawiectwa, dzięki czemu mogą potem otworzyć własny mały biznes, stanąć na nogi po traumatycznych przeżyciach. Bo w Senegalu kobieta, która nie ma mężczyzny przy boku, nic nie znaczy. Centrum Yayi pomaga im uwierzyć w siebie. Potem często to one będą głową i jedynym żywicielem rodziny.

Yayi wciąż odwiedza plażę, gdzie zbierają się pragnący płynąć do Europy. – Teraz jest ich mniej. Ale nie powinno być ich wcale – w głosie Yayi słychać zdenerwowanie. – Jak z nimi rozmawiam, to pytam, czy chcą, żeby ich matki cierpiały tak jak ja. Jeśli to nie działa, dzwonię na policję.

Yayi uważa, że problem to pieniądze, które Europejczycy wydają na wojnę z migrantami. Jej zdaniem źle je wydają: – Za-

miał wyłapywać migrantów na morzu, Frontex powinien wspierać finansowo takie centra jak moje. Jeśli pomogę ludziom znaleźć pracę na miejscu, to nie będą stąd uciekać.

AFRYKA SUBSAHARYJSKA CHCE DO EUROPY

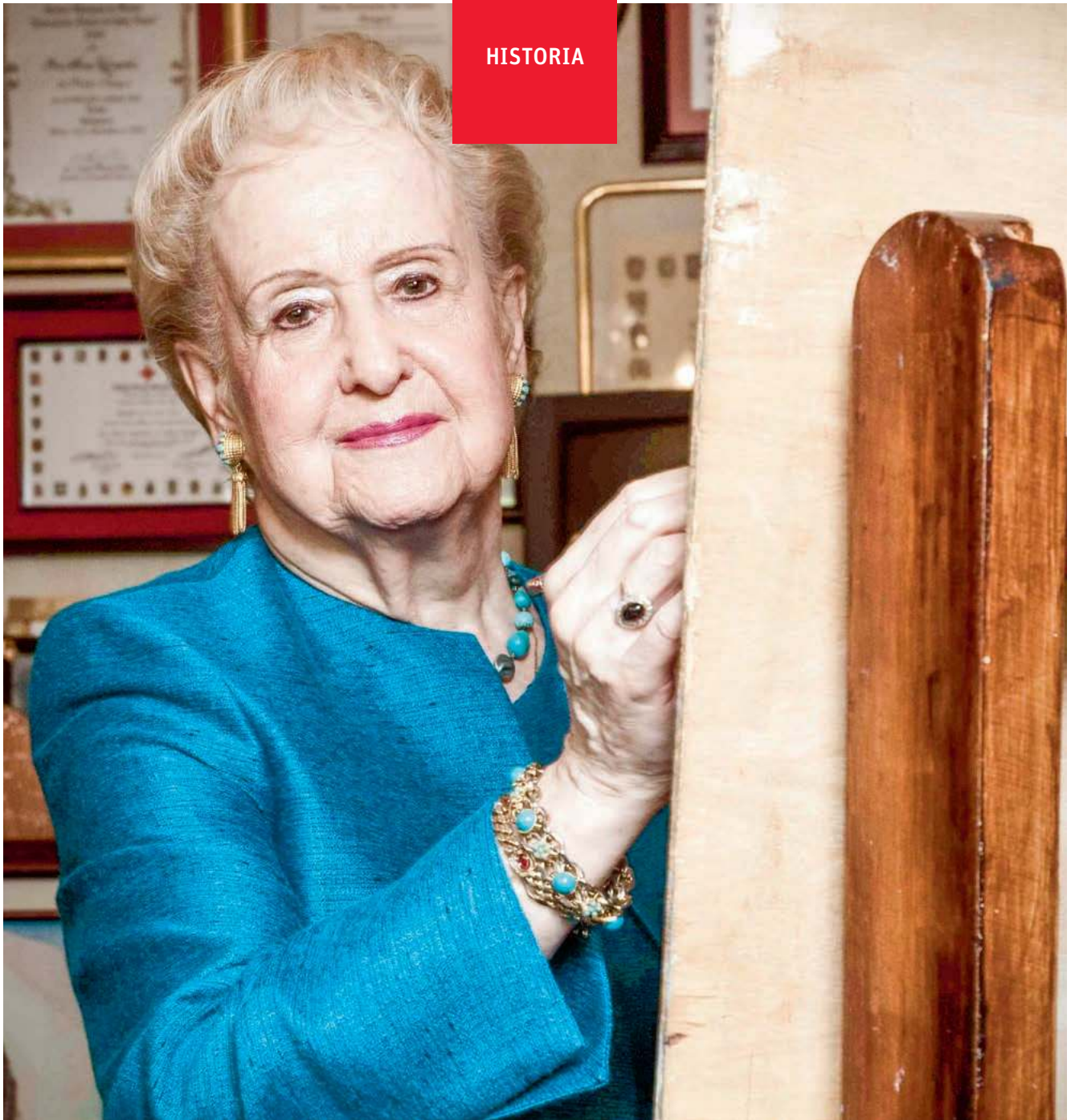
Frontex chroni zewnętrzne granice Unii Europejskiej, głównie na morzu. Większość migrantów, zanim do morza dotrze, wybiera drogę lądem. Głównie przez Niger i Libię, gdzie padają ofiarami tzw. trafikierów, którzy zostawiają ich na pustyni na śmierć albo próbują zarobić na nich zmuszając do niewolniczej pracy czy żądając kolejnych pieniędzy od ich rodzin.

Z danych Eurostatu wynika, że w latach 2014-17 o azyl w Europie wystąpiło prawie milion ludzi pochodzących z krajów subsaharyjskich (tj. położonych na południe od Sahary; kiedyś zwano je Czarną Afryką). Liczba emigrantów z każdego z tych państw w ciągu ostatnich ośmiu lat wzrosła o połowę. Jedynym krajem, który ma większy wskaźnik uchodźców/migrantów, pozostaje Syria.

Tymczasem z opublikowanych w lutym badań amerykańskiego instytutu Pew Research Center, który analizował dynamikę migracji z Afryki Subsaharyjskiej w latach 2010-17, wynika, że to może być dopiero początek wielkiej fali migracyjnej z tego regionu. ©

David trafił do Włoch legalnie i ma tam stałą pracę, do Senegalu wraca tylko na urlop.





FUNDACJA ANNA ŻARNECKI AC

Anna Żarnecka w swoim mieszkaniu w Mieście Meksyk, 2010 r.

PRZYSTANEK ANNY

Tułaczka polskich uchodźców wojennych z Syberii zakończyła się 75 lat temu w meksykańskim miasteczku Leon. Wśród nich była Anna Żarnecka, później pisarka i malarka, jedna z najsłynniejszych Polek w Meksyku.

BEATA KOWALIK Z MEKSYKU

LATO ROKU 1943. NASTOLETνια HANIA ma twarz zmęczoną podróżą, pod powiekami skrywa wspomnienia z sowieckiej Syberii. Jest w drodze. Z siostrą, matką i ojcem przemierzyła góry Pamiru, Taszkient, Teheran, Indie, Afrykę, Australię, Nową Zelandię. Widziała śmierć spowodowaną malarią, tyfusem, dyzenterią i głodem. Pamięta przystanek w Los Angeles i czterodniową podróż do Leon. Z raję do raję. Skwar, pustynny pejzaż, upstrzony jedynie kaktusami, ogorzali mężczyźni w słomianych kapeluszach, w polach osiołki, przed domami leniwie rozłożone psy.

Kolonia Santa Rosa, położona nieopodal miasta Leon, w środkowym Meksyku, stała się na jakiś czas nową ojczyzną dla 2 tys. Polaków, w tym 800 dzieci (wiele z nich było już sierotami wojennymi). W grudniu 1942 r. premier rządu polskiego Władysław Sikorski podpisał umowę o utworzeniu tam ośrodka dla uchodźców.

Dzieciństwo odzyskane

Pierwsze wrażenia Hani, jeszcze z peronu: uśmiechnięci Meksykanie. Po latach strachu i upokorzeń – dobrzy, otwarci, radośni ludzie. Powitali polskich bezdomnych w rytm muzyki mariachi i polskiego hymnu. Wkrótce Hania po raz pierwszy spróbowała bananów i mango. Dzieci szybko się zaprzyjaźniały. Mali Meksykanie z ciekawością podjeżdżali rowerami pod płot, pogapić się na jasne włosy, a Polacy pożyczali od nich te rowery i uczyli się wymawiać słowo *bicicleta*.

W filmie dokumentalnym „Santa Rosa. Odyseja w rytmie mariachi” (reżyser Sławomir Grünberg) Polacy wspominali: „Największym cudem Santa Rosy było to, że my, dzieci, odzyskaliśmy dzieciństwo. To było zupełnie niezwykle”. „Zapomnieliśmy o tym, co było, zapomnieliśmy o tym, że toczy się wojna”. „Moje najlepsze lata to były te trzy lata w Meksyku”. „Po tym wszystkim, cośmy wcześniej przeszli, tak, to był raj”.

W tym raję nie wszystko było dopięte na ostatni guzik. Kronikarze ośrodka odnosili: „W miarę upływu czasu warunki mieszkaniowe polepszały się znacznie. 15 listopada 1943 roku było w obozie 131 pojedynczych pokoi mieszkalnych i 23 sale ogólne. Po roku ilość pojedynczych pokoi wzrosła do 352, a sal ogólnych zmalała do sześciu. 1 lipca 1945 roku było 397 pokoi i ani jednej sali ogólnej. Ponadto wybudowano: szpital, pralnię, teatr, pięć sal warsz-

tatowych, piekarnię i 16 pokoi dla administracji. Pod koniec 1945 roku ukończono budowę nowoczesnego sierocińca, przystosowanego do potrzeb 300 dzieci. W budynku tym znajdowało się 15 sypialni, sala rekreacyjna, pokoje dla wychowawczyń”.

W grudniu 1946 r. ośrodek opuścili ostatni Polacy. Rozjechali się w różne strony.

Ale niektórzy zostali w Meksyku. Wśród nich Hania, czyli Anna Żarnecka.

Syberia

Wrzesień 1939 r. zastał małą Hanię we wsi Truszeliszki na Wileńszczyźnie, gdzie „wszystko było zielone, pełne życia i uciech, jakby specjalnie na ten dzień Pan Bóg chciał wypełnić tę ziemię słońcem i radością”. W taki sielski, odmierzany zegarem przyrody świat weszła wojna.

Mała Hania, jej siostra Alunia, mama i tata zostali aresztowani przez NKWD, wsadzeni do pociągu i pojechali na nieznana Syberię. Wykopywać ziemniaki z zamrożonej ziemi, zbierać drewno, orać, sadzić, karczować, kosić. Za darmo, za śmieszne racje żywnościowe, za miejsce do spania na podłodze w małym domku tak samo umęczonej wielodzietnej rosyjskiej rodziny.

Żeby przeżyć, po kolei wyprzedawali pamiętki po dawnym życiu. Ręcznie haftowany obrus, bluzkę, ręcznik, perły. Jedli przemarznięte ziemniaki, obierki, wodę z mąką, korzenie traw. Czasami, od święta – chleb, masło albo mleko.

13-letnia Hania pracowała jak dorośli, od ósmej rano do ósmej wieczorem. W tajdze, gdzie zimą temperatura spadała do minus 50 stopni. Wszystkie choroby leczyli aspiryną, a wysoka temperatura tylko na jeden dzień zwalniała z pracy. Dzieci umierały od infekcji, głodu, zimna.

Dlaczego oni przeżyli? Może dlatego, że nie rozpamiętywali krzywd, tylko modlili się żarliwie? A może dlatego, że mieli siłę polskich kresowych patriotów? Że w głowie kołatały im opowieści dziadka o walecznych powstańcach, o dzielnych ludziach, obrońcach polskości i wiary?

A może dlatego, że dziadek Skórko na pożegnanie wcisnął im worki z ubraniami, które potem długo wyprzedawali na Syberii za mąkę i ziemniaki? Lub po prostu dlatego, że przy życiu trzymało ich marzenie o powrocie do rajskiego gospodarstwa dziadka?

„Wróć! Obiecuję, że wróć!” – krzyczała Hania do dziadka przy pożegnaniu.

Ale dziadek nie przeżył wojny. Jego domu już nie ma.

Pisarka

Anna przetłumaczyła na hiszpański książkę Teodora Parnickiego „Aecjusz, ostatni Rzymianin”. Prestiżowe wydawnictwo Siglo XXI zerknęło na tekst i odpisało, że chętnie wyda jej tłumaczenie, ale jakiegoś porno. Jednak dopięła swego, została przyjęta w szeregi klubu Damas Publicistas, wydała kilka książek, m.in. fabularyzowaną opowieść o dzieciństwie spędzonym w Polsce i zesłaniu na Syberię.

Miała 13 lat, gdy zaczęła spisywać na skrawkach papieru dziennik. To był jej skarb. Przeglądała go setki razy, w końcu postanowiła opublikować. Książkę wydano pod hiszpańskim tytułem „Polonia. Viento y tinieblas” (Polska. Wiatr i ciemność). To fabularyzowana opowieść o precudnym dzieciństwie spędzonym w Polsce i okrutnym losie syberyjskich zesłańców.

Chciała też opublikować książkę o dawnym Meksyku – takim, jakim zapamiętała go jako młoda dziewczyna. Napisać historię o krawcowych znad rzeki Piedad, które pracowały w sklepie z ubraniami u jej mamy.

Opisałaby to tak: dzielnica była obskurna, ludzie mieszkali w szałasach wzdłuż rwącej rzeczki, wiele kobiet zarabiała na życie prostytuowaniem się, najczęściej było w okolicy samotnych matek, ubogich, z prowincji.

Siostra

Czerwiec roku 1942, Syberia. Hania upada i majaczy. Zdaje jej się, że jest w domu dziadka i zjada pyszny chleb z masłem. To z głodu.

Mama wyprzedaje biżuterię i karmi młodszą córkę mlekiem i chlebem. Wtedy też przychodzi paczka z zaświatów, wysłana przez Czerwony Krzyż, z jedzeniem i używanymi ubraniami, paczka wysłana przez kogoś z daleka, która dla nich na Syberii jest skarbem. Wymienia ubrania na 32 kg ziemniaków i mąkę. Placki, które z niej pieką, smakują lepiej niż tort.

Kilka lat później, już w Meksyku, w brudnym szpitalu na łóżku oddzielnym od innych zasłonką leży starsza kobieta z gnijącymi ranami. Starysuszka z uwielbieniem wodzi oczami za młodzieńką Polką, wolontariuszką Czerwonego Krzyża. Ofiarowuje jej jedno ➔

→ peso, prosząc, aby coś sobie kupiła. Anna kupuje świecę i proponuje wspólną modlitwę o wyzdrowienie. Następnego dnia staruszka umiera. Wolontariuszce zostaje wspomnienie wdzięczności staruszki i świeżo wyuczone słowa modlitwy po hiszpańsku.

Dlatego Anna postanowiła zostać pielęgniarką. Uczyla się w Czerwonym Krzyżu i pracowała – z czasem jako przewodnicząca Narodowego Komitetu Dam Wolontariuszek, przewodnicząca Komitetu Spraw Międzynarodowych i Doradca Narodowy.

Żona i matka

Na jakiś czas bycie pielęgniarką musiało ustąpić miejsca życiu rodzinnemu. Anna wyszła za mąż – za Jesusa Santosa Burgoę, przedsiębiorcę z dobrej rodziny. Urodziła trzech synów, doczekała się dziewięciorga wnuków i jedenaściora prawnuków. Zamieszkała z mężem w pięknej dzielnicy Villa Roma. Stolica kraju, Miasto Meksyk, w połowie XX stulecia to był inny świat: spokojny, bezpieczny.

– A dziś? – wzdychała, gdy rozmawialiśmy w maju 2017 r. – To zakorkowany moloch. Wszyscy tu zjechali za chlebem, ale nielicznym się poszczęści. Trudno znaleźć zaufane, pracowite i choć trochę bystre służące. Na drogach chaos, na ulicach niebezpiecznie. Rabunki, napady, zabójstwa. No i smog.

Politycy wprowadzili wahadłowy system używania samochodów, władarze dla zachęty robią sobie selfie w środkach komunikacji miejskiej, ale ludzie reagują raczej agresją niż zrozumieniem.

Wtedy, ponad pół wieku temu, Anna dostała piękny dom urządzony z przepychem, pełen służby spełniającej wszystkie zachcianki. Obracała się w szacownym towarzystwie rodzin o podobnym statusie. Ale taki dom był złotą klatką. Równouprawnienie mrzonką. Służba wszędzie bylska.

– Mąż często pracował z obcokrajowcami, był obyty, widział, z jaką atencją traktują oni swoje żony, jak szanują ich zdanie – wspominała Anna. – Miał szacunek do Europy, do tamtej cywilizacji. To mi pomagało.

Spokój i łagodny charakter pozwoliły jej osiągnąć to, czego pragnęła. Skończyła studia artystyczne, nauczyła się prowadzić samochód. Wydawała książki, a nawet zaczęła podpisywać obrazy nazwiskiem rodzinnym: Zarnecki (rezygnując tylko z pol-



Anna Zarnecka w Mieście Meksyk, lata 50.

FUNDACJA ANNA ZARNECKI AC

skiego „ż”). Wcześniej, gdy podpisywała się „Zarnecki Santos Burgoa”, ludzie pytali, czy obraz malowały dwie osoby.

„Dobrze, podpisz swoim” – zgodził się w końcu mąż.

Świadek

Meksyk mógł być dla Hani tylko przystankiem, ale stał się nową ojczyzną.

Jej bliscy dusili się tutaj, wyjechali do Stanów. Ona została. Uchodźczyni. Sybiraczka. Laureatka 18 medali krajowych i zagranicznych, prezeska Czerwonego Krzyża, pisarka, malarka, działaczka społeczna.

Gościła na antenie stacji radiowych, kręcono o niej filmy, zapraszano ją do szkół, na spotkania z młodzieżą. Pytano, jak żyć. Mówiła to samo, co powtarzała synom: „To, co masz w głowie, to twój największy skarb. Bo wszystko inne możesz stracić na wojnie, w trzęsieniu ziemi, w czasie kryzysu ekonomicznego, w chorobie. Jak ja”.

Wstrząsy i cuda

Trzy i pół tysiąca, cztery: te liczby to małe i duże trzęsienia ziemi, jakie rocznie nawiedzają Meksyk. Życie tutaj, szczególnie w rejonie Dystryktu Federalnego (obejmuje on stolicę), to oferta dla miłośników ekstremalnych doznań. Wystarczy dołożyć bagna i trzęsawiska, na których wznie- siono metropolię, oraz tanie, szybkie, czę-

sto nielegalne budowy – i katastrofa gotowa.

Ta najważniejsza wydarzyła się 19 września 1985 r., przed ósmą rano. 8,1 stopni w skali Richtera. Setki wcześniejszych pomniejszych trzęsień musiały naruszyć niestabilne konstrukcje i mocne wstrząsy tego dnia spowodowały tragedię. Liczbę zabitych szacuje się dziś na od 3 do 10 tysięcy. Różnice wynikają z charakteru zabudowy: Miasto Meksyk to setki nielegalnych siedzisk, dzikich lokatorów, niezarejestrowanych robotników i ich rodzin, dzieci ulicy.

Niektóre dzielnice rozsypały się jak klocki. Huczało, paliło się, dymiło. Ulice spiętrzały się, mosty urywały, eksplodowały instalacje gazowe, tryskała woda z pękniętych rur. Zamilkły telefony, padła elektryczność. Osuwały się budynki, które miały dawać schronienie: Centrum Médico Nacional, Hospital Juárez. Stadion do bejsbola. Ponad 2500 szkół, 78 hoteli. Brakło wody pitnej, miastu groziła epidemia. 900 tys. ludzi musiało opuścić domy.

Anna dyżurowała w Czerwonym Krzyżu. Brakowało łóżek, lekarstw, chorzy leżeli na podłodze, martwi na zewnątrz. Rodziny przychodziły szukać bliskich w stosie ciał.

W tym nieszczęściu zdarzyło się kilka cudów. W zniszczonym szpitalu udało się przeżyć niemowlętom: siedmiu dziewczynkom i siedmiu chłopczykom. Przeżyli siedem dni pod gruzami, kompletnie sami, nikt ich nie przykrywał, nie karmił, nie chronił przed gorącem, nie przytulał.

Ludzie mniej poszkodowani wydobywali innych spod gruzów. W części miasta w miarę normalne życie udało się przywrócić jeszcze tego samego dnia. Ale następnego wieczora ziemia zatrzęsała się znowu...

Dziś mieszkańcy Meksyku mogą sobie zamontować w telefonie aplikację, ostrzegającą o nadchodzącym trzęsieniu na kilka sekund wcześniej.

Słynna meksykańska pisarka o polskich korzeniach, Elena Poniatowska, wspominała w książce „Nada, nadie: las voces del temblor”: „Po straszliwych trzęsieniach ziemi 19 i 20 września 1985 roku w Mieście Meksyk żaden i żadna nie będą tacy sami. Panika, zniecierpliwienie, wściekłość, niemoc, horror, ocalenia, solidarność, śmierć...”.

Piękny dom rodziny de Burgoa w Villa Roma również rozsypał się w proch. Przez



FUNDACION ANNA ZARNECKI AC

Dzieci z kolonii Santa Rosa

dziurę w ścianie widać było, co robią sąsiedzi. Rodzina Anny musiała poszukać nowego miejsca do życia. Spodobała im się piętrowa willa w dzielnicy Polanco. Mieszkali tam trzy dekady. Potem już tylko Anna z wierną służącą i jej rodziną. Dziś ten dom jest wart fortunę.

Malarka

Kiedy jako młoda mężatka Anna nie miała sił na pełnienie roli posłusznej żony, matki i osoby na świeczniku w jednym, zwierzyła się w konfesjonale, gdzie dostała poradę: szukaj pociechy w życiu duchowym, zajmuj się sztuką, pracą dla innych, pielęgnuj wiarę.

Namalowała w życiu ponad 600 obrazów. Portrety najbliższej rodziny, wybitnych Polaków, krajobrazy, a przede wszystkim postaci religijne, m.in. portrety Jana Pawła II. Wiszą w Watykanie, Anna podarowała je papieżowi, gdy wizytował Meksyk.

Spotkanie z polskim papieżem to była szczególna chwila. Mogła mu opowiedzieć swoją historię. Ojciec Święty długo trzymał ją za ręce i powtarzał: „My, wojenne pokolenie, musimy iść naprzód, myśleć o przyszłości”.

Technika malarska Anny to było trochę dzieło przypadku. Miała namalować na zamówienie Tróję Świętą. Trójca to trójkąt, więc „pocięła” każdą z postaci na trójkąty. Geometryczne, kolorowe figury

„Największym cudem Santa Rosy było to, że **my, dzieci, odzyskaliśmy dzieciństwo**”. „Moje najlepsze lata to były te trzy lata w Santa Rosa” – wspominali Polacy, którzy w 1943 r. trafili do Meksyku.

wszystkim się spodobały. Precyzyjne nanoszenie geometrycznych trójkątów i linii wymaga skupienia i cierpliwości, ale też pośpiechu, bo kolory trzeba mieszać, póki są świeże.

Po wielu latach, w 1980 r., zaproszono ją do Polski. Pokazywała swoje prace w Warszawie, Krakowie, Nowym Sączu i Wrocławiu. Polskę wciąż kochała, mimo odległości. Po polsku mówiła doskonale. Czytała polskie książki. Tylko dzieci i wnuków nie nauczyła polskiego. Ale jedna wnuczka odziedziczyła talent malarski.

Dom

Elżbieta Buczkowska w wierszu pod tytułem „Ziemia wytchnienia” poświęconym Annie Żarneckiej pisała:

*Moja skóra coraz bardziej sucha przez
to słońce,
moje włosy coraz twardsze,
moje serce coraz bardziej garbowane.
Topnieje jak śniegi Syberii.
Potęga tego kraju
objawia się w każdym motyłu,
w każdym kolibrze.
Życie.*

Meksyk to jedyne miejsce na ziemi, które należało w pełni do niej.

Na cmentarzu w Dystrykcie Federalnym pochowała najpierw tatę (ciężko chorował po przejściach wojennych), a potem siostrę. Musiała sprowadzić jej prochy ze Stanów, zgodnie z życzeniem zmarłej.

Mama Anny po śmierci starszej córki przeniosła się z USA do Meksyku i jeszcze trzy lata pożyła (choć w depresji) na meksykańskiej ziemi.

„W Polsce zostawiłam dom, ale tu znalazłam drugi” – powiedziała kiedyś Anna. Drugi i ostatni. Zmarła w styczniu 2018 r.

© BEATA KOWALIK

Tekst powstał na podstawie rozmowy z Anną Żarnecką, przeprowadzonej w maju 2017 r. Korzystałam też z jej książki „Polonia. Viento y tinieblas”, filmu „Santa Rosa – odyseja w rytmie mariachi” i portali santarosa.com oraz www.fundacionannazarnecki.org.

Autorka jest podróżniczką, blogerką i dziennikarką, od lat mieszka w Meksyku.

ŚWIATŁO, KTÓRE NISZCZY

Od Archimedesza podpalającego okręty miedzianym lustrem
po kosmiczne lasery z „Gwiezdných wojen”
– militarne zastosowania światła kuszą i inspirują.
Czy są realne?

WOJCIECH BRZEZIŃSKI

W PIERWSZYCH DNIACH LIPCA ŚWIAT obieżyła informacja, że chińscy inżynierowie wyprodukowali prawdziwie śmiertcionośną zabawkę: przypominający wielkością kałasznikowa laserowy karabin, który może ponoć z odległości 800 m podpalić ubranie lub pociąć ludzką skórę. Eksperci wątpią, czy twórcy broni mówią o niej całą prawdę, ale po raz kolejny okazuje się, że fantastyka naukowa inspiruje nie tylko naukowców, ale i wojskowych. Czasami – z niepokojącymi rezultatami.

Krótką historia promienia śmierci

Od Herberta George’a Wellsa po Gwiazdę Śmierci – fantastyka pełna jest futurystycznych broni strzelających światłem i gorącym. Czy nazwiemy je laserami, blasterami, fazerami, czy promieniami śmierci, zasada miałaby być cudownie prosta. Celujemy, naciskamy spust, promień błyska, a cel staje w płomieniach, wybucha albo po prostu znika.

Winić możemy starożytnych. W komedii Arystofanesa „Chmury” z 424 r. p.n.e. Strepsiades pyta Sokratesa o „taki prześliczny, przeźroczysty kamyk, co ogniem pali”, proponując, aby za jego pomocą podpalić na odległość kartkę papieru. Rzymski historyk Lukian z Samosat opisał „promień śmierci” już w drugim stuleciu naszej ery. Relacjonował, jak podczas oblę-

żenia Syrakuz podobne urządzenie konstruować miał Archimedes. Ogromne lustro skupiało promienie słoneczne na zacumowanej u wybrzeża rzymskiej flocie i podpalało drewniane triremy.

Wielu późniejszych uczonych, na czele z Kartezjuszem, uznawało tę opowieść za bajkę. W końcu Lukian opisywał wydarzenia, które nastąpiły 400 lat przed jego narodzinami. Ale już około 1740 r. francuski przyrodnik Georges-Louis Leclerc, Comte de Buffon, udowodnił doświadczalnie, że lustro Archimedesza w zasadzie mogło istnieć. Przygotowana przez niego bateria złożona ze 128 lusterek była w stanie z odległości 50 m podpalić sosnową belkę.

Wojskowych bardziej interesowało to, że tę samą belkę kula armatnia roznosiła w drzazgi z dystansu dziesięciokrotnie większego. Promienie śmierci pozostały w legendach. Przez chwilę, zapewne pod wpływem fantastyki, wróciły do mody w latach 20. i 30. XX w. Nikola Tesla obiecywał zbudowanie całego systemu wież broniących promieniami Ameryki. A brytyjskie Ministerstwo Lotnictwa poprosiło inżyniera Roberta Watsona-Watta o opracowanie takiej broni dla obrony Brytanii. Zamiast promienia śmierci zbudował im coś cenniejszego: pierwszy radar.

Dziś wojskowym, wychowanym na „Star Treku” i „Gwiezdných wojnach”,

znowu zaczynają się marzyć laserowe działa. Na nowoczesnym polu bitwy miałyby bowiem jedną dużą przewagę nad karabinami i artylerią: promienie trafiają prosto do celu, z prędkością światła. Na razie na ich drodze staje jednak fizyka.

Po pierwsze, laserowe działko zużywa mnóstwo energii. Oznacza to konieczność podpinania do niego bardzo ciężkiego generatora albo jeszcze cięższego pakietu baterii litowo-jonowych. Wszelkie laserowe wynalazki były więc dotychczas urządzeniami raczej stacjonarnymi, ewentualnie montowanymi na pojazdach. W 2000 r. w ramach projektu THEL – wspólnego dzieła armii amerykańskiej i izraelskiej – dokonano pierwszego udanego zestrzelenia pocisku artyleryjskiego przy pomocy działła laserowego; prototyp miał rozmiar sześciu autobusów.

Po drugie, lasery mają kiepski zasięg. Gwiazda Śmierci z „Gwiezdných wojen” miała łatwe zadanie, bo strzelała w próżni. Promień lasera, przebijając się przez zawieszone w powietrzu drobinki wody, ulega na większym dystansie rozproszeniu, zupełnie jak światło latarki. Nawet zupełnie suche powietrze do pewnego stopnia pochłania i rozprasza fotony. Oznacza to też, że mgła czy deszcz sprawiają, że laserowym karabinem można przy takiej pogodzie co najwyżej pode-



Demonstracja systemu broni laserowej na okręcie USS Ponce, Zatoka Arabska, listopad 2014 r.

przec drzewi. Jego promień nie zrobi nikomu krzywdy.

Przykład? Kilka lat temu amerykańskie Siły Powietrzne opracowały laser COIL, który miał zestrzeliwać północnokoreańskie rakiety. Był ogromny: zajmował niemal całe wnętrze jumbo jeta. Choć udało się przy jego pomocy zestrzelić w 2010 r. ćwiczebny pocisk, to cały system wkrótce potem poszedł na złom: laser okazał się mieć zasięg zaledwie kilkudziesięciu kilometrów. Żeby skutecznie polować na koreańskie rakiety, samolot musiałby w zasadzie latać dookoła ich wyrzutni. Laser o dostatecznej mocy ważyłby 10-krotnie więcej.

Podejrzany prototyp

Mniejsze laserowe systemy, montowane na statkach czy ciężarówkach, powoli wchodzi do użycia – mają służyć do ze-

strzeliwania dronów, często zbyt małych, by dało się je łatwo zestrzelić przy pomocy rakiet przeciwlotniczych. Teraz jednak Chińczycy zapewniają, że dogonili fantastykę. Ich ZKZM-500 nie prezentuje się co prawda fantastycznie: wygląda tak, jakby ktoś próbował zapakować kałasznikowa w zbyt małe pudełko, z którego wystaje kawałek lufy i kolby oraz dwa uchwyty, ale według twórców z Xiańskiego Instytutu Optyki i Mechaniki Precyzyjnej jest to pierwsza na świecie przenośna, niszcząca cele broń laserowa. Wewnątrz znajdują się źródło światła laserowego, układy optyczne i bateria litowa wystarczająca na tysiąc dwusekundowych „strzałów”.

Całość, według projektantów, jest zaskakująco lekka. 3 kilogramy, czyli mniej więcej tyle, co klasyczny kałasznikow. Według Instytutu laser jest wystarczająco

mocny, by natychmiast wypalać blizny na ludzkiej skórze, podpalać paliwo czy ubrania.

Na przedstawionym przez nich nagraniu widać, jak ktoś strzela z karabinu do kawałka kartonu z odległości około stu metrów. Karton staje w płomieniach. Potem na cel brana jest opona, T-shirt i kawałek boczk. Materiał wideo zawiera jednak wcześniej wyraźną montażową „sklejkę”, a w kadrze nie widać już broni, trudno więc powiedzieć, czy te próby dokonywane są w takich samych warunkach i z takiej samej odległości.

South China Morning Post, powołując się na pracowników Instytutu, twierdzi, że pierwszym użytkownikiem laserowych karabinów miałyby być Ludowa Policja Zbrojna, która mogłaby korzystać z broni do walki z „nielegalnymi demonstracjami”. Chińscy naukowcy →

→ proponują, by przy pomocy niewidzialnego lasera podpałać zdalnie transparenty czy ubrania przemawiających przywódców protestu, by „pozbawić ich siły perswazji”. Cytowany jednak przez tę samą gazetę anonimowy policjant nazwał system „sadyistycznym” i „kontraproduktywnym”, bo mógłby zwykłą demonstrację zmienić w zamieszki.

Analitycy, którzy przyjrzeni się nagraniu, są jednak podejrzliwi. Drake Anthony, chemik z Southern Illinois University, prowadzący na YouTube poświęcony laserom kanał „styropyro”, twierdzi, że zapewnienia o tym, iż broń waży tyle, ile normalny karabin, można włożyć między bajki, bo sama bateria powinna ważyć kilkanaście albo wręcz kilkaset kilo-

gramów. Laser ma też wciąż bardzo ograniczony zasięg: wiązka po przebyciu kilkuset metrów spowodowałaby co najwyżej lekko nieprzyjemne podgrzanie skóry. Wygląda na to, że artykuł w „South China Morning Post”, który rozpoczął medialną karierę laserowego kałasznikowa, mógł być po prostu elementem chińskiej propagandy militarnego sukcesu.

Prawo do świecenia

Pozostaje wreszcie kwestia prawna. Chiny są sygnatariuszem Protokołu o Oślepiającej Broni Laserowej ONZ, który zabrania stosowania broni laserowej powodującej permanentne uszkodzenia ludzkiego wzroku. Protokół IV Konwencji o zakazie lub ograniczeniu użycia pewnych broni konwencjonalnych zabrania korzystania z broni laserowej, której celem jest permanentne oślepienie ludzi. Protokół, podpisany i przez Chiny, i przez USA, wszedł w życie w 1998 r. Jest nieco problematyczny, bo niemal każdy laser wystarczająco mocny, by mieć wojskowe zastosowania – choćby do niszczenia dronów czy rakiet balistycznych – może wyrządzić człowiekowi krzywdę. Zapis interpretowany jest więc jako zakaz projektowania i stosowania laserów, których założonym celem jest wykorzystywanie ich przeciw ludziom, a nie przeciw maszynom. Mimo to rząd w Pekinie w 2015 r. przeznaczył na rozwój broni laserowej ponad 300 mln dolarów.

Niestety, prawo międzynarodowe rzadko staje na drodze wojskowym ambicjom. Na szczęście przed laserowymi karabinami jak na razie skuteczniej broni nas fizyka. Inne fantastyczne pomysły powoli wchodzą jednak do służby. Rosja, Chiny i Indie przygotowują hipersoniczne rakiety, rozpędzające się do prędkości nawet kilkunasstu tysięcy kilometrów na godzinę. Chińczycy i Amerykanie chcą wyposażać okręty swojej marynarki wojennej w dobrze znane z fantastyki „railguny” – działa elektromagnetyczne, w których pocisk rozpędzany jest do ogromnych prędkości nie prochem, lecz magnesami. ONZ już teraz na poważnie debatuje o traktacie zabraniającym tworzenia broni sterowanej wyłącznie przez sztuczną inteligencję.

A chińskie lasery? Znalazły już podobno pierwsze zastosowanie. W cywilu. Mają służyć do spalania foliowych toreb zapalających się notorycznie w linie wysokiego napięcia.

© WOJCIECH BRZEZIŃSKI



ZKZM-500 z Xiańskiego Instytutu Optyki i Mechaniki Precyzyjnej, lipiec 2018 r.

Księżycowi marines

NA DŁUGO PRZED

CHIŃSKIM laserowym kałasznikowem amerykańscy wojskowi snuli o wiele śmielsze wizje: wyposażonych w egzotyczną broń żołnierzy, oczywiście amerykańskich, patrolujących powierzchnię Księżyca i broniących go przed komunistycznym najazdem. Poufne opracowanie US Army Weapons Command z 1965 r., pod barwnym tytułem „Meandry umysłu skupionego na uzbrojeniu zastosowanym do próżni jak ta na Księżycu”, opisuje cały arsenał, który mógłby służyć kosmicznym marines. Na cztery lata przed tym, jak na Księżycu ktokolwiek stanął.

„Ze względu na zupełnie nowe warunki stojące przed człowiekiem w kosmosie nie możemy czekać do ostatniej chwili z opracowywaniem broni z nadzieją na sukces, gdyż już dziś stoimy być może na krawędzi pola bitwy, na którym rozegra się Armagedon” – pisali autorzy opracowania. I zaproponowali całą serię broni, dzięki której Armagedon można by wprowadzić w życie. Klasyczna broń palna źle radzi sobie w próżni: smary parują, metale same z siebie tworzą spawy, a odrzut broni może wystrzelić jej użytkownika na orbitę. Amerykańscy wojskowi chcieli już wtedy uzbroić swoich księżycowych piechurów w lasery, ale

z braku odpowiednich modeli proponowali broń taką jak sprężynowe karabiny na strzałki, pistolety na naboje gazowe czy „dziatka kietbasiane” – okrągłe kłocze z kilkunastoma dziurami, wystrzeliwujące wirujące mikrorakiety. Żaden z ich pomysłów ostatecznie się nie przyjął, a Neil Armstrong mógł spokojnie spacerować po Księżycu bez dubeltówki na plecach. Ostatecznie jedyną bronią, która regularnie latała w kosmos, był specjalny, trójlufowy obrzyn wożony na pokładach Sojuzów przez radzieckich astronautów. Nie z obawy przed kapitalistycznym abordażem, ale dla obrony przed wilkami i niedźwiedziami w razie niefortunnego lądowania głęboko w tajdze. ©

ANDRZEJ

Stasiuk:

Skóra świata



WRACALIŚMY, GDY BYŁO JUŻ CIEMNO. JECHAŁEM wolno przez ledwo widzialne miasteczka. Przez wsie z paroma światłami na krzyż. Siedział obok i opowiadał urywane historie. Zjawiały się w nich postacie, których pochodzenia sam nie był pewien. Tak

jakby pamiętał twarze i zdarzenia, ale nie miał pojęcia, dlaczego się zjawiały w jego życiu. Dalekie ciotki, kobiety odległych wujów, rozległa, ledwo znana rodzina, ni to spokrewniona, ni to skoligacona. Snuł opowieść pełną pęknięć i przetrąć, ale snuł ją nieustannie. Jego monotony głos usypiał mnie, ale przecież nie mogłem mu powiedzieć, by przestał. Więc zmagalem się z sennością, mijając ledwo widzialne miasteczka.

Jeszcze parę lat temu wskazywał mi drogę: w prawo, w lewo, to skrzyżowanie, tamto, ale teraz stracił zainteresowanie terazniejszością i pochłonięty przeszłością wybierał z niej oderwane epizody, twarze i zdarzenia stapiając w nieprzerwany, rwący potok opowieści. A przez te wszystkie lata, gdy żyliśmy razem, a raczej obok siebie, milczał. Wyglądało to tak, jakby życie nie robiło na nim wrażenia, jakby nie wymagało żadnego komentarza. Teraz próbował je odtworzyć w skali jeden do jednego.

Liw też był ciemny. Zamek stał gdzieś po prawej, nad sennym rozlewiskiem rzeki. Jak wyglądają rzeczy, których nie widzimy? Rzeczy w mroku? Skręciłem w stronę Dobrego. Nigdy go o nic nie pytałem. Dopiero teraz. Ale było już za późno. Pamiętał zdarzenia, ale były oddzielne, niepowiązane, wynurzały się z nicości i znów w nią zapadały i tylko nieustanne ich powtarzanie, niemilknąca opowieść nadawała im jakiś rozpaczliwy sens. Dlatego nie powiedziałem mu, żeby przestał, chociaż opadały mi powieki. Bo tak naprawdę mówił do siebie, mówił do własnej pamięci. Próbował zebrać jej okruchy. A mnie obchodził most. Chciałem wiedzieć, którędy Niemcy w czterdziestym pierwszym poszli na Sowietów. Najpierw tym starym, bardziej na południe, potem rzucili pontonowy i na koniec zbudowali drewniany, którego szukaliśmy. Ogniasty szlak przez krainę dzieciństwa. Droga krwi. Trakt śmierci w sennym pejzażu.

Przyjeżdżałem w czerwcu, w lipcu, w sierpniu i wydawało mi się, że wszystko trwa nieruchomo. Nic się nie zmieniało. W którymś momencie elektryczność zastąpiła lampy naftowe. Elektrycy stawiali słupy wśród pól. Zakładali instalacje. Ludzie wpatrywali się w żarówki i mrużyli oczy. Czasem ktoś umierał i zabierała go wiekiusta przeszłość. Trumnę niosło się na ramionach na cmentarz położony na lekkim wzniesieniu. Rano krowy wlekły łańcuchy srebrne od rosy. Starsi wciąż mówili o wojnie. Ale te historie przypominały opowieści o potopie. O kataklizmie zarazem boskim i naturalnym. Był nieunik-

niony, nadszedł, a potem przeminął zabierając swe ofiary, w zamian pozostawiając pokój. To wszystko było bliskie i zarazem odległe. Skóra świata zasklepiła się bez śladu.

Niczego nie mogłem wtedy dostrzec, ponieważ zaprzętała mnie terazniejszość pół na pół z marzeniami. Babki i ciotki kończyły opowiadać i nie pytałem, co było dalej. Może nawet mnie to nie ciekawiło. Wojna, trupy w polu, muchy, odór, Wehrmacht należały do świata dorosłych, stanowiły ich własność, którą nie chcieli się dzielić. Młodzi nie mieli tam wstępu, tak jak do reszty ich dorosłego życia. Tylko oni wiedzieli naprawdę o czym rozmawiają. Nie mieliśmy nic do dodania. „Przed wojną”, „jak Niemcy weszli”, „jak Ruscy przyszli” – brzmiało to tak samo jak „na Wielkanoc”, „na Piotra i Pawła”, „po Wszystkich Świętych”.

No więc się zasklepiło i mogłem patrzeć w dal, rzeka była niewidzialna, ukryta wśród wiklin, ale widziałem jej drugi brzeg. Był odległy, zamglony, nierzeczywisty, ale nie mogłem oderwać od niego wzroku. Jakby zaczynał się tam obcy kraj. Ale wtedy tam nie dotarłem. Któregoś upalnego lata doszliśmy z chłopakami ze wsi do połowy nurtu. Pomiędzy piaszczystymi łachami woda sięgała po pas, ale potem zaczynała się pełna wirów głębina, w którą bali się zapuścić nawet najstarsi. Wiry pojawiały się prawie zawsze, gdy ktoś wspominał o rzece. Jak zwiastowanie cichej śmierci. W opowieściach pojawiali się biali topielcy. W dole rzeki, w innej wsi, wśród wiklin, nadjedzeni przez ryby. W niedzielę ze wzgórza za kościołem widać było, jak z drugiego brzegu odbija łódź z wiernymi. Wyobrażałem sobie, jak po mszy wracam z nimi na tamtą stronę. Ile to mogło kosztować? Dwa? Pięć złotych? Wyobrażałem sobie, że płynę, przybijam do płycizny i wychodzę na mulisty grunt, na nieznany ląd. W oddali na niskich i, jak wtedy mi się wydawało, ciągnących się po horyzont łąkach pasły się zwierzęta. Konie, stada krów. Sierść koni lśniła w słońcu. Z biegiem lata zieleń płowiała, schła i nabrała pylistego odcienia. Konie czasami zrywały się do galopu i spod kopyt podnosił się kurz. Ale nigdy się tam nie wybrałem. Nie miałem śmiałości, by wsiąść do łodzi razem z odświeżniami ubranymi kobietami po mszy. Na pewno by mnie zapytały: „A cyj ty jesteś?”.

Teraz opadały mi powieki, ale nie miałem odwagi mu przerwać. Stąpał po kruchym lodzie swojej pamięci i bałem się, że łód pęknie, a on zapadnie się w głąb ciemności. ©

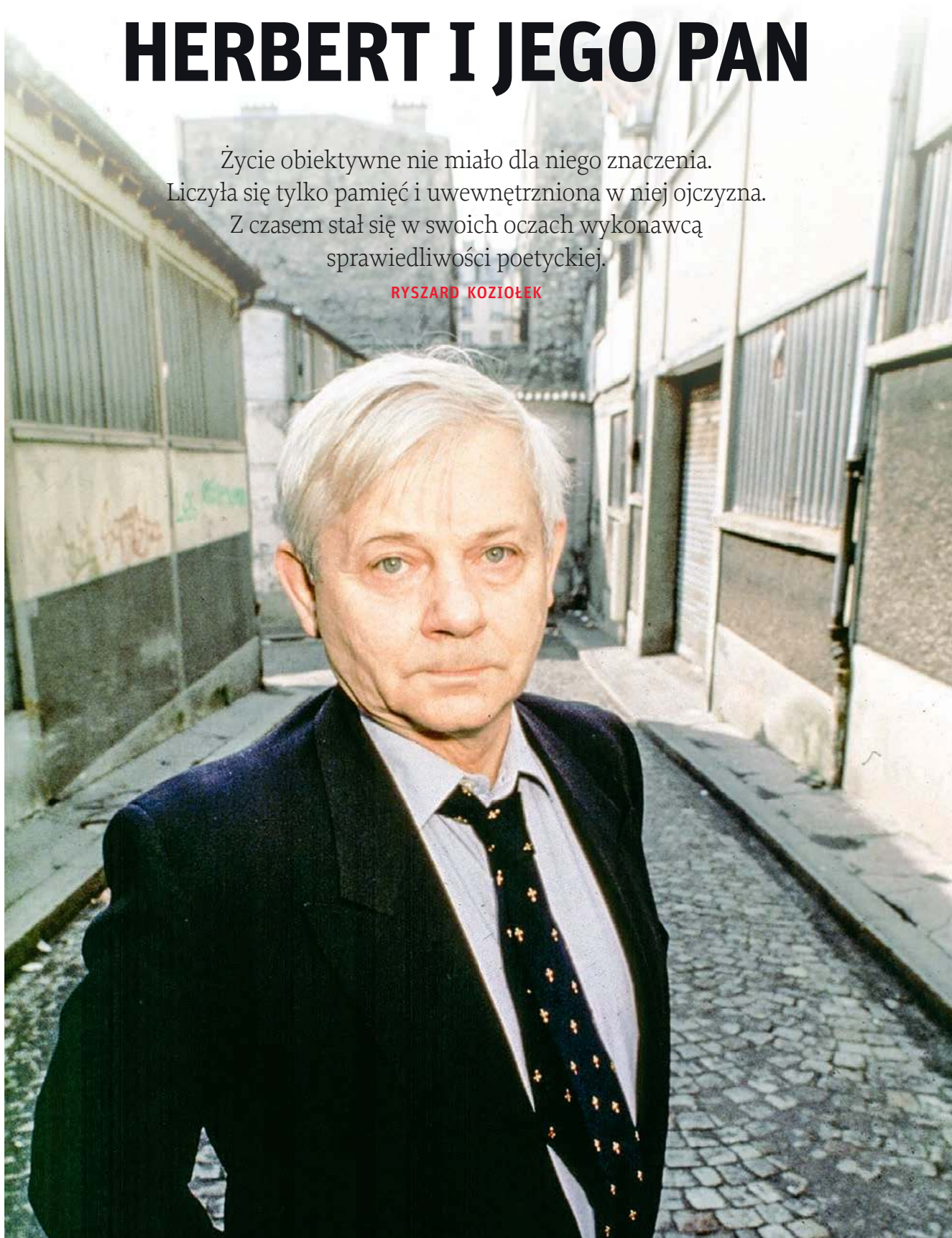
W Sądzie Rejonowym w Kamiennej Górze toczy się postępowanie w sprawie z wniosku Gminy Kamienna Góra, z udziałem Kingi Dopart i Ireneusza Dopart o stwierdzenie nabycia spadku po Helenie Kasprzyk, zmarłej 11 listopada 2015 r. w Przedwojowie, ostatnio stale zamieszkałej w Przedwojowie. Nie ustalono składników majątku pozostałego po spadkodawcy.

Wzywa się spadkobierców zmarłej, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się tego ogłoszenia zgłosili się do Sądu Rejonowego w Kamiennej Górze i udowodnili swoje prawo do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu spadkowym. Sygn. akt I Ns 18/18.

HERBERT I JEGO PAN

Życie obiektywne nie miało dla niego znaczenia.
Liczyła się tylko pamięć i uwewnętrzniona w niej ojczyzna.
Z czasem stał się w swoich oczach wykonawcą
sprawiedliwości poetyckiej.

RYSZARD KOZIOŁEK



NAPISANA PRZEZ ANDRZEJA FRANSZKA biografia Zbigniewa Herberta jest w większości mroczna i boli jej lektura. Świadczenia o życiu niepoetyckim poety, wypuszczone z mroku szuflad i ludzkiej pamięci, są nie do opanowania w wyjaśniającej i tonującej narracji tej książki.

Nic na to nie poradzi autor, że czytelnikowi najprawdopodobniej zostanie w pamięci dominujący obraz Herberta jako egotystycznego i egoistycznego kaboty, zrozpaczonego i zgryźliwego błazna grzęznącego na przemian lub równocześnie w alkoholizmie, erotomanii i depresji, rujnującego związki i przyjaźnie przez swój radykalizm moralny i obsesję polityczne.

Tak, czytamy także, że był czarujący, hojny i dowcipny; miał swoje jasne dni, ale nie widzimy ich tak jaskrawo jak scen gniewu, krzywdy i upadku. W niemożliwy do wyjaśnienia sposób przydarzyło mu się być genialnym poetą. Ten rozdźwięk między osobą a dziełem przenika całe to ogromne studium, które jest beznaieżną próbą ich spięcia.

Jak do jeża

Kiedy zobaczyłem, jakie to grube, powiedziałem sobie, że nie przeczytam. Już „Miłosz” był potężny, ale dwa tomy, po – z górą – osiemset stron każdy, to już przesada. Czy Herbert żył dwa razy dłużej od Miłosza? Nie, żebym nie lubił grubych książek, przeciwnie, nic mnie tak od dzieciństwa nie smuciło jak widok topniejących kumbe po prawej stronie „Podróży do Matecumbę”, „Czarnego sombrera” czy „Pięciu tygodni w balonie”.

Nie o sobie jednak myślałem. W końcu dla zawodowca objętość jest bez znaczenia, to po prostu kolejna książka do przeczytania. Biografie – myślałem głośno – należą do zakresu „humanistycznych usług dla ludności” i nie powinny być pisane z myślą o literaturoznawcach, ale o czytelnikach istniejących lub prawdopodobnych. Jaka jest funkcjonalność takiej książki? Jakiej jej życie? Jak to wziąć na wakacje, na plażę, do pociągu? (Bogu dzięki za czytelniki!). W sytuacji, kiedy pisanie poważnych książek humanistycznych jest możliwe niemal wyłącznie przy wsparciu instytucji publicznych (rzadko prywatnych), istnieje pokusa, aby poszaleć z objętością. Powstaje jednak z tego paradoks, że w kraju, gdzie czytelnictwo

utrzymuje się od lat na żenująco niskim poziomie, pisze się i wydaje coraz grubsze książki z kręgu humanistyki.

I tak pomstując głośno, łąziłem z tomami po mieszkaniu. A potem się zawstydzilem. Za grube? A pięciotomowa biografia Dostojewskiego napisana przez Josepha Franka albo trzytomowa Kafki pióra Reinera Stacha?

I przeczytałem.

Co tu kryć

Australijski noblista, John Maxwell Coetzee, wielki admirator poezji Zbigniewa Herberta, twierdzi, że każde piarstwo jest autobiograficzne. W miarę lektury książki Andrzeja Franaszka co rusz łapałem się na tym, że coraz bardziej interesuje mnie jej autor, a nie tylko jego bohater.

Niewygoda pisania o tak imponującej pracy, jaką wykonał Franaszek, wynika z faktu, że ta praca już się dokonała, że pochłoneła mnóstwo czasu, wysiłku i pieniędzy, że pośród wielu prac niedokończonych, jakie podejmują badacze, ta została szczęśliwie ukończona i wspólnie wydana. Że jest pierwszą w tej skali i kompletności biografią Zbigniewa Herberta. Budzi respekt, już kiedy bierzemy ją do ręki, oglądamy spis treści, fotografie, potężną bibliografię. A po przeczytaniu widzimy, że jest porażką w rodzaju szlachetnej przegranej Becketta i pięknej katastrofy Zorby, czyli przegraną z życiem, które nie poddało się opowieści, to jest wyjaśnieniu.

To nie zarzut, to „uniwersalne współczucie” dla filologa, który zamieszkał na kilka lat w chaosie archiwów i mimo że nie pierwszy raz to robi i jest doświadczonym badaczem śladów po życiu, tym razem jest mu trudniej. Nie może pisać tej książki jak „Miłosza”, ale też materiałów jest więcej i są inne. Obok typowych listów, dzienników, świadectw pisanych i mówionych – cała kupa resztek po życiu gromadzona z pietyzmem przez samego Herberta. Początkowe zadowolenie bogactwem śladów zmienia się w beznadzieję, a może chwilami i w rozpacz, ponieważ ten nadmiar nie składa się w opowieść rozwojową o życiu i dziele Zbigniewa Herberta. Poza tym, że pozwoliło mu to napisać kilkadziesiąt genialnych wierszy i kilka tomów wspaniałych esejów.

„Naszym celem jest nie tylko opisywanie lektur, zajęć, zapisków, niedokończonych utworów Herberta, ale coś znacznie więcej – przynajmniej próba zrozumienia

go” – skromność tego zamierzenia jest pozorą, a konsekwencje poważne. Zrozumieć Herberta to dopiero pierwszy krok, trzeba jeszcze to zrozumienie wypowiedzieć. Pośród wielu decyzji, jakie Andrzej Franaszek musiał podjąć podczas pisania i przed nim, zabrakło dobrej odpowiedzi na pytanie: jak to napisać, mając na myśli obecnego i nie bardzo przyszłego czytelnika? A musiał o tym myśleć, bo na samym końcu książki podaje trzy kryteria, którymi kierował się pisząc tę biografię: „Starałem się być sprawiedliwy, ale też zachować pokorę. I przynajmniej zbliżyć się do prawdy. Po cóż innego pisać biografię”.

Powodów jest więcej, ale dorzuciłbym jeden: aby n a m opowiedzieć o życiu Zbigniewa Herberta możliwie wszystko, czego się dowiedział. Nie, to nie wynika bezpośrednio z „prawdy”, „sprawiedliwości” i „pokory”. Im głębiej zapadałem się w tę książkę, tym natęczyłem kołatało mi w głowie pytanie: „Dla kogo autor pracuje? Dla Cienia czy dla Czytelnika? Wobec kogo jest bardziej lojalny?”. Wreszcie ujrzałem wyraźnie, że Franaszek nie potrafi lub nie chce wybrać między czytelnikami a Cieniem oraz jego bliskimi.

Widzę to nie tylko w eleganckiej dyskrekcji, gdy zataja drastyczne szczegóły obyczajowe i oszczędza żonę poety, Katarzynę Herbert. Robi też wiele innych drobnych gestów „powiernika tajemnicy”: zawieszka głosu, bywa adwokatem, smuci się upadkami bohatera, zawstydza go kłamstwami, cieszy się jego zdrowiem i sukcesami, tonuje szaleństwa, chciałby godzić zwaśnionych z nim przyjaciół. Wyznaje nawet niechęć do tej roboty: „Biograficzne śledztwa mają w sobie coś dwuznacznego”. Zarazem podkreśla swoją skrupulatność, zapewniając, że prowadzi „biograficzne śledztwo z dociekliwością Sherlocka Holmesa”. Kiedy indziej zatrzymuje nas na progu zagadki: „Kim zaś my jesteśmy, by rozsypać węzeł, który łączy dwoje ludzi, dostrzec złożoność uczuć, dostępną może tylko oczom anioła?”. Jeśli już dzieli się tajemnicami, to jakby pod przymusem, powtarzając wielokrotnie: „co tu kryć”.

Często też autor mówi w języku Cienia, co nie będzie pomagać mu w komunikacji z czytelnikiem młodszym od niego. Wspomina o „szarmanckiej adoracji dam”, o „automobilowych rajdach”, o tym, że „matka była przede wszystkim oddana, czułą opiekunką, reperującą ubrania, →

→ wysyłającą wiktuały”, a „Zbigniew (...) jest ciągle sympatycznym wisusem”, choć „skończył się czas gimnazjalnych figli”. I że „Bożenka była hożą blondynką o klasycznych rysach”, a „początkujący twórca próbuje czasem opuścić pokład miniaturowego titanica swoich uczuć”; zaś „wybierając z wielu zaczątków pojedyncze linie, otrzymujemy erotyczną mgławicę, pełną westchnień, niepokoju, tęsknoty, którymi to zresztą uczuciami mógł młody człowiek emablować koleżanki z tajnych kompletów”.

Ten spatynowany koloryt języka ustępuje w kolejnych partiach, lecz całkiem nie znika, np. kiedy autor opisuje stosunki panujące w paryskiej „Kulturze” Jerzego Giedroycia: „nie znaczy to jednak, że w la-fickim »falansterze« stosunki zawsze pozostawały kordialne”. Nie kpię, wydaje mi się nawet, że rozumiem to potężne przeciąganie, które wciąga badacza do badania świata i jego języka, sprawiając, że jego własny wydaje się obcy lub gorszy.

Egzotyczne obrazy

Franaszek uległ pokusie porzucenia czyśto chronologicznej relacji o życiu Herberta. Prawdopodobnie natrafił na dni, miesiące, a nawet lata w życiu bohatera, o których wiedział niewiele albo nie rozumiał ich wystarczająco dobrze. Być może, kiedy pisze się taką biografię, najlepszym wyjściem jest przyjęcie pozycji Serenusa Zeitbloma (bohatera „Doktora Faustusa” Tomasza Manna), humanistycznego wicepieroły, którym jako poloniści w zasadniczej większości jesteśmy. Serenus opowiada żywot geniusza muzycznego Adriana Leverkühna, którego kocha i podziwia, i którego talent oraz dzieło przekraczają po wielokroć jego zdolności. Opowiada więc sumiennie i rzetelnie w granicach swojego rozumu.

Biograf Herberta wybrał bardziej wyrafinowaną kompozycję i zamiast prostej linii fabularnej, ograniczonej datami narodzin i śmierci, preferuje spiralny ruch opowiadania. Pierwszy krąg to szeroko zakrojone badania bezkresnych archiwów i zasobów ludzkiej pamięci. Ale wkrótce krąg się kurczy; wiele rozmów rozczarowuje, a źródła monotonnie powtarzają te same historie: pisanie, alkohol, nagroda, podróż, zwiedzanie, depresja, spotkanie autorskie, kolejna kobieta.

I tylko od czasu do czasu zdarza się cud wiersza, którego wydarzenia życiowe nie mał w ogóle nie tłumaczą. Więc spirala się

Dorastanie we Lwowie
impregnowało go na
nacjonalizm wykluczający.
Dorosłego Zbigniewa **każde
wielokulturowe miasto
napawało radością**, nie czuł
lęku w arabskich dzielnicach
Paryża ani wśród greckiej
czy włoskiej biedoty.

zacieśnia do ciasnego kręgu umysłu bohatera, do tajemniczej siedziby poetyckiego talentu, jak też obsesji, pragnień i lęków, które to miejsce nie powie, dlaczego Herbert był, jaki był. Wtedy Franaszek zwraca się o pomoc do Wielkiej Historii, aby w Wydarzeniach (wojna, stalinizm, Październik '56, Marzec '68 i Praska Wiosna, Solidarność, 1989 rok) znaleźć objaśnienie pojedynczego życia kształtowanego przez los polskiej zbiorowości w XX wieku. Ale to rozwiązanie także słusznie go niepokoi: „Nie chcemy szczegółowo rekonstruować historycznego tła, starając się, aby nasz bohater nie zginął w panoramie ludzkich losów”.

Bohater jednak ani nie ginie, ani nie staje się bardziej zrozumiały. Życiorys Herberta nie pasuje do wypadkowego losu Polaka urodzonego w trzeciej dekadzie XX w. Prawnuk austriackiego urzędnika, który przybył do Lwowa w nadziei dobrej posady, śladem ojca będzie trwał przy Polsce związany z nią nie krwią, ale wyborem. Niedawno wyzwolona ojczyzna była dla Zbigniewa „jak zaraza albo choroba weneryczna i żebym nie wiem jak podskakiwał, nie wyzwolę się od tego” – pisał do Miłosa w 1967 r.

Polskość nie była oczywista w jego rodzinie. Wujowie, Marian i Roman, służyli w wojsku, ale pierwszy w polskim, drugi w niemieckim. Syn pierwszego Ludwik, w czasie wojny folksdojcz, zostaje zabity przez AK w Warszawie. U jego ojca, który po wojnie zamieszkał w Wiedniu, Herbert gościł razem z matką w 1958 r. i nad wyraz serdecznie byli przyjęci. W genealogii i w wychowaniu tkwi jedna z głównych tajemnic osobowości Herberta – jego przylgnięcie do polskości i radykalny patriotyzm.

Pochodzenie i dorastanie w wielonarodowym Lwowie impregnowało go na nacjonalizm wykluczający, monoetniczny. Dorosłego Zbigniewa każde wielokulturowe miasto napawało radością, nie czuł lęku w arabskich dzielnicach Paryża ani wśród greckiej czy włoskiej biedoty. Franaszek poświęca wiele miejsca pierwszego tomu, żeby pokazać, jak lwowskie dzieciństwo plus klasyczne lektury stworzyły kulturowe przygotowanie Herberta-Europejczyka, który szybko zda sobie sprawę, że – obok Polski – jego duchową ojczyzną jest Śródziemnomorze.

Kłamstwa

Herbert jest rzadkim przypadkiem polskiego pisarza mieszczańskiego. Sposób wychowania, poziom życia codziennego, konserwatywno-liberalny światopogląd ojca, genealogia rodziny, męskie zawody (urzędnicy, wojskowi, kupcy), zamożność, miejski tryb życia, klasyczne wykształcenie, studia prawno-ekonomiczne w Krakowie – tworzyły spójny *habitus*, tak powszechny i typowy dla zachodnioeuropejskiego mieszczaństwa. To właśnie, a nie tylko polityczna „niezłomność”, ukształtowało odrębność Herberta w prząsnym PRL-u.

Skrót powojennego życia Herberta także nie pasuje do typowego losu peerelowskiego pisarza. Antystalinista i sceptyk, pozostał wierny sobie w najgorszych czasach politycznych prześladowań; poeta podziwiany przez swoich i obcych; w czasach, kiedy większość Polaków mogła tylko marzyć o wyjeździe na Zachód, podróżował miesiącami po Francji, Włoszech i Grecji, rezydował latami w Paryżu czy w Berlinie, wykładał w Stanach; nagradzany polskimi i światowymi nagrodami literackimi. Jego wiersze tłumaczono na angielski i czytano w radiu BBC, zachwycali się nimi Ted Hughes, Wystan Hugh Auden i Coetzee, a w niemieckim katalogu wydawniczym jego zdjęcie było obok Waltera Benjamina i Jamesa Joyce'a. No i „nosił tylko krawaty jedwabne”. To nie tylko „mogło budzić zazdrość”. To było niepojęte.

Na tych egzotycznych obrazach Franaszek kreśli ostre rysy psujące urodę rysunku. Są nimi przede wszystkim dziwne kłamstwa Herberta, na czele z legendą o swoim udziale w konspiracji, a powtarzane przez niego przez całe życie (łącznie z wywiadem w „Guardianie” z 23 lipca 1981 r.). „Zbigniew Herbert



Zbigniew Herbert, Warszawa 1962 r.

konstruował swój życiorys” – stwierdza biograf. Niby każdy to trochę robi, ale poeta wartości absolutnych, który zmyśla na temat swoich przygód konspiratora przesłuchiwanego przez NKWD lub twierdzi, że utykanie na prawą nogę to skutek postrzału w walkach partyzantskich, podczas gdy naprawdę złamał ją na nartach w 1941 r. – budzi zażenowanie. Joanna Siedlecka w książce „Pan od poezji” zweryfikowała tę blagę, wykazując, że nie ma żadnych śladów udziału Herberta w konspiracji, a Zdzisław Najder, przyjaciel poety, już w latach 50. jedno-

znacznie stwierdzał, że to bujdy. Franaszek bezlitośnie gromadzi wszystkie znane świadectwa w tej sprawie, lecz mimo to samego Herberta rozumiemy coraz mniej.

Po co to robił? Odpowiedzi autora biografii, przyjaciół i znajomych nie układają się w sensowne wyjaśnienie: skłonność do konfabulacji, efekt depresji, kompleks kulawego, presja narodowego stereotypu artysty zaangażowanego, „chciał być żołnierzem” (Katarzyna Herbert), mieć po prostu „wzorowy życiorys”, jak Tadeusz Żebrowski – mąż jej siostry.

Kopiuuj, wklej

Dotykamy kolejnego kontrowersyjnego miejsca w narracji biograficznej. Ta książka nie służy, poza nielicznymi fragmentami, lepszemu rozumieniu poezji Herberta. Nie taki też jest jej cel. Więcej – jest ona w zasadniczym konflikcie z istotą jego poezji, w której stłumienie biografii jako materii poetyckiej jest jednym z fundamentów poetyki.

To poezja świadomie wytłoczona i wydestylowana z faktów, przeżyć i doświadczeń autora, choć jest to jej surowiec podstawowy – obok biblioteki, galerii i muzeum. Jak lapidarnie i trafnie pisze Franaszek, „ginąc w niepewności, przeżywając napady lęku, wysnuwał Herbert z siebie wiersze krystaliczne”. Jego biograf robi zatem coś z perspektywy zamierzenia poety potwornego – przywraca wierszom Herberta ich grunt, czyli bezład i powszednią zwykłość życia, którym ta poezja przeczy swoją doskonałością, dystansem, wysokim tonem. Zerwane kwiaty na powrót przytwarzą do korzeni; wskrzesza „płacz kochanków / w małym brudnym hotelu / kiedy świtają tapety”. Poezja Herberta nikogo nie chce godzić z takim życiem; nie do tego służy.

Życie należy zdaniem Herberta opanować; uporać się z nim. Jemu pomagały alkohol, praca, przygodne romanse i – zwłaszcza – podróże. Skoro nie ma negocjacji między poezją i życiem, biograf ma jasno wyznaczoną pozycję mówienia jasno i prawdziwie o tym, co wie, zwłaszcza że nie napisał książki popularnej i łatwej w czytaniu. I dobrze, ale jeśli zaprzął nas do poważnej lektury, to „Tej garstce która nas słucha należy się piękno / ale także prawda / to znaczy – groza” (Herbert „Widokówka od Adama Zagajewskiego”).

Zgrozę poczułem co najmniej kilkakrotnie, ale chyba najbardziej przy opowieści o powstawaniu „Barbarzyńcy w ogrodzie” – książki dla mnie ważnej osobście i pokoleniowo, książki-marzenia, książki-obietnicy. Okazuje się, że kłamstwa Herberta nie dotyczą tylko przygód wojennych, rzekomego przyjęcia do Akademii Sztuk Pięknych, gdzie miał być trzeci na 1500 kandydatów, czy też bycia w pierwszej dekadzie przyjętych do szkoły aktorskiej. Do tej serii należy też twierdzenie, że unikając powołania do wojska, ukrywał się gdzieś w Polsce, podczas gdy zapisał się po prostu na Uniwersytecie Warszawskim, a komisja w Sopocie uznała go za niezdolnego do służby.

WACŁAW KAPUŚTO / FORUM

→ Dużo poważniejszy od tych bredni był dla mnie przytoczony przez Franaszka artykuł Doroty Bielawskiej, która wykazała, że esej o katedrach gotyckich z „Barbarzyńcy” jest w znacznej części przepisany z książki Jeana Gimpela: „Jak budowano w średniowieczu”. Zestawienie szeregu przepisanych zdań nie pozostawia wątpliwości – są splagiatowane. Wstrząśnięty, natychmiast zadałem to samo pytanie, co autor biografii: a „co z innymi esejami z tej tak przecież znakomitej książki?”. A co z „Labiryntem nad morzem”, „Martwą naturą z wędzidłem”, „Królem mrówek”?

A jeśli te inne wielbione przez nas eseje to wypisy nieuczciwego studenta, którego Andrzej Franaszek-nauczyciel akademicki wyrzuciłby ze studiów? Czyż biografista nie powinien tego sprawdzić, mając dostęp do tylu źródeł? A już na pewno nie trzeba było kończyć rozdziału o plagiacie wierszem, jak gdyby nic się nie stało, „cip, cip kurka”:

„Nic nie wiadomo. Może w końcu
i on zaśpiewa z aniołami”.

Polegli towarzysze

Życie obiektywne, powszechne, ogólnoludzkie zdawało się nie mieć dla Herberta znaczenia, liczyła się tylko pamięć, której zasadniczą treścią jest uwewnętrzniona ojczyzna. Z czasem stanie się sam w swoich oczach wykonawcą sprawiedliwości poetyckiej.

Słynna i wielokrotnie komentowana kłótnia Herberta z Czesławem Miłoszem u Carpenterów w 1968 r. o powstanie warszawskie jest emblematem tego problemu. Rację ma żona Herberta, że to była kłótnia dwóch pijaków i nie należy widzieć w niej przełomowego dla obu poetów wydarzenia, choć na trzeźwo podtrzymali swoje stanowiska i z uporem trwali we wzajemnej obrazie aż do ostatnich dni życia Herberta. Spór przenika całą ich poezję, dotyczy roli pamięci poetyckiej, czyli komu i czemu należy się wieczność za sprawą poezji.

Dla Herberta pamiętać oznacza mieć sumienie. Jest to więc instancja w pierwszym rzędzie etyczna. Dla Miłosza zaś ontologiczna: poeta pamięta służąc powszechnemu istnieniu, rzeczywistości, życiu za to tylko, że się wydarzyło lub jest, a nie dlatego, że nabrało szczególnej wartości za sprawą ofiarnej śmierci. Wierność umarłym wynika dla Herberta z ich wyższości nad żyjącymi. „Moi polegli Towarzysze – pisał do Józefa Czapskiego – śle-

Konstruował wspólnotę wartości, która stawała się coraz bardziej ekskluzywna, i w końcu w swoich oczach tylko on sam zasługiwał, aby być jej częścią, resztę stanowili zmarli.

dzą pilnie dukt mojego pióra. Nie jest to zatem wcale moja zasługa, a jeśli jakaś drobna jest, to wsłuchiwanie się w głosy zmarłych”.

Jest to spór „myśliwego” z „jagnięciem” i nie podzielam nadziei Andrzeja Franaszka, że „w spokojnej, bezpośredniej dyskusji mogliby obaj pisarze dojść do przynajmniej częściowego porozumienia”. Sam słusznie pisze, że dla Miłosza ojczyzna to „rodzinna okolica, ludzka gromada, dwór i wieś z ich litewsko-polską tożsamością, następnie zaś polski język (...), dla Herberta ojczyzna (...) to »okrwawiony węzeł«, jakiego nie może rozwiązać jednostka”.

Każdy, kto chce się odciąć choć na chwilę od więzów z tak rozumianą ojczyzną, był dla Herberta zdrajcą. Awantura z Miłoszem nie była wyjątkiem. Prokurator ton dosięgał Słonimskiego, Woroszyńskiego, Stommy, Michnika, Andrzejewskiego, a najmocniej Kołakowskiego.

Nie ufając wspólnocie politycznej, poszukiwał, a właściwie konstruował wspólnotę wartości, która z czasem stawała się coraz bardziej ekskluzywna i w końcu w swoich oczach tylko on sam – spośród żyjących – zasługiwał, aby być jej częścią, resztę stanowili zmarli. Obsesji sprzyjały choroba, unieruchomienie, ból, które rodzą gniew łatwo obracający się ku innemu. W ten sposób z własnego poczucia winy i kompleksu niezaangażowania uczynił trybunał surowych sądów. Ostatecznie skazani zostali wszyscy żyjący: „Prawda jest taka, że oni mnie zdradzili”.

Zwłoki Minotaura

Wielokrotnie chciałem odłożyć lekturę biografii z obawy, że przestanę czytać jego wspaniałe wiersze. Powinienem być może zrównoważyć poczynione tu uwagi o biografii Andrzeja Franaszka jasnymi scenami z życia Herberta. Takimi są na pewno sceny podróżowania: „Gdybyśmy

na mapie Europy zaznaczyli wszystkie miejsca, które odwiedził między wiosną 1975 a styczniem 1981 roku, zobaczylibyśmy mały punkt (czy może sylwetkę mężczyzny z walizką, a nieraz – tylko plecakiem) nieustannie przemieszczający się między Polską, Austrią, Niemcami, Francją, Włochami, Jugosławią i Grecją”.

Herbert trwoniał nagrody i nieźle honoraria, więc podróżował koleją, autobusami, okazją lub pieszo. Jakby bał się zastrzymać, przeczuwając, że już więcej nie ruszy. Obłożnie chory, dwa miesiące przed śmiercią, sprawdził połączenia lotnicze na 26 maja 1998 r. do Wenecji, aby udać się tam z opiekującą się nim pielęgniarką.

Tak, Herbert-podróżnik daje się lubić. Mimo to pozostaje przy przerażającym obrazie Herberta i ostatniej ważnej dla mnie zagadki powstałej podczas lektury książki Franaszka. Dlaczego, kłamiąc i konfabulując, gromadził z taką starannością wszelkie ślady swojego realnego życia? Dlaczego pozostawił po sobie taką masę dowodów na własne istnienie niepoetyckie, z którego starannie oczyścił swoje wiersze? Nie wiem tego, ale zaryzykuję dwie odpowiedzi.

Pierwsza mówi, że nie ma w tym sprzeczności, lecz ostatnia prowokacja i pułapka Herberta na tych, co chcą się przybrać w piękną frazę Pana Cogito. Jeśli tak, niech razem z nią biorą w pakiecie kawałek życia Pana Herberta. Pomógł mu w skonstruowaniu tej pułapki Andrzej Franaszek.

Druga odwraca cel pułapki. Teraz uruchamia i łapie nasze współczucie, mimo obnażenia prawdy o życiu poety, która wywołuje rozczarowanie, a może nawet pogardę.

Miłość Herberta do mitologii greckiej biegła, jak to u niego, pod prąd typowej lektury. Od bohaterów wolał potwory. Współczuł Minotaurowi, Chimerze, Cyklopowi, Sylenowi, stopniowo tracąc sympatię do Tezeusza czy Heraklesa. Sam był potworem, zwłaszcza pod koniec życia groźnym i niszczącym; może najwspanialszym potworem polskiej poezji. Zręczny A.F. Tezeusz pokonał go dla nas i jego papierowe ciało leży teraz rozpostarte na dwu tysiącach stron w ciągle wstrząsającej, ale już niegroźnej potwórności. I o dziwo nie triumfujemy. Jest nam smutno.

© RYSZARD KOZIOŁEK

Andrzej Franaszek, **HERBERT. BIOGRAFIA**, Znak, Kraków 2018.



Pan z trąbką

KAJETAN PROCHYRA

W Nowym Jorku odnalazł spełnioną utopię człowieczeństwa. Tam każdy jest skądś, każdy jest inny. Klimat miasta zachęca, by demonstrować własną odrębność.

PO SKOŃCZONYM WYWIADZIE WYSZEDŁEM z mieszkania Pana Tomasza w kamienicy przy Rozbrat, na warszawskim Powiślu. Drzwi się za mną zamknęły. W ciemnym, długim korytarzu pakowałem jeszcze do torby dyktafon i kable. Usłyszałem wtedy, jak Pan Tomasz ćwiczy. Usiadłem na drewnianych schodach i słuchałem. Nie grał gam czy pasaży, tylko, jak zawsze, swoją muzykę. Piękny muzyczny monolog, pod słuchany przez drzwi. To było kilka lat temu.

Tomasz Stańko, najwybitniejszy polski muzyk jazzowy, zmarł w warszawskim

Centrum Onkologii niespełna trzy tygodnie po 76. urodzinach.

IP

Nie przepadał za terminem „polski jazz”. Muzyka była dla niego czymś zbyt cennym, by przypisywać jej tę czy inną narodowość. Jazz był jak okulary, przez które spoglądał na świat.

– Jazz to jest muzyka, która od samego początku była światowa – mówił na łamach „Tygodnika Powszechnego” w listopadzie zeszłego roku. – Stworzyli ją czarnoskórzy Amerykanie z wielu cegiełek:

muzyki religijnej i świeckiej, łącząc melodykę Ameryki z rytmami Afryki. Od początku miała w sobie potencjał objęcia różnych muzyk z całego świata. Od początku miała zasięg kuli.

Stańko lubił tę metaforę. Kula była dla niego także symbolem wiecznego powrotu, przeplatania się naszych dziejów: progresu i regresu, hossy i bessy, radości i smutku. Poczucie to pozwalało mu interesować się polityką i zachować do niej bezpieczny dystans. Pociągała go genetyka, historia, filozofia, fantastyka. Nie ukrywał przy tym, że kulturę konsumuje na wrywki: rzadko dociera do końca książki, ale często, jak w jazzie, wraca do ulubionych fragmentów, motywów, tematów.

Mówił o sobie, że jest IP – Istnienie Poszczególne. Nie z zachwyty nad własną wspaniałością, ale z fascynacji człowiekiem jako takim: istotą, która sama może dokonywać życiowych wyborów i dążyć do realizacji jak najlepszej formy siebie. Interesowała go antropologia. – Jesteśmy kromanińczykami – mówił, podkreślając nasze pokrewieństwo ➔

→ z żyjącym 45 tys. lat temu człowiekiem rozumnym, którego szczątki odnaleziono w schronisku skalnym Abri de Cro-Magnon we Francji. Globalizacja, możliwość błyskawicznej komunikacji między jednym krańcem świata a drugim, była dla niego swoistym powrotem do Pangei, kiedy setki milionów lat temu dzisiejsze kontynenty były zrośnięte w całość.

Mieszkał sam, z własnej woli. Lubił filozoficzną koncepcję monad, w których każdy człowiek jest odrębnym bytem.

– Jestem inny, hipsterka jest inna – mówił. – I coraz więcej będzie takich jak ja, nie rozumiem, dlaczego to ma być takie złe, że siedzimy w domu, nie ruszamy się, a między nami jest tylko mózg. Dlaczego to ma być koszmara? – pytał, pod wrażeniem lektury Michela Houellebecqa, a może i słynnego eksperymentu myślowego Hilary'ego Putnama, w którym człowiek jest jedynie sztucznie podtrzymywanym przy życiu mózgiem w naczyniu, który wymyśla sobie całą rzeczywistość.

– Ja często, gdy siedzę i komponuję, to mam stany euforyczne. Samo bycie, sam fakt, że mam świadomość, daje mi euforię – opowiadał.

NYC

Przywiązywał wagę do swojego wizerunku. Lubił oryginalne stroje, kolorowe okulary, modne kapelusze. Choć często gościł w mediach, „bywanie” nie było częścią jego osobowości. „Celebrytstwo” było dla niego narzędziem pozyskiwania środków na realizację kolejnych projektów i zapewnienie swobodnego życia między Warszawą a Nowym Jorkiem.

To właśnie w Nowym Jorku odnalazł swoją spełnioną utopię człowieczeństwa. Tam każdy jest skądś, każdy jest inny. Klimat miasta zachęca, by demonstrować własną odrębność. A jednocześnie wszystkich tych odmienców łączy to, że są New Yorkers – nowojorkczykami. Lubił tam wracać, zarówno w sensie zupełnie dosłownym – od kilku lat miał mieszkanie na Manhattanie – jak i muzycznie, budując kolejne zespoły z muzyków tamtejszej sceny czy tylko szukając tytułów do kolejnych kompozycji.

– Wie pan – mówił Stańko – tam mieszkają sami geniusze. Fakt, że ktoś dał radę przeżyć, zamieszkać, utrzymać się na tej scenie. To jest makabrycznie trudne. Tam nie liczy się człowiek, który nie ma swojego języka. Jak pan wejdzie do jakiegokolwiek klubu, to wszędzie grają rewelacyj-

Transu i rajcu było dużo.

Ale uniesieniom muzycznym towarzyszyły też używki, o których wiele i otwarcie opowiadał. W latach 90. nastąpiła przemiana: po kolei wychodził z każdego nałogu.

nie. To nie jest taka sztuka – być dobrym muzykiem. Talent każdy ma. Zawsze w szkole jest paru najlepszych uczniów. A ile tych klas jest? Dzisiaj jest świat! Tylko ci są najlepsi, którzy mają swój własny język. Tylko tacy zostaną – nawet na krótko – którzy mają coś własnego do powiedzenia.

Miłość do Nowego Jorku, nieskrywana fascynacja, zdominowana przez amerykańskie trendy i popkulturę, nie przeszkadzała Stańce w byciu patriotą. Podobnie jak Andrzej Wajda, Stańko zawsze podkreślał, że jego muzyczny język wziął się z polskiej nostalgii, światła, krajobrazu, kultury: – David [Virelles, pianista nowojorskiego kwartetu Stańki – red.] na pierwszej próbie powiedział mi, że on nie zna takiej muzyki. To był dla mnie duży komplement, że mam całkowicie swoją, spójną muzykę, odmienną w jakiś sposób od tego, co się dzieje w jazzie. Ona jest z naszego terytorium, ona jest stąd.

Koncertując po całym świecie, promował twórczość innych polskich artystów, z których dorobku czerpał inspirację: Witkacego (album „Peyotl”), Jerzego Kawalerowicza („Matka Joanna”), Wisławy Szymborskiej („Wisława”) czy przede wszystkim Krzysztofa Komedy. Muzyka Stańki towarzyszyła też otwarciu dwóch ważnych muzeów historycznych: Muzeum Powstania Warszawskiego, dla którego przygotował album „Wolność w sierpniu”, i Muzeum Historii Żydów Polskich Polin, dla którego skomponował i wykonał suitę „Polin”.

Pan

Tomasz Stańko wychował się w Krakowie, w mieszczańskiej rodzinie. Może dlatego, choć lubił siarczyste zaklęcia, o starszych od niego osobach, które da-

rzył szacunkiem, zawsze mówił stosując formę grzecznościową „pani Szymborska”, „pan Kawalerowicz”. Jego ojciec, krakowski prawnik Józef Stańko, grał na skrzypcach. Także syn miał iść w jego ślady, ale ani smyczek, ani klawiatura fortepianu nie budziły w nim takich emocji jak jazz. W latach 50., podobnie jak wielu jego rówieśników, słuchał Głosu Ameryki i audycji Willisa Conovera. Pierwszą trąbką w jego rękach była przydzielona mu na obozie harcerskim sygnałówka. Po wakacjach przydzielił się już sam do klasy trąbki w szkole muzycznej II stopnia.

Moda na jazz, a także związana z nim atmosfera i obyczajowość, pomogła młodemu Stańce przełamywać nieśmiałość. Wkrótce założył własny zespół, w którym dostrzegł go najpierw Michał Urbaniak, a potem Krzysztof Komeda. W październikową noc 1965 r., gdy wybrzmia ostatnie brawa na festiwalu Jazz Jamboree, 22-letni Tomasz Stańko, razem z Komeda, Zbigniewem Namysłowskim (który na nagranie wpada w ostatniej chwili, w zastępstwie Urbaniaka) oraz zagraniczną sekcją rytmiczną: szwedzkim perkusistą Rune Carlssonem i pochodzącym z Niemiec kontrabasistą Günterem Lenzem, nagrywają album, który chyba już zawsze wygrywać będzie rankingi na najważniejszą polską płytę jazzową: „Astigmatic”.

„Pamiętam jej [sesji nagraniowej] atmosferę. Tę dużą, opustoszałą salę [Filharmonii Narodowej, gdzie odbywały się wtedy koncerty Jazz Jamboree]. Pamiętam spokój płynący z tej sesji. Uśmiechniętego Güntera Lenza – wspominał po latach Stańko w „Desperado”, rozmowie rzece z Rafałem Księżykiem. – Kiedy w »Svantenticu«, a szczególnie w »Astigmatic« rozpoznawałem logikę kompozycji, dawała mi niezwykle rajc. Mogłem wpadać w trans wykonawczy, mistyczny”.

Transu i rajcu było w kolejnych latach coraz więcej, i to już na własny rachunek Stańki jako lidera. Jak pisał o nim niemiecki krytyk Joachim Ernst Berendt, Stańko był pierwszym w Europie trębaczem grającym free, czyli muzykę w całości improwizowaną.

Występował z najlepszymi: z awangardową orkiestrą Alexandra von Schlippenbacha Globe Unity, z amerykańskim trębaczem Donem Cherrym czy fińskim perkusistą Edwardem Vesalą. Razem z tym ostatnim wyruszył w podróż do Indii.

We wnętrzach Tadż Mahal i jaskini Karla nagrał kultową dziś płytę solo. Krążek ten, obok nagranych w tym okresie „Music for K.”, „Balladyny”, „Purple Sun” czy „TWET”, do dziś cieszy się szacunkiem kolejnych generacji awangardzystów. Uniesieniom muzycznym tego okresu towarzyszyły też używki, o czym trębacz opowiadał później otwarcie wiele razy. W latach 90. nastąpiła przemiana. Po kolei wychodził z każdego z nałogów.

Po ćwierćwieczu ponownie zaczął nagrywać dla wydawnictwa ECM. „Leosia” – zadedykowana zmarłej matce artysty, „Litania” z muzyką Komedy czy „From the Green Hill” – nagrana w nietypowym składzie, gdzie jazzowy kwartet z trąbką i saksofonem wzbogaca brzmienie argentyńskiego bandoneonu i skrzypiec – to dziś klasyczne pozycje z kanonu europejskiego jazzu. Nie dziwi więc, że to Stańko został w 2002 r. pierwszym artystą wyróżnionym Europejską Nagrodą Jazzową.

PL

Tak jak Miles Davis lubił pracować z młodymi muzykami. W roku 1994 potrzebował zespołu, z którym stworzy muzykę do spektaklu teatralnego „Roberto Zucco” i kilku filmów, nad którymi pracował. Do współpracy zaprosił nastoletnich wówczas adeptów jazzowej sztuki: perkusistę Michała Miśkiewicza, pianistę Marcina Wasilewskiego i kontrabasistę Sławomira Kurkiewicza. Docierali się ładnym parę lat. W 2002 r. ukazała się pierwsza oficjalna płyta kwartetu „Soul of Things”. Krążek oraz jego rozwinięcia: „Suspended Night” i „Lontano” przyniosły ogromną popularność tak trębaczowi, jak i jego podopiecznym. Dziś ci sami muzycy jako Marcin Wasilewski Trio z powodzeniem realizują międzynarodową karierę. Wkrótce ukaze się ich piąty album dla wytwórni ECM.

U Stańki terminowali właściwie wszyscy muzycy młodego pokolenia, którzy dziś kształtują polską scenę jazzową: Maciej Obara, Dominik Wania, członkowie tria RGG. Choć jego muzyczny świat był dość jasno określony, trębacz lubił zaciągnąć się energią młodych twórców spoza najbliższego mu muzycznego kręgu. Współpracował z producentem muzycznym Andrzejem Smolikiem, z DJ-em Maceo Wyro, z MC Seanem Palmerem. Z przyjemnością dzielił scenę z pianistą i filarem warszawskiej sceny niezależnej

Stańko był fenomenem.

Właściwie żaden z jego kolegów z czasów awangardowego przełamывania muzycznych granic nie zyskał we własnej ojczyźnie tak wielkiej popularności.

Marcinem Maseckim. Nawet jeśli jego osobistym gustom bliski był jazz z przeszłości i muzyka poważna, zawsze interesowała go muzyczna przyszłość.

Pozycja Stańki na rynku muzycznym jest swoistym fenomenem. Właściwie żaden z jego kolegów z czasów awangardowego przełamывania muzycznych granic nie zyskał we własnej ojczyźnie tak wielkiej popularności. Jego nazwisko na plakacie gwarantowało zainteresowanie zarówno publiczności, jak i mediów. Kolejne albumy pokrywały się złotem i platyną. Od 15 lat Tomasz Stańko prowadził także własny festiwal – Jazzową Jesień w Białymostku. Za sprawą swoich kontaktów oraz działalności managerskiej jego córki Anny na scenie Bielskiego Centrum Kultury występują największe jazzowe gwiazdy. Co roku Stańko przygotowywał dla festiwalowej publiczności nowy projekt specjalny. W tym roku festiwal także się odbędzie. Będzie to wyjątkowa okazja, by uczcić pamięć tego wielkiego jazzmana.

Kwiecień

Stańko mówił, że to nawet dobrze, iż późno dowiedział się o swojej chorobie. Dzięki temu zamiast chodzić po lekarzach i poddawać się kolejnym zabiegom, mógł w spokoju nagrywać płyty i grać koncerty. W marcu tego roku grał w Warszawie. Czuł się źle. Myślał, że to grypa. Po świętach Wielkiej Nocy poddał się dłuższej diagnozie. Rak płuc rozwijał się już od dłuższego czasu. W kwietniu miał grać dużą trasę ze swym nowojorskim kwartetem. Zaanonsowany był też nowy projekt, w którym do nowojorskiej sekcji rytmicznej kwartetu Stańki (kontrabasista Reubena Rogersa i perkusi-

sisty Geralda Cleavera) dołączyć mieli Włosi: puzonista Giovanni Guidi i drugi, obok Stańki, trębacz – gwiazda włoskiego jazzu, Enrico Rava.

Ostatni album artysty „December Avenue” ukazał się w zeszłym roku. Wbrew przypuszczeniom niektórych, w studiach ECM nie czeka kolejna porcja muzyki Pana Tomasza. Pozostały zapisy koncertów, z archiwum artysty, które może w przyszłości otworzy przed nami podwoje.

29 lipca

Tomasz Stańko zmarł nad ranem w warszawskim Centrum Onkologii. Tego samego dnia, wieczorem, spod Pałacu pod Baranami w jazzowej procesji na Rynek wyszli krakowscy jazzmani. Na saksofonach i puzonach, na akordeonie i z kontrabasem zagrali „Sleep Safe and Warm”, czyli kołysankę, którą Krzysztof Komeda napisał do filmu „Dziecko Rosemary” Romana Polańskiego. Stańko nagrał ją na płycie „Litania” i wykonywał wiele razy na koncertach.

Wkrótce kondolencje zaczęły płynąć z całego jazzowego świata. Dave Holland, który w swojej dyskografii ma m.in. album „Bitches Brew” Milesa Davisa, napisał na Twitterze: „Był wyjątkowym muzykiem, pełnym głębokich uczuć i z delikatną duszą”. To właśnie kontrabas Holanda otwiera album Stańki „Balladyna” z 1976 r. – pierwszy nagrany przez Polaka dla ECM. Stańkę żegnali też młodszy koleś. Jeden z najbardziej cenionych trębaczy młodego pokolenia, Amerykanin Ambrose Akinmusire, napisał: „dziękuję za miłość, inspirację i dodawanie otuchy przez lata”. Nate Chinen przyznał, że to właśnie Stańko był najbardziej hip-gościem ze wszystkich muzyków, jakich poznał – a jako jazzowy krytyk „The New York Times”, potem „NPR Music”, poznał wszystkich.

– Tata wierzył, że po śmierci rozpadnie się na atomy – mówi Anna Stańko. – Wielokrotnie dyskutowałam z nim na różne tematy i często to ja miałam rację. Mam nadzieję, że tak będzie i teraz, i że się spotkamy, a to tylko etap wielkiej podróży.

© KAJETAN PROCHYRA

Tomasz Stańko zostanie pochowany 10 sierpnia w alei zasłużonych na wojskowych Powązkach w Warszawie. Uroczystość rozpocznie się o godzinie 11.00.



Jason Spencer udaje chińską turystkę



Wojny trolli

JAKUB MAJMUREK

Humor Barona Cohena, polegający na używaniu kłamstwa i manipulacji dla uzyskania prawdy od publicznych postaci, stał się dwuznaczny, gdy sferę publiczną zdominowała postprawda i fake newsy.

W AMERYCE DONALDA TRUMPA TRUDNO ostatnio o inny skandal polityczny niż te, jakie z godną lepszej sprawy regularnością wywołuje prezydent i jego otoczenie. Poprzeczkę zawieszoną wysoko przez prezydenckiego Twittera stara się przeskoczyć brytyjski komik, Sacha Baron Cohen, znany ze słynnego ongiś – również w Polsce – filmu „Borat. Podpatrzone w Ameryce, aby Kazachstan rósł w siłę, a ludzie żyli dostatniej” (2006).

Zanim pierwszy odcinek jego nowego programu „Who Is America” (w Polsce dostępny na HBO Go) został w ogóle wyemitowany, oburzeni konserwatywni politycy i aktywiści już uznali go za atak na amerykańskie, chrześcijańskie i konserwatywne wartości, „polityczne oszustwo”. Niektórzy – np. były sędzia Sądu Najwyższego Alabamy i kandydat na senatora Roy Moore – zapowiadają pozwy przeciw komikowi. Inni, jak dawna gubernator

Alaski i kandydatka na wiceprezydentkę w 2008 r. Sarah Palin, nawołują do bojkotu stojących za *show* stacji Showtime i CBS.

Zabawy z bronią

W pierwszym odcinku „Who Is America” komik skłonił grupę byłych i obecnych republikańskich kongresmenów (wśród nich długoletniego lidera Republikanów w Senacie, Trenta Lotta) do poparcia programu dostępu do broni palnej i szkoleń w posługiwaniu się nią dla... uczniów i przedszkolaków – co ma rzekomo zapobiec kolejnym strzelaninom w szkołach.

„Nie można wykluczyć, że uzbrojenie uczniów i nauczanie ich podstaw samoobrony sprawi, że wszyscy będziemy bezpieczniejsi” – mówi prosto do kamery deputowany Izby Reprezentantów z Orange County w Kalifornii, Dana Rohrabacher. Polityk w listopadzie będzie walczył o reelekcję w swoim okręgu. Jego konku-

rent, Demokrat Harley Rouda, już wydał oświadczenie, w którym atakuje go za pomysł „rozwiązania problemu epidemii strzelanin w szkołach przez uzbrojenie dzieci”. Udział w programie satyrycznym może Republikanina kosztować wybory.

W drugim odcinku w nie mniej wątpliwe rejony zapuścił się wiceprezydent z czasów Busha juniora, Dick Cheney. Najpierw dał się wciągnąć w dyskusję na temat tego, „jaką wywołaną przez siebie wojnę lubi najbardziej”, następnie śmiał się z głęboko niestosownych żartów o przemocy domowej, a na końcu złożył autograf na „zestawie do waterboardingu” – stosowanej przez amerykańskie wojsko w czasie „wojny z terrorem” tortury polegającej na podtapianiu podejrzanych.

Dlaczego doświadczeni politycy dali się tak wypuścić? W przypadku pomysłu z uzbrojeniem przedszkolaków wynikało to z pewnością z wpływów lobby producentów i posiadaczy broni w amerykańskiej polityce. Zwłaszcza Republikanie muszą dbać o dobre relacje z takimi organizacjami jak National Rifle Association, które przez swoje pieniądze i sprawną maszynę lobbingową mają po prawej stronie status prawdziwej potęgi. Gdy prawicowy polityk w Stanach spotyka się z jakąkolwiek inicjatywą promującą dostęp obywateli do broni, można się spodziewać, że raczej będzie ją skłonny poprzeć niż potępić.

Warto też pamiętać, że w reakcji na ostatnią falę strzelanin w szkołach NRA zaproponował uzbrojenie nauczycieli.



Dick Cheney i „zestaw do waterboardingu”



Baron Cohen jako zwolennik Trumpa z Południa, doktor Billy Wayne Ruddick

Prawica republikańska nie uznała tego pomysłu za absurdalny, ale przynajmniej za wart dyskusji. Od nauczycieli pod bronią nie jest już szczególnie trudno pokonać myślowy dystans do idei, że sensowne byłoby uzbrojenie jeśli nawet nie przed-szkolaków, to przynajmniej licealistów.

Pod maską

We wkręceniu konserwatywnych działaczy pomogła także metoda Barona Cohena. Jest on komikiem wcieleniowym, w swoich programach tworzy dla siebie różne komiczne *alter ego* – ciężko ucharakteryzowane postaci, z których każda ma własną biografię, styl, język, a nawet akcent. Nigdy też nie wychodzi z roli – nieznający dorobku komika goście mogą nie mieć pojęcia, z kim naprawdę rozmawiają.

W „Who Is America” Baron Cohen stworzył dla siebie kilka takich wcieleń. Dla niektórych z nich utworzył ich własne strony internetowe i konta na Twitterze – co jeszcze bardziej ułatwia nabranie potencjalnych rozmówców, szukających w sieci informacji o osobie, z którą mają nagrać materiał. W pierwszym odcinku *show* poznaliśmy cztery nowe wcielenia komika. Jest wśród nich prowadzący pełną szalonych teorii spiskowych stronę truthbrary.org zwolennik Trumpa z Południa, doktor Billy Wayne Ruddick. Jego przeciwnictwem jest doktor Nira Cain-N’Degeocello, karykaturalny liberał, nieustannie przepraszający za swój „biały, męski, cis-genderowy przywilej”. Najbar-

dziej efektywne okazało się jednak trzecie wcielenie: odwiedzający Stany izraelski ekspert od terroryzmu, pułkownik Erran Morad – to właśnie jemu dali się wkręcić Rohrabacher i Cheney.

W dalszych odcinkach Baron Cohen będzie rozwijał te postacie i wprowadzał kolejne. Czas pokaże, które z nich zyskają tak ikoniczny status, jak wcześniejsze kreacje komika – Ali G czy Borat. To właśnie od tej pierwszej figury zaczęła się kariera Barona Cohena w brytyjskiej telewizji pod koniec lat 90. Ali G był „etnicznie niejednoznaczny” młodym mężczyzną ubranym w sposób podpatrzony w jakimś hip-hopowym teledysku. Mówił właściwym tylko sobie pidżynem i na każdym kroku podkreślał własną przynależność do „czarnej”, a przynajmniej „ulicznej” kultury.

Jako Ali G prowadził wywiady z przedstawicielami brytyjskiego i amerykańskiego establishmentu: politykami, akademikami, funkcjonariuszami instytucji publicznych. Zadawał głupie pytania, nadinterpretował odpowiedzi, wygłaszał poglądy, które dla jego nieświadomych, w czym uczestniczą, gości wydawać się musiały absurdalne i oburzające.

Polityka dwuznaczności

Postać Alego G budziła kontrowersje nie tylko u Wolf. Fakt, że biały Baron Cohen wciela się w mało rozgarniętego, raczej nie białego fana „czarnej kultury”, nie podobał się wielu czarnoskórym komikom. Jeden z nich, Felix Dexter, stwierdził, że

Ali G pozwala białej, liberalnej klasie średniej wyśmiewać się z ulicznej kultury, pozwalając przy tym zachować pozory politycznej poprawności.

Inni zwracali uwagę na problem z klasowym wymiarem postaci Alego G – Baron Cohen, absolwent Cambridge i prywatnej szkoły średniej, kpi sobie z przedstawicieli klas niższych, którzy nigdy nie otrzymali takich szans jak on.

Baron Cohen zawsze zaprzeczał, że chodzi mu o nabijanie się z postaci, w które się wciela. Podkreślał, że problemy wykluczenia, stereotypów rasowych i uprzedzeń są dla niego ważne – dorastał w żydowskiej rodzinie, jako student historii w Cambridge pracę dyplomową pisał o amerykańskim ruchu praw obywatelskich. I choć faktycznie postaciom takim jak Ali G czy Borat towarzyszyła zawsze pewna bardzo politycznie niepoprawna dwuznaczność, to widać, że służyła przede wszystkim do wyzwolenia określonych reakcji w gościach i widzach. To w kierunku tych dwóch grup kieruje się złośliwość komika.

Wywiady Alego G wyglądają dziś jak satyra na płytkie życie polityczne lat 90., pełne teflonowych postaci, ogarniętych obsesją na punkcie celebryckiej popkultury. Najbardziej kuriozalnie wypadają te figury, które nie chcą wyjść na niedzisiejszych sztywniaków, próbując odgrywać luz i dystans do siebie. Ze starcia z Alim doskonale za to wychodzą politycy, nawet jeśli trochę sztywni, to pryncypialni i wierzący ➔

→ w to, co mówią – jak dawny lider lewego skrzydła Partii Pracy Tony Benn czy wytworny torys Jacob Rees-Mogg.

Także kazachski dziennikarz Borat Sagdiyev – drugie najsłynniejsze wcielenie Barona Cohena – to nie tyle kpina z poradzieckiej Europy Wschodniej, co ze stereo-typów, przez pryzmat których Zachód postrzega poradzieckie Bordurie [fikcyjne państwa – red.]. W pełnometrażowym filmie o Boracie „wschodni dzikus” wyrusza w podróż przez Amerykę Busha juniora. Zetknięcie z przybyłym z daleka często wyzwała w Amerykanach to, co najgorsze: przyłączają się do intonowanych przez niego antysemitkich pieśni, wznoszą rasistowskie okrzyki itd.

Czy humor przebijie bańkę?

„Who Is America” zabiera widzów w podobną podróż po Ameryce Trumpa. Po ponad dekadzie, która minęła od premiery filmowego Borata, zmieniły się jednak warunki, w jakich odbierana jest komedia brytyjskiego artysty. Scena publiczna i media są o wiele bardziej spolaryzowane, funkcjonują na zasadzie nieprzenikających się bańek. Prowokacja i trolling spowszechniały. Humor Barona Cohena, polegający na używaniu kłamstwa i manipulacji dla uzyskania prawdy od publicznych postaci, wydaje się nam o wiele bardziej dwuznaczny w czasach, gdy cała sfera publiczna mówi o zagrożeniu, jakie dla demokracji przynoszą postprawda i fake newsy.

Programowi nie uda się wyjść poza swoją liberalną bańkę i przekonać osoby z zewnątrz. Choć bez wątpienia niektórzy politycy pożąłują spotkania z komikiem. Przekonał się już o tym deputowany do stanowego parlamentu Georgii, Jason Spencer. W drugim odcinku *show* Baron Cohen – jako pułkownik Morad – przekonał Spencera do udziału

w prowadzonym przez siebie „szkoleniu antyterrorystycznym”. To, co następuje dalej, jest jednym z najbardziej żenujących występów telewizyjnych polityka w historii. Spencer – konserwatyista, autor ustawy zakazującej noszenia burki w przestrzeni publicznej na terenie swojego stanu – daje się prowadzić Moradowi jak dziecko. Na jego polecenie udaje chińską turystkę, odgrywając rasistowski stereotyp, wykrzykuje wymierzone w czarnych obelgi, wreszcie demonstruje pośladowki w stronę kamery. „Muzułmańscy terroryści boją się spe-dalenia, dlatego najłatwiej pokonać ich, dotykając pośladowkami” – tłumaczy politykowi Morad, a Spencer wydaje się w to wierzyć.

Oglądając skecz ze Spencerem trudno zaakceptować, że ktoś, kto ma jakąkolwiek polityczną karierę, może być tak zwyczajnie głupi. Także macierzysta partia polityka uznała, iż jest on wyłącznie obciążeniem – pod naciskiem kolegów deputowany ma złożyć mandat. Z drugiej strony: czy ten polityczny skalp warty był aż takiego upokorzenia Spencera w oglądanym przez cały świat programie?

Za sprawą „Who Is America” strona liberalno-lewicowa odzyskuje na chwilę w Stanach symboliczną inicjatywę na polu kontr- i popkulturowych wojen. Wraz ze zwycięstwem Trumpa wydawało się, że to populistyczna prawica, z jej skrytym za kolejnymi piętrami ironii, wymierzonym w polityczną poprawność trollingiem i prowokacjami, lepiej radzi sobie w kulturowym otoczeniu dojrzałego postmodernizmu. To okołotrupowska atmosfera sprawiała wrażenie świeższej, bardziej odważnej i pozbawionej szacunku dla tabu. Na jej tle popkultura liberałów przybierała odcień kapłańskiej nudy. Autentycznie oburzający prawicę Baron Cohen trochę zmienia tę dynamikę.

Można jednak mieć wątpliwości co do tego, czy populistyczną prawicę w typie Trumpa w ogóle da się na dłuższą metę sprowokować, obśmiać i strollować w przestrzeni komedii. Choć Trump jest obiektem ośmieszających ataków od początku prezydentury, tylko wzmacniają one jego popularność. Nie sądzę, by Baron Cohen to zmienił, nawet wkręcając prezydenta w najbardziej żenującą rzecz na wizji.

© JAKUB MAJMUREK

Rycerz z kamerą

ANITA PIOTROWSKA

„Człowiek, który zabił Don Kichota” jest żywym dowodem na to, że marzenia są piękniejsze od rzeczywistości, a walka z wiatrakami bywa bardziej ekscytująca niż ich ostateczne rozbrojenie.

MÓJ FILM TAK NAPRAWDĘ NIE JEST „skończony” – tymi słowami Terry Gilliam przekomarzał się z publicznością wrocławskiego festiwalu Nowe Horyzonty, prezentując obraz, nad którym męczył się przez ostatnie ćwierć wieku. Złośliwi mówią, że byłoby lepiej, gdyby ten najbardziej pechowy ze wszystkich tytułów w historii kina rzeczywiście pozostał na etapie legendy, utrwalonej w dokumencie „Zagubiony w La Manchy”. Bo najgorzej sprawdzają się na ekranie projekty przenoszone.

Kto zdążył zadowolić się w nieznanym żadnych granic świecie „Brazil”, „Fisher Kinga” czy „Przygód barona Munchausena”, znajdzie tu jego naturalne przedłużenie, choć kumulacja pomysłów przyprawia chwilami o zawrót głowy. I to właśnie w tym natłoku, częściowo kontrolowanym chaosie i programowej naiwności poszukuje Gilliam swojej artystycznej metody. Kino jest dla niego podwójnie rozumianą donkiszoterią: w końcu nic nie jest w nim do końca prawdziwe, a żeby przekonać do swojej rozbuchanej wizji innych ludzi (producenta, ekipę, widza), trzeba mieć w sobie coś z bezkompromisowego wariata – nawiedzonego i uwodzącego jednocześnie. Głównym bohaterem filmu uczynił jednak artystę, który zamiast wyboistych dróg wybrał ubitą ścieżkę Sancho Pansy. Grany przez Adama Drivera młody reżyser uosabia to wszystko, czym sam Gilliam zapewne nigdy nie chciałby zostać.

Filmowy Toby Grisoni produkuje reklamę rosyjskiej wódki w spalonej słoń-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze „Ty-

godnika”.

Stuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
| Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1
FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0
FM | Zakopane – 100,0 FM | Andrychów
– 98,8 FM | Gorlice – 97,4 FM

www.radiokrakow.pl



DIEGO LOPEZ CALVIN / TORNASOL FILMS

Jonathan Pryce jako Don Kichot w filmie „Człowiek, który zabił Don Kichota”

cem La Manchy. Dziesięć lat wcześniej w tym samym miejscu kręcił swój czarno-biały film dyplomowy opowiadający o przygodach Don Kichota. Niewiele pozostało w Tobym z dawnych aspiracji i również życie mieszkańców miasteczka, którzy wzięli udział w produkcji, nieodwracalnie się zmieniło. Stary szewc Javier (Jonathan Pryce), grający ongiś Błędny Rycerz, do tego stopnia utożsamiał się ze swym bohaterem, że zwarfował na prawdę, śliczna i niewinna córka karczmarza tak bardzo zaś zasmakowała w aktorstwie, że uciekla do Madrytu, gdzie zeszła na złą drogę. Ponowne spotkanie z odtwórcą głównej roli, dziś robiącym za turystyczną atrakcję, przypomina niegdyśiejszemu idealście o bałamutnej naturze kina, a zarazem uruchamia ciąg niesamowitych zdarzeń.

Raz jeszcze odpala Gilliam swój wehikuł czasu, by tym razem zabrać nas w podróż do epoki Cervantesa. Rzędy nowoczesnych turbin wiatrowych na powrót zamieniają się w malownicze wiatraki, warowne zamki powstają z ruin, lecz XVII-wieczna sceneria okazuje się surrealistycznym dopełnieniem naszej epoki, z całym jej szaleństwem i grą pozorów. Znajdziemy tu i cudownie zmartwychwstałą hiszpańską inkwizycję, i przybyszów z krajów islamskich, wokół których unosi się jak najbardziej współczesna aura terroryzmu. Reżyser Toby wchodzi więc w buty wiernego giermka i podąża za swym rycerzem na wojnę z największymi potworami tego świata – cynicznymi producentami i prymitywnymi oligarchami,

z nietolerancją i pogardą dla kobiet. Gilliamowe ucieczki z rzeczywistości mają bowiem zawsze posmak romantycznego buntu czy antysystemowej krytyki, jakkolwiek na poziomie czysto filmowym mogą przytłaczać nadmiarem efektów, niczym rozciągnięty w czasie pokaz fajerwerków.

Dlatego „Człowiek, który zabił...” sprawia wrażenie kolosa na dwóch nierównych nogach: ta należąca do Błędnego Rycerza napędza w nieskończoność maszynę gagów, fantasmagorii i samozaprzeczeń, ta wyrastająca z Sancho Pansy uparczywie trzyma się swojego, dawno rozpoznanego gruntu. Stąd, niczym w wierszu o Panu Cogito, nieodparte wrażenie, że Gilliam w swojej wędrówce przez imaginarium Don Kichota „zatacza się lekko”. Reżyser o bardzo wesołym obliczu, niegdyśiejszy członek grupy Monty Pythona, która zanarchizowała ekranową komedię, w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat podsumowuje swoją filmową drogę prostym przesłaniem: marzyciele wszystkich krajów, łączcie się, nie jesteście sami we wszechświecie. Czy ma ono więcej z naiwnego wyznania, czy może jednak z uparczywie powtarzanego dogmatu usprawiedliwiającego niedoskonały efekt wieloletnich zmagania o film? W dużym stopniu zależy to od „wytrzymałości zmęczenia” naszej wyobraźni. ©

CZŁOWIEK, KTÓRY ZABIŁ DON KICHOTA
(*The Man Who Killed Don Quixote*) – reż. Terry Gilliam. Prod. USA 2018. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 10 sierpnia.

WARTO ZOBACZYĆ W TV [11 – 17 VIII]

1. Dzień, w którym mój ojciec stał się krzakiem



Przygodowy, reż. Nicole van Kilsdonk, Belgia/Chorwacja/Holandia 2016, HBO, 12 VIII, 10.00

Na podstawie książki holenderskiej pisarki Joke van Leeuwen powstało familijne kino z wojną w tle. Bohaterką jest dziesięcioletnia dziewczynka, której sielskie dzieciństwo kończy się wraz z wybuchem konfliktu zbrojnego. Kręcony w Chorwacji film zabiera młodego widza w bezpieczną podróż przez absurdalną rzeczywistość.

2. Weinstein: kulisy skandalu



Dokumentalny, BBC Brit, 13 VIII, 22.00

Przez 30 lat udało mu się uniknąć sprawiedliwości. Odkrycie licznych przypadków wykorzystywania seksualnego było wydarzeniem przełomowym, przyczyniając się do akcji #MeToo i Time's Up. W oparciu o pracę dziennikarzy śledczych dokument pokazuje, w jaki sposób tuszowane były skandale z udziałem Harveya Weinsteina.

3. Zimowi bracia



Dramat, reż. Hlynur Pálmason, Dania/Islandia 2017, Cineman VOD

Oto islandzkie kino w najbardziej uduchowionej, a zarazem najbardziej surowej postaci. Przy pomocy niewielu słów, za to oddziałując na wyobraźnię surrealistycznym obrazem i dźwiękiem, opowiada o skomplikowanej relacji dwóch młodych braci żyjących w odciętej od świata górniczej osadzie.

Nic już nie będzie takie samo



Dokumentalny, reż. Lukáš Kokeš, Klára Tasovská, Czechy 2017, HBO, 16 VIII, 22.10, HBO 2, 17 VIII, 22.40

Mieszkają w przygranicznym czeskim miasteczku i są u progu dorosłości. To właśnie moment, w którym pewne decyzje mogą zaważyć na całym przyszłym życiu. Kamera przez dwa lata towarzyszyła czworgu młodych bohaterów, przyglądając się ich bolesnym zderzeniom z dorosłością i budując z nich osobne historie.

JAN

Klata: Wilcze doły internetu



PODZAS WAKACJI POJAWIA SIĘ W INTERNECIE wyjątkowo dużo artykułów na temat wakacyjnego odpoczynku od internetu. Cyfrowy detoks, te sprawy. Odciać się, wyciągnąć wtyczkę, perfidnie a świadomie wyczerpać powerbank, przestać ćwierkać, wziąć się

w garść i nie lajkować. Odstawić ekraniki, popatrzyć na uśmiech dziecka *live*. Uśmiech niezapośredniczony, twarzą w twarz, nawet jeśli jest to uśmiech z lekka złowrogi, zwiastujący kaskadę buraczków, dajmy na to, na koszuli – ale prawdziwej koszuli, twojej koszuli, koszuli namacalnej. Czy to nie piękne? Prawdziwe, zaprawdę autentyczne doznanie wakacyjne, bez obawy o liczbę kliknięć i odsłon na jutubie. Buraczki.

Ale jednak coś mi podszeptywa ostrożność w stosunku do bukolicznie waldenowskiej wizji odwyku od złego nawyku, przecież jeśli internet namawia do odstawienia internetu, musi w tym być haczyk. Wyczuwam podstęp, węższe wilcze doły. Ani chybi internet chce nas pozbawić nieskończonej serii małych dopaminowych kopów, które pięknie opisywał były szef

Facebooka. Internet uwziął się na nas, podszeptując, abyśmy dobrowolnie sami sobie odmówili ostatnich małych życiowych przyjemności, których przecież jesteśmy wari – bo jak nie tego jesteśmy wari, to czego? Cyfrowemu ludyzmowi mówimy nie! Internet równa się życie. Kto traci pamięć, traci życie.

Zauważyłem na statystycznie dużej liczbie zbadanych obiektów, choćby na Open'erze, że popularność poszczególnych hitów mierzona w milionach odsłon – przypuśćmy Gorillaz – była wprost proporcjonalna do ilości wniesionych na koncercie ekraników nagrywających konkretny utwór. *Ergo*: smartfon nie kłamie, nagranie prawdę ci powie, choć nie zawsze wiadomo po co. Można się czepiać, że jak wszyscy podnosili telefony, żeby nagrać przebój, nie było widać nic, a zwłaszcza artystów – ale przecież nie o to chodzi, sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało, zamiast łapać doła, trzeba było samemu wyciągnąć aparat i zacząć nagrywać któryś z ekranów przed tobą, miałbyś dowód, że autentycznie tam byłeś na koncercie, przypuśćmy Gorillaz, a datę i godzinę sprawdzisz za moment, jak to będziesz wrzucał na fejsa. Technologia idzie do przodu, nawet nagranie z drugiej ręki bywa ostre jak brzytwę. Czasami koncertujący artyści ułatwiają sprawę, nagrywając siebie nagrywanych dzieśiatkami tysięcy smartfonów, wtedy robi się naprawdę swojsko, dopaminowy dupniak do kwadratu na wieczną pamiętkę. Jest co lajkować i szerować na łolu. I co? Przyjemnie? Przeprzyjemnie, czujemy, że żyjemy, hopla! Nie czepiajmy się bliźnich, którzy spadli w głąb kanionu robiąc sobie *selfie*. Precz z cyfrowym detoksem. Dziwię się internetowi, że chce nas wykastrować z życia. ©

Lektor: Architekt



■ Zbigniew Karpiński, **WSPOMNIENIA**

Opr. Wojciech Karpiński. Zamiast posłowania: Jakub Karpiński, Dom; Marek Karpiński, Mój ojciec. Dom Spotkań z Historią, Warszawa 2018, ss. 150. Biblioteka Kroniki Warszawy.

EPOKĘ PIERWSZĄ ZAMYKA rok 1918. To najpierw Petersburg, gdzie Franciszek Karpiński, student Instytutu Inżynierów Cywilnych, poznał i poślubił Henriettę Dienheim-Brochocką i gdzie w 1906 r. przyszło na świat drugie z ich dzieci – Zbigniew. Potem Łódź, wyjazdy nad Adriatyk przez Wiedeń, gdzie zobaczyć można starego cesarza Franciszka Józefa, dzie-

ciący zachwyt architekturą weneckiego placu św. Marka. I wojenne peregrynacje: dom matki w Gątczynie, Krym, Orsza, Mińsk, na koniec Warszawa. Epoka druga: studia na Politechnice Warszawskiej, Tatry i podróże po Europie. Małżeństwo ze Stanisławą Zastarnicką, pochodzącą spod Kijowa; jej rodzina prowadziła na Czerniakowie wielkie

gospodarstwo ogrodnicze, a Stanisława zajmowała się nim także po '45 roku – patrz piękny reportaż Barbary N. Łopieńskiej „Cebula czerniakowska”, drukowany w 1988 r. w „ResPublice”. W 1940 r. w Wilnie umiera poeta i satyryk Światopełk Karpiński, młodszy brat Zbigniewa, w dniu kapitulacji Francji rodzi się najstarszy syn Zbigniewa – Jakub, przyszły socjolog, a w 1943 r. – Wojciech, przyszły pisarz. I jeszcze „najdłuższy dzień życia”, kiedy w szóstym dniu powstania warszawskiego cała rodzina czeka na śmierć z rąk esesmanów, uratowana niemal cudem przez polsko-szwedzką przyjaciółkę. Epoka trzecia to najbardziej twórczy etap w życiu Zbigniewa Karpińskiego. „Bezpartyjny fachowiec” angażuje się w odbudowę Warszawy i projektuje kolejne budynki; ukoronowaniem jest Ściana

Wschodnia placu Defilad. Realizacja tego warszawskiego symbolu nowoczesności zbiegła się w czasie z aresztowaniem Jakuba Karpińskiego i skazaniem go w politycznym „procesie taterników” (luty '70). W chwili śmierci Zbigniewa Karpińskiego (1983 r.) Jakub i Wojciech byli na Zachodzie, a najmłodszy syn Marek miał za sobą internowanie w stanie wojennym... Wspomnienia Karpińskiego stanowią cenny przyczynek do dziejów zesłowieckiej inteligencji polskiej, zwłaszcza zaś tych jej przedstawicieli, którzy bez sympatii dla doktryny komunistycznej włączyli się w 1945 r. w odbudowę kraju. A zamieszczony na końcu szkic Tomasza Markiewicza przypomina, jak bezceremonialnie obchodzimy się dzisiaj z dziedzictwem architektonicznym, którego współtwórcą był Karpiński. I to jest bardzo smutne. ©®

PAWEŁ

Bravo:

Słodycz, upojenie, kwas



„WIOSNOM TRZEBA POMAGAĆ, SAME NIGDY nie będą gorętsze” – śpiewa Pablopavo, zachęcając adresatkę piosenki, by zakończyć spacer w „badyłach Okęcia”. Dzielnica ta każdemu, kto choć raz leciał ze stolicy, nie-

rozzerwalnie kojarzy się z zapieciem pasów i ustawieniem stolika w pozycji pionowej, chociaż jest to również obszar uroczych chaszczy i cudnych manowców między boczniką a nieużytkiem. Ilekroć samolot schodzi tamtędy do lądowania, łypię przez okienko z ciekawością, czy dostrzegę pary zajęte sobą w błogim zapomnieniu, że nad głowami przetacza im się świat bezlitośnie celowy. Jest za wysoko, by rozemnać się, czy ta czerwona plama to sukienka, czy też strzęp banera reklamowego zawiany pod krzaki, ale od czego jest wyobraźnia.

Czasami wyobraźnia przytłoczona bodźcami nie ma rozpędu, żeby coś ładnego utkać. Lato takie gorące, że jeśli miałbym mu w czymś pomóc, to tylko żeby się z lekka schłodziło. Na szczycie jednego ze wzniesień w krakowskim Podgórzcu wkraczam pod rozległe gałęzie rosnących na eksponowanej pozycji mirabellek, bo mnie zeszłej niedzieli naszała ochota na kompot. Powala przez nozdrza lekko zepsuta słodycz i fermentacja, od setek rozkładających się w trawie żółciutkich kulek bije kwintesencja lenistwa. Jest lekko, bezhołownie, bzyżczaco.

Z mirabelką jest ten problem, że prawie do ostatniego momentu na drzewie jest zbyt kwaśna, zerwana z gałęzi musi się odleżeć. Obiad miałem za cztery godziny – pozostało wybranie z trawy okazów już spadłych, a jeszcze nieuległych rozkładowi. No więc w przykucu oddawałem się niespecjalnie zaszczepionej czynności, a lek przed jadem coraz bardziej wkurzonych os pospieszał moje niezgrabne ruchy. Ale było to budujące doświadczenie.

W Krakowie bowiem dlatego żyje się pięknie, że nawykowo i notorycznie, z uporem pijaka, nadajemy połysk najpodlejszemu gestowi codziennemu, od porannego odkręcenia butli z domestosem począwszy, a na wytarcie serwetką buzi po kolacji skończywszy. Do tego najlepiej służą bliźni, mianowani przez nas samych na nietuzinkowych, tak lub owak wywyższeni z szeregu obywateli równych wobec prawa, ale nierównych wobec potrzeby uszlachetniania egzystencji. Mirabelki, osy, kompot – takie to prozaiczne, powiadać. Ale ten trawnik rozciągał się na wprost pięknej willi, która, jak głosi dzwonek przy furtce (kompulsywnie czytam wszystkie napisy, nawet tabliczki z trupią czaszką na słupach wysokiego napięcia), gości znamienitego poetę i jego poetyckie wydawnictwo. Już mnie nie bolały plecy, nie swędziały ramiona

podrapane gałęziami, wiedziałem, że mój kompot będzie smakował, by tak rzec, heksametrycznie.

Powietrze więc drga upojnie – stężenie alkoholu w nim na pewno łamie ustawę o wychowaniu w trzeźwości, uważne jednak powonienie rozpoznaje dalszy etap tego owocowego pandemium: gdzie znaczy drożdż pracownicy rozkłada cukier, zaraz zjawia się jego nemezis, czyli *acetobacter*, gotowa przerobić całe to alkoholowe dobro na ocet.

Ocet stanowczo nie ma u nas dobrego PR-u. Kojarzy się poślednio, użytkowo, topornie. Nie mówię o balsamicznym – ten prawdziwy to tak kosztowny rarytas, że to zbyt wysokie progi dla naszej rubryczki. Mówię o winnym, jabłkowym, kwaśnym i pachnącym... no właśnie, kwasem octowym. Ów ostry zapach, wystający z tła nawet przy minimalnym stężeniu, uchodzi za przykry, a ja go bardzo lubię, może od czasu, kiedy sporo zajmowałem się winem, a nieznaczna octowość zjawia się często w piwnicach jako element zapachowego tła.

Czas upałów to dobra pora, żeby wrócić na kwaśną stronę kuchni, do przeproszenia się z octem. Odwagi w dokwaszaniu nauczyłem się od kucharki w knajpie, gdzie pracowałem – Włosi mają lżejszą od nas rękę do octu. Jeden z moich współpracowników pochodził spod Wenecji, tak jak moja rodzina, i przypomniał mi parę pyszności, które lądowały na stole moich ciotek jako filary tamtejszej kuchni ludowej. Na przykład fasola na kwaśno: dopiero co ugotowaną, jeszcze gorącą średnią fasolę mieszamy z drobniutko pokrojoną cebulą (jedna cebula na pół kilo fasoli), skrapiamy octem tak, żeby wszystko było wyraźnie kwaśne, odstawiamy na parę godzin do przegryzienia, jemy na zimno.

Słodycz – upojenie – kwas. Cóż, taki cykl naszych doświadczeń. Wróć jutro pod drzewo, nazbieram więcej żółtych owoców, usmażę dżem, zostawię pod furtką poecie. „Szczęśliwego nowego głodu / szczęśliwego nowego bólu” – pisał kiedyś. Zrozumie. ©P



Zostawię was teraz sam na sam z panzanellą – na tokańskiej wsi, skąd pochodzi, nie traktuje się tego jako sałatki, tylko jako porządne danie obiadowe. Dzięki chlebowi bowiem porządnie syci, ale dzięki kwasowości nie zamula. Jedyny techniczny problem to wybór chleba, przeważnie biorę zwykły chleb pszenny „baltonowski”.

Kroimy w cieniutkie piórka **czerwoną cebulę**, wkładamy do miski, gdzie dajemy roztwór **wody i octu winnego 1:1**, moczymy co najmniej godzinę. Kroimy **chleb** (ok. 0,5 kg) na grube kromki, odcinamy skórkę, skrapiamy kromki zakwaszoną wodą. Jak bardzo? zaczynicie od 0,2 części octu na 1 część wody, jeśli wyda się wam nieprzesadnie ostre, to następnym razem dajcie 0,5:1. Kiedy chleb się moczy, kroimy w kostkę 2 duże **pomidory** i 1 dużego **ogórka**. Odciskamy chleb, kruszymy w palcach na duże okruchy, wrzucamy do miski razem z pomidorem, ogórkiem i odcedzoną cebulą, dosypujemy parę listków **bazylii**, mieszamy, dajemy **sól**, polewamy niewielką ilością **oliwy**, mieszamy, odstawiamy do lodówki do przegryzienia na godzinkę albo i dwie.



CZAS NA NEGATYW

Nie ma nic piękniejszego niż apokalipsa w Arktyce. Wiatr, rozpad, pustka – wszystko rozgrzewa wyobraźnię do poziomu wrzenia. Oto jest terytorium czystego bycia albo czystej nicości.

TEKST I ZDJĘCIA **MICHAŁ MILCZAREK**

ZA KILKA DNI POJADĘ DO IRANU. BĘDZIE CZTERDZIEŚCI W CIE-
niu, wypalona do minerału ziemia, żar z nieba. Smog Tehe-
ranu, bazyry Isfahanu, gorący wiatr od pustyni w Jazd. I słońce,
wszędzie słońce. Ale wiem, że w końcu pojawi się ta myśl, bo
zawsze się pojawia. Trochę znikąd – jakby wypęzła spod po-
wierzchni świata. Będę myślał o Syberii, ponieważ zawsze my-
śle o Syberii. Nie wprost, ale jakby na ukos, na marginesie, kra-
wędzią myśli. Syberia będzie istnieć w tle – trochę jak cień albo
negatyw widzialnego.

Bo przecież wszystko ma swój negatyw. Rzeczywistość jest po-
dwójna, rozciągnięta między przeciwieństwami, opozycjami.
To dobrze, bo gdyby było jedno, nie byłoby nic. Dlatego w Ira-
nie będę myślał o Syberii. I to nie o lecie, ale o syberyjskiej zimie,
która będzie zaprzeczeniem rzeczywistości. Będę siedział na roz-
palonej pustyni i czekał na śnieg.

Autostop jest niezły

Zimą na Syberii jest najlepiej. Zwłaszcza późną zimą – w lu-
tym, marcu. Słońca jest już dość wiele, dni robią się coraz dłuż-
sze, jaśniejsze. Na północ wraca światło, ale nie ciepło. Ciepło
zacznie powracać dopiero w kwietniu. To dobrze, że jeszcze go
nie ma. Na Syberii powinno być zimno. Masz wtedy pewność,
że wszystko na świecie jest tak, jak należy. Że jest tak, jak było
zawsze.

Bo przecież jedzie się tam właśnie po to – zobaczyć wiecz-
ność. Ludzkie dzieła są tam nietrwałe i jest ich mało. Trochę
pomalowanych na biało murowanych cerkwi z XVIII wieku,
trochę kupieckich kamieniczek, trochę drewnianych domów,
które generalnie chylą się ku zagładzie i zapadają pod ziemię,



aż serce boli. No i bloki. Bloków na Syberii jest najwięcej. In-
wazja kubizmu w nieskończone połacie lasów i bagien. Stoją
w wielkich miastach: Nowosybirsku, Krasnojarsku, Chabarow-
sku, Władywostoku. Ale także w tych mniejszych osadach, róż-
nych pasiołkach na końcach świata. Stoją i trwają na przekór
wszystkiemu. Często są jedynym przejawem formy na terenach
wszelką formę rozpuszczających.

Najważniejsze jest to, że zimą na Syberii jest więcej możli-
wości. Więcej dróg. Bo prócz tych zwykłych istnieją także tak
zwane zimniki. Ich istnienie jest dość efemeryczne. Pojawiają
się w styczniu, kiedy wszystko zamrażnie na amen. Kiedy zima
wydaje się być wieczna. Wtedy do tajgi czy tundry wyjeżdżają
spychacze i czyszczą drogę. Odgarniają śnieg. Trzeba jeszcze
zmierzyć grubość lodu na rzekach, bo przecież na końcach
świata nie ma żadnych mostów. Jeśli lód ma metr, wszystko
jest okej. Będą mogły po nim jeździć kilkudziesięciotonowe cię-
żarówki: urale i kamazy z wysokim zawieszeniem.

Tak, w styczniu zaczyna się gorący okres. Trzeba wszystko
przywieźć, ze wszystkim zdążyć. Jeżdżą więc w tę i z powrotem
przez białe pustynie. Eldorado kończy się w kwietniu. Wtedy
droga zaczyna topnieć. Kurczy się też lód na rzekach. Ostatni ry-
zykanci robią ostatnie kursy za dużą kasę. Zdarza się, że lód się
łamie i kamaz idzie pod wodę. W maju są już odcięci od świata.
Zostaje im tylko samolot albo helikopter.

Syberyjska zima to dobra pora na autostop. Bywa wpraw-
dzie zimno, ale bez przesady. Nie mitologizujemy nadmiernie
syberyjskiego zimna. Najczęściej jest całkiem znośne. 20 albo
30 stopni na minusie. Jeśli nie ma wiatru – pełen lajt. Tylko w Ja-
kucji i na Kołymie bywa gorzej. 40 to standard, a bywa nawet 50.



Amderma – zimna wojna w stanie hibernacji

Przypominam sobie, jak jechałem zimnikiem do Ewenkii. Ewenkia leży na północ od Krasnojarska w środkowej Syberii. Ma 760 tys. km², czyli tyle co Turcja, i 14 tysięcy mieszkańców – tyle co taki Nowogard w Zachodniopomorskiem. Dwie setne człowieka na kilometr kwadratowy. Nawet na Grenlandii albo Czukotce gęstość zaludnienia jest większa. Chyba trochę za mało, aby być. Za mało na coś. Dlatego żyją, znikając. Prawie niewidzialni. Prawie ich nie ma.

Tak więc – pustka. Pusta mapa i pusty krajobraz. Zimnik do stolicy – Tury – ciągnie się na tysiąc kilometrów. Ostatnie dwieście kilometrów prowadzi po równiutkim lodzie rzeki Dolna Tunguzka. Po dziurawym leśnym dukcie wydaje się, że to niemiecki autoban. Na całej trasie jest jedno skupisko wież wiertniczych, jedna miejscowość i jedna wieś. Reszta jest nicością. Zimą ta nicość ma biały kolor. Wymazuje kształty, formy. Wymazuje świat i rodzi dziwną, dudniącą w uszach ciszę.

W samej Turze też niewiele jest. Dwupiętrowe drewniane baraki i pełno bezdomnych psów, które koczują wokół śmietników.

A autostop jest niezły. Średnio jeden kamaz na godzinę lub dwie. Zatrzymują się wszyscy, choćby po to, żeby ci powiedzieć, że nie mają miejsca. A ty idziesz dalej, bo stać kilka godzin przy minus 35 stopniach to nie jest najlepszy pomysł. Idziesz w głąb tego białego milczenia – aż usłyszysz za plecami dźwięk silnika kolejnego kamaza. Bo kamaz to życie.

Najlepsze jest jednak to, że na północ od Tury, na totalnym zadupiu, gdzie nie dojedzie już żaden kamaz, znajduje się geograficzny środek Rosji. Okazuje się więc, że w swoim sercu Rosja skrywa nicość. Jest emanacją pustki.

Wszędochód pomoże

Albo taka Kamczatka. Łądujesz – i od razu tracisz poczucie rzeczywistości. Kiedy w Moskwie jest noc, tam jest dzień. Sen zamienia się miejscami z jawą. Wydaje się, że wszystko jest odbite w lustrze. Poza tym widać białe stożki wulkanów – dosyć surrealistyczna scenografia.

Kamczatka to jest oderwanie. Półwysep, a tak naprawdę wyspa na końcu świata, bo nie prowadzą tam żadne drogi. Trochę osobna orbita, satelita ziemi. Dlatego Kamczatka też nie do końca istnieje. A przynajmniej nie istnieje tak jak reszta ziemi. Bardziej lewituje, podszywa się pod istnienie, pasożytuje na rzeczywistości. Ale to dobrze, bo dzięki temu można zaznać ontologicznej nieważkości.

Droga jest tylko na południu Kamczatki. Tam też leżą wulkany i gorące źródła, więc nikt nie jeździ dalej. A zimą da się dalej – można pojechać do północnej części półwyspu, czyli do Koriacji. Oczywiście też na stopa. Zimnik jest tu jednak o wiele gorszy niż w Ewenkii. W ogóle dzicz: lasotundra, pustkowia, śniegi. Większość kierowców pije. Mówią, że wtedy mija strach. Ten strach jest zresztą usprawiedliwiony. Biała droga zlewa się z białym pustkowiem – i znika. Moment nieuwagi – i wpadasz w głęboki rów.

Nam też się zdarzyło. Jechaliśmy w trzy ciężarówki. Pierwszą kierował Rosjanin, drugą miejscowy, skamczadziały Czeczen, a trzecią Uzbek na kamczackich saksach. No i ja – z Czeczenem Wową. Zestaw trochę jak w kawale, ale tutaj nie chodziło o to, żeby przechytrzyć jeden drugiego, ale o to, żeby sobie pomagać. Pierwszy wpadł w głęboką zaspę Uzbek Misza. Lewe koła urała cysterny zanurkowały w śniegu, prawie oderwały się od ziemi, ➔



→ chwilę się zawahały – i opadły z powrotem na ziemię. Trzeba zaznaczyć, że Misza nie wioził ziemniaków, ale paliwo lotnicze. Próbowaliśmy go wyciągnąć, ale nie szło, wreszcie lina się urwała. Huraganowy wiatr, minus 22 na termometrze, białe pustkowia. Niewesoło. Na szczęście jakieś 10 kilometrów dalej stała opalana drewnem buda, w której dyżurowali drogowcy. Nie mieli co robić, więc głównie pili. Ale mieli też *wieźdiechod*, czyli pasażerski czołg na gąsienicach bez armaty. I dopiero ów wszędziechód wyciągnął z zaspas Miszę.

Potem wpadliśmy my z Władem, ale dość płytko. W pięć minut było po sprawie. Rosjanin Igor nie wpadł, ale i tak nie dojechał. Wysiadł mu kamaz. Został w budzie drogowców. Dlatego pili, bo jak nie pić. Nawet muzuhmanie. Mówili, że Allah zrozumie, że na Kamczatce inaczej nie da rady – i przebaczy. A policji nie uświadczysz na setki kilometrów. Swoboda.

Na miejscu oczywiście nic nie ma. Dwie miejsciny z dwoma czy trzema tysiącami mieszkańców i zagubione w pustce wsie. Pogryzione przez wiatr bloki, gnijące domy. Rozpadająca się materia. Portów nie ma, dróg nie ma, a internet chodzi zbyt wolno, by z niego korzystać. Prawdziwy koniec świata. Kosmos zdaje się być na wyciągnięcie ręki.

No i Koriacy. Naród dość archaiczny. Mieszkają w północnej Kamczatce od 4 tysięcy lat. Kiedyś połowa hodowała renifery, połowa polowała na wieloryby i foki. Dzisiaj obowiązuje inny podział: na alkoholików i resztę. Tych drugich jest, niestety, mniej.

Uprawiałem wtedy ortodoksyjny autostop i nie tylko jeździłem, ale także spałem za darmo. Nie szedłem do hotelu, zagadywałem okutanych w futra przechodniów. Robili wielkie oczy, ale zgadzali się szybko. W stolicy Koriacji, Pałanie, trafiłem wła-

śnie do Koriaka Olega. Mieszkał sam w dwupokojowym mieszkaniu. Nie miał żadnego jedzenia i było dla mnie tajemnicą, jak przeżył do dnia, w którym się zjawiłem.

Przez kilka dni kupowałem żarcie na dwóch. W mieszkaniu działał tylko jeden kontakt. Oleg podłączał do niego czajnik i telewizor, który grał od rana do wieczora. Stary kineskopowiec, piętnastocalowe okno na świat. Wieczorami oglądaliśmy razem, bo nie było absolutnie nic innego do roboty. Oleg skombinował skądś pół litra, ale mnie nie proponował. Żał mu było. Zresztą wcale nie chciałem, Koriacja była mocniejsza niż każda wódka i każdy narkotyk. Wpadałem w trans bez niczego, a Oleg potrzebował wody i telewizora. Akurat leciał program o Babci Wandze, która przepowiadała przyszłość. Mówiła, że widzi krew i ogień, więc koniec jest bliski. Pijany Oleg powtarzał za nią te przepowiednie. Też zacząłem wierzyć, że będzie źle. Nagle zerwał się na równe nogi i krzyknął do mnie w panice:

– To jest rzeczywistość czy telewizja?!

– Telewizja – odpowiedziałem.

Ale chyba nie uwierzył, bo ruszył do telewizora, żeby sprawdzić: czy to ekran, czy przejście do innego wymiaru. Wódka trochę nim zachwiała, zniosło go, uderzył ręką w szybę okna, chwycił się za firankę, wyrównał pion – i złapał się za telewizor.

Kineskopowiec cudem nie zleciał z szafki, ale zgąsł. Nastąpiła ciemność. Olega nawiedzały duchy, a ja poszedłem spać.

Bilet na helikopter

Najpiękniej jest chyba jednak w Arktyce. To już zaświaty zaświatów i nicość do kwadratu. Tyle że ta nicość jest reglamentowana – cała rosyjska Arktyka to *pogranzona*, strefa graniczna.



Anteny radiolokacyjne w Amdermie. Po lewej: renifery na Uralu Polarnym

Bez przepustki od FSB nie wjedziesz, a o przepustkę trudno. Składasz dokumenty dwa albo trzy miesiące wcześniej.

Kiedy jechałem do Norylska, poprosili mnie nawet, żebym wszystko napisał odręcznie, długopisem. Cel, motywacja i plan pobytu. Dokładnie, co do godziny. Trzeba było tę nicość czymś zapełnić. Wyszło sześć stron. Potem musiałem owego planu przestrzegać – i nie było rady, przestrzegałem. Zawsze przestrzegam wszystkiego, czego żąda FSB, bo jak coś nabroję i przestaną mi wydawać przepustki, stracę sens życia.

Więc ostatnią zimą też aplikowałem. Do Amdermy nad Morzem Karskim. Wschodni skraj Nienieckiego Okręgu Autonomicznego, 69. równoleżnik, granica Europy i Azji, granica bytu i nicości. I znowu się udało. Ale *propusk* dostałem dopiero w Narjan-Marze, stolicy okręgu, już za kołem podbiegunowym – dwa dni przed wylotem do Amdermy. Poszedłem do rejonowego wydziału FSB – i okazało się, że gotowa przepustka z piękną, okrągłą i niebieską jak policyjna czapa pieczętą czeka na mnie. *Credo quia absurdum*. Nie ma piękniejszych chwil w życiu niż odbiór *propuska* do *pogranzonny*.

Dopiero wtedy mogłem kupić bilet na helikopter. Bo do Amdermy też nie ma drogi – nawet zimą. Helikopter dwa razy na tydzień – *wot i wsio*. Miałem farta – został jeden bilet. Poleciałem przez pustą biel. Z góry tundra wyglądała jak księżyc.

Amderma to była postapokalipsa w wersji turbo. Wszędzie stały bloki widma. Substancja istnienia gniła, rdzewiała, rozpadała się na atomy. Kiedyś był tam garnizon wojskowy, stacjonował pułk lotniczy i mieszkało 10 tysięcy osób. A potem runął Związek Radziecki, a Amderma runęła razem z nim. Zostało 220 robinsonów. Dobrzy ludzie. Mogłem nie brać ze sobą żadnych pieniędzy. Przez trzy dni jadłem, piłem, spałem – wszystko za darmo. W sercach ludzi panował ortodoksyjny komunizm jak u Płatonowa.

Nad Morzem Karskim wiało bez przerwy. Tego nie da się wyobrazić, to trzeba poczuć. Twarz robiła się jak lód. Musiałem odwracać się plecami do wiatru, zdejmować rękawice i przykładac do niej dłonie. Nie było gdzie się schować, bo wokół tylko goła tundra. Słońce przez cały dzień było nisko i w ogóle nie grzało.

Czasami tak wiało, że widać było góra na 100 metrów. Wydawało się, że to mgła, ale to były niesione przez wiatr drobinki śniegu. Biała ciemność.

W tundrze stały porzucone instalacje wojskowe i anteny radiolokacyjne. No bo do Związku Radzieckiego ze Stanów najbliższa droga prowadziła nad Arktykę. Bombowce B-52 i rakiety dalekiego zasięgu miały przylecieć właśnie stamtąd. Dlatego patrzyli i nasłuchiwali. Aż dokonał się wielki kolaps, ale inaczej, niż sobie to wyobrażali.

W pustych mieszkaniach zalegały resztki mebli i śnieg. W jednym wisiał nawet przyklejony do ściany program Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego przyjęty przez XXVII zjazd na przełomie lutego i marca 1986 r. Zatwierdzono wtedy kolejną pięciolatkę i zaplanowano dwie następne, aż do 2000 roku.

Bo to wszystko miało trwać wiecznie. Być może w roku milenium komunizm zapanowałby ostatecznie. Żylibyśmy syci i szczęśliwi w jasnym i prostym świetle wśród czerwonych choągiewek i czerwonych tulipanów. Przebóstwieni i niewinni jak w raju. W Amdermie mieszkałoby ze 20 tysięcy, a z Workuty podciągnięto by kolej. Dwie doby w kuszetce – i byłbyś w Moskwie. Trzy – i nad Morzem Czarnym. Ale miesiąc później wydarzył się Czarnobyl i w ogóle wszystko poszło nie tak. Zamiast królestwa bożego na amdermińskiej ziemi wydarzyła się apokalipsa.

Spacerowałem po tych zgłiszczach, bo były niesłychanie piękne. Nie ma nic piękniejszego niż apokalipsa w Arktyce. Wiatr, rozpad, pustka – wszystko rozgrzewało wyobraźnię do poziomu wrzenia. To było terytorium czystej ontologii. Czystego bycia albo czystej nicości. Zupełnie jak u Mistrza Eckharta albo Heideggera. Byłem w lekkim transie i czasami wydawało mi się, że widzę absolut.

Byłem reniferem

A potem pojechałem do Nieńców. Nieńcy koczują zimą ze swoimi reniferami na granicy tundry i tajgi. Na przykład na Uralu Polarnym.





Apokalipsa w Amdermie



Nieńcy jedzący surowego renifera



Pałana, stolica Koriacji

→ Przez trzy dni mieszkalem z nimi w czumie szytym z futra renifera. Na jeden schodzi kilkadziesiąt sztuk. Nie było prądu, nie było zasięgu, nie było wody, nie było niczego. Można było robić to, czego na co dzień robić się już prawie nie da – nic. I słuchać Nieńców, którzy koślawym rosyjskim opowiadali niesłychane historie.

63-letni Andriej: – Nie mam mieszkania, domu. Tylko czum. Adresu też nie mam. W dowodzie stoi „tundra”. Jestem zameldowany w tundrze. Tundrowik. Zdarza się, że śpię w mieście, w Workucie. Ale jakoś nie podobają mi się domy i łóżka. Żle mi tam. Ciągnie z powrotem do tundry, do czumu. Zresztą, co

ja mam robić w mieście? Ciemny jestem. Do szkoły nie chodziłem. Pisać ani czytać nie umiem, liter nie znam. Znam tylko cyfry, umiem liczyć. Pieniądze znam, papieru nie. Dlatego w tundrze mi lepiej niż w mieście.

Najdziwniej było jednak nocą, kiedy pieczka w czumie wygasła. Ciemność, cisza – i wirujący mózg. Na zewnątrz minus trzydzieści kilka plus wiatr i zorza polarna. Leżałem na posłaniu z renifera, najedzony gotowanym zającem i surowizną reniferową, świeżo zabita, letnią jeszcze i parującą na mrozie. Surowe mięso – dobre mięso, tylko ręce krwią brudzi. Po drugiej stronie czumu leżał Pietia z żoną i dzieckiem – okutani w reniferowe skóry.

Renifery, renifery – wszystko kręciło się wokół nich. Czum, ubranie, jedzenie – całe życie. Myślałem o tym wszystkim – i sam zaczynałem się reniferzyć. Przeoblałem się w renifera, jakbym w niego wchodził, czas cofał, teleportował się do paleolitu, do zwierzęcia powracał.

Bo przecież jestem w tym świecie nikim – dziurą. Niedozwierzaniem, pseudozwierzaniem. Bez domu, bez futra, bez dostępnego bezpośrednio pokarmu. Jestem pseudoreniferem, który musi udawać renifera, zamienić się w renifera, stać się nim, aby żyć.

Odchodząc, kilka razy oglądałem się za siebie na czum, bo nie mogłem uwierzyć, że mi się to przydarzyło, że przez chwilę byłem częścią świata, który już nie istnieje.

TAK WIĘC W TYM WSZYSTKIM chodzi głównie o metafizykę. O byt i nicość, rzeczywistość i nierzeczywistość, świat i zaświaty. Jeździ się tam raczej po nic niż po coś. To podróżowanie apofatyczne. Dlatego teraz, w środku lata, tęsknię za syberyjską zimą. Bo zima na Syberii to byt w stanie minimum. Ogołocenie i nieważkość.

Ale to wszystko ma swój rewers. Bo pełna nicość równa się śmierci. A ty jednak chcesz otrzeć się o nic i być dalej. Absolut – to nie dla nas. Dlatego z czasem wszystko się odwraca. Patrzysz na ten śnieg bez końca i w końcu niespodziewanie chwytą cię inna nostalgia. Za latem. Za fotosyntezą i wegetacją. Najbardziej tęsknisz chyba nie na końcu świata, ale we wnętrzu kontynentu. Na stepowych zadupiach, pośród krajobrazu bez witamin. Na przykład w takim Ułan-Ude albo w Czycie w marcu. Bo z Czyty jest wszędzie daleko. Do Irkucka tysiąc, do Pekinu dwa i pół, do Władywostoku trzy, do Moskwy sześć, a do Madrytu to już w ogóle dziesięć tysięcy kilometrów. I weź tam żyj z dnia na dzień.

Dlatego chodziłem po bladej Czycie i myślałem o Gujanie. Albo o Kolumbii. O dżunglach ociekających deszczem, kwiatami jak halucynacja i słońcu cieplejszym niż elektrociepłownia. Jeszcze nigdy nie chciałem do Gujany tak bardzo jak wtedy w Czycie.

Wiem jednak, że po paru tygodniach w Gujanie pomyślałbym o Amdermie albo Ułan-Ude. I właśnie to w podróżowaniu jest najpiękniejsze.

© MICHAŁ MILCZAREK

Autor (ur. 1981) wykłada w Instytucie Filologii Wschodniosłowiańskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego, publikuje książki o filozofii rosyjskiej. Podróżnik – odwiedził m.in. Pamir, Bajkonur, Czeczenię, Spitsbergen, Amazonię, Gwatemalę, Mali, Zimbabwe, Irak. Przejechał Saharę z północy na południe. Podróżował zimą i latem po Czukotce, Kamczatce, Koriacji, Kołymie i Jakucji.



JORGE ZAPATA / UNSPLASH

SMAKI

gotowanie jedzenie restauracje przepisy porady

Dołącz do nowej grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” na Facebooku

GRUPĘ MODERUJĄ:

PAWEŁ BRAVO – felietonista kulinarny „Tygodnika Powszechnego”, animator akcji gastrokulturalnych, współ-



twórca książki „Kuchnia Dantego”, z której autorami współprowadził warsztaty kuchni włoskiej. Prowadził też niszowe działania cateringowe związane z warszawską

Stacją Muranów, przez dwa lata był współwłaścicielem i menedżerem włoskiej knajpki Culi-in-aria, nadal jest wiernym jej gościem. Produkty kupuje na targach, szczególnie tych zwyczajnych, jak warszawski Wolumen, ale mnóstwo zawdzięcza panu Ziółko z warszawskiej Fortecy. Od pół roku eksploruje krakowski rynek spożywczy i restauracyjny. Przez kilka lat członek zespołu redakcyjnego „Magazynu Wino”, obecnie współpracuje z kwartalnikiem „Ferment”.

TU DZIELIMY SIĘ NAJCIĘKAWSZYMI PRZEPISAMI, ale także najlepszą publicystyką o jedzeniu, bo gotowanie i jedzenie jest jednym z najważniejszych fenomenów społecznych, wpływa na nasze relacje i odwrotnie – nasze relacje i stosunki społeczne wpływają na to, co i jak jemy. Dyskutujemy o wszystkim, co dotyczy jedzenia: jak je przyrządzać, gdzie zjeść na mieście, jak zadbać o jakość produktów, ale także na temat narzędzi takich jak patelnia czy nóż.

ZADAWAJCIE PYTANIA – WSPÓLNYMI SIŁAMI POSZUKAMY ODPOWIEDZI!

MICHAŁ KUŹMIŃSKI – w „Tygodniku Powszechnym” od 2001 roku, obecnie jest wicenaczelnym i kieruje działem internetowym,



wcześniej m.in. twórca i wieloletni kierownik działu naukowego. Smakuje mu szczególnie temat relacji między kuchnią a nauką oraz kuchnią

i kulturą; na łamach „Tygodnika” publikował na ten temat teksty i wywiady. Od 2012 roku – dotąd *incognito* – tworzy blog kulinarny „Facet z nożem” (facetznozem.blogspot.com). Fan zwłaszcza kuchni śródziemnomorskiej i bliskowschodniej, ale w fundamentalnym sporze „Włochy czy Francja” ostrożnie opowiada się za Francją. Poza tym współautor (z Małgorzatą Fugiel-Kuźmińską) powieści etnokryminalnych i tekściarz.

GRACZYNA MAKARA X2

W relacjach z członkiniami i członkami grupy moderatorzy są wspierani przez **MONIKĘ OCHĘDOWSKĄ** – autorkę bloga kulturalnego miszong.pl, znaną też z łamów „Dwutygodnika” i „Tygodnika Powszechnego”, oraz moderatorkę liczącej ponad 3,2 tys. członków i członków grupy dyskusyjnej „Tygodnika Powszechnego” o książkach Book’s not dead.

Dołącz do dyskusji, wejdź na powszech.net/smaki

STANISŁAW

Mancewicz: Czas nie nadszedł



JEŚLI IDZIE O NIEDAWNĄ IMPREZKĘ URODZINową Antoniego Macierewicza, gdybyśmy mieli wybrzydzać, wytykać jakieś jej braki, niedociągnięcia klimatyczne, jeżeli mielibyśmy w tej sprawie mieć jakikolwiek głos doradczy, to – rzecz trzeba – silnie

brakowało nam na niej Mike'a Tysona. Przydałby się tam jako dopełnienie, by nie rzecz dopełniacz, rzeklibyśmy: *genetivus qualitatit*, wyrażający jakość i cechy tej uroczystości. Już sama milcząca obecność postaci tego formatu, wzorca wszelkich cnót i patriotyzmu, miałyby ogromne znaczenie dla tzw. wrogów ojczyzny, ulicy i zagranicy, byłaby także krzepiąca dla uczestników heroicznego boju o nowy kształt kraju. Gdyby ów dał się namówić na występ w kontuszu, w mundurze pułkownika wojsk polskich bądź w karacenie, gdyby wygłosił choć krótkie przemówienie na temat historii Polski, jubileusz zyskałby miano niezapomnianego, ale i charakterystycznego dla – jak by to powiedział Gospodarz – „niezwykłej osobowości” jubilata. Gdyby – to już marzenia – Mike Tyson zgodził się, choćby za drobną opłatą, poodgryzać uszy (jak to mu się zdarzało na ringu) uczestnikom i publiczności – mielibyśmy nie tylko tzw. hit sieci, ale przede wszystkim dosłowną ilustrację działań władzy wobec ludu. Naturalnie Mike Tyson dla zabawy, w ramach żarciku oczywiście, mógłby także poboksować się z byłym ministrem i dać mu się troszeczkę poszturczać, by tym samym symbolicznie zasygnalizować moc tegoż. Byłaby to – przyznać należy – wspaniała impreza, ale i bez tego było nieźle.

Choćby dlatego, że zagadka usunięcia Antoniego Macierewicza z Ministerstwa Obrony nie została rozwikłana, jako że Gospodarz w swym dziwacznym języku dał do zrozumienia, że czas na objaśnienie tej tragedii „nie nadszedł”. Sposób, w jaki to

zostało zakomunikowane, daje nam asumpt do twierdzenia, że była to właśnie tragedia. Naturalnie z tonu oświadczenia Gospodarza możemy na sto procent wnioskować, że Antoni Macierewicz przestał być ministrem bynajmniej nie dlatego, że się zwyczajnie nie nadawał. To z naszych domysłów możemy wykluczyć. Czemu zatem? Pozostaje nam snuć domniemania, zanim się doczekamy kanonicznej wersji. Wydaje się to ciekawsze zadanie niż – dajmy na to – obliczenia, czy liczba uczestniczących w rekonstrukcji bitwy pod Grunwaldem przekroczyła już liczbę jej uczestników w roku pańskim 1410, czy jeszcze trzeba poczekać choćby roczek. Ale, ale, ponieważ Gospodarz zadał nam zagadkę, grzecznie wypada spróbować ją rozwikłać. Idźmyż w tym kierunku powoli, porzuciwszy skłonności do lekkomyślnych mniemań, starając się myśleć logicznie, co jak wiadomo w kraju naszym nie jest zadaniem łatwym.

Odszedł, bowiem się nadawał. Z laudacji na urodzinach wynika jasno, że nadawał się jak nikt. Poprzestańmy tu na stwierdzeniu, że wielu już chłopców i dziewcząt odeszło z naszego puebla, tylko dlatego, że się nadawali. To jednak nie wystarczy. Musiała pojawić się zatem jakaś siła silniejsza od woli Gospodarza, która nadającego się Macierewicza wysłała w kosmos peryferii. Brzmi jak herezja prawem ścigana – prawda? Jest gdzieś ktoś, kto może złamać jego żelazową wolę? Putin? Żarty na bok. Trump? On miałby nastawać na kolegę Macierewicza? Kpina. Jakiś inny sojusznik w umiłowaniu demokracji, w rodzaju Łukaszenki? Śmiech pusty nami wstrząsa. Może zatem wróg jakiś śmiertelny? NATO? Unia Europejska? Bzdura. Za cienie to są miśki. Może papież obecnie panujący? A ileż on ma dywizji? – zapytamy rezolutnie i z sarkazmem. Może jednak nie należy szukać zbyt daleko. A więc ktoś z krajowego gumna? Służby specjalne? Medycy? Prawnicy? Nic nie pasuje.

Może zatem powody usunięcia Macierewicza leżą gdzie indziej? W głowie Gospodarza po prostu? To jest jakaś szansa. Pamiętajmy, że polszczyzna nie należy do łatwych języków, jej osobliwości mogą, ba, na pewno rzutują na rozpoznawanie rzeczywistości i pracę szarych komórek. Słowa „przeszłość” i „przyszłość” różnią się tylko jedną literą, podobnie jak „wplata” i „wyplata”, a przede wszystkim „wejście” i „wyjście”. Zaczekajmy zatem, aż Gospodarz dojdzie do wniosku, że jest już gotów, że poukładał to sobie na jego miarę logicznie, by znów objaśnić nam świat, nie tylko ten bez Macierewicza. © P

BARTOSZ MINKIEWICZ



TYLKO **300** ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!



Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat
– możesz kupić krajową, ekonomiczną
prenumeratę wydania papierowego „TP”
w ofercie **POKOLENIA** za 300 zł rocznie.
Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie
z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

Kupując krajową prenumeratę przez stronę
tygodnikpowszechny.pl masz możliwość
zamówienia wydania specjalnego „TP”
„Polska od nowa” – z dostawą do domu!

■ Zastrzegamy sobie prawo skontaktowania się z wybranymi osobami
w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie
przekazem pocztowym:
Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12
w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez
stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl,
na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta **POKOLENIA** – 300 zł na rok

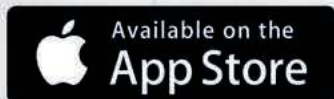
■ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa
pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075
lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl



Audiodelic

Ściągnij aplikację **Audiodelic**



lub

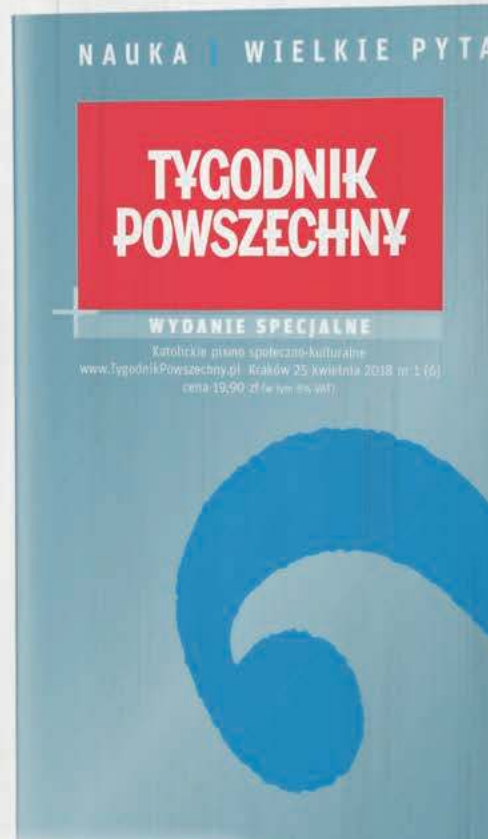


i weź, słuchaj!

najważniejszych, nagradzanych,
kanonicznych tekstów i wywiadów
z historii „Tygodnika Powszechnego”
czytanych przez profesjonalnych
lektorów.

Wśród autorów tekstów:

ks. Adam Boniecki, Andrzej Stasiuk,
Anna Goc, abp Józef Życiński, Łukasz Lamża,
Czesław Miłosz, Dorota Kosińska,
abp Grzegorz Ryś, Jerzy Pilch, Jerzy Turowicz,
ks. Józef Tischner, ks. Michał Heller,
Łukasz Kwiatek, Leszek Kołakowski,
Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński,
o. Ludwik Wiśniewski, Paweł Reszka,
Sławomir Mrozek, Stanisław Barańczak,
Stanisław Lem, Stefan Kisielewski,
Tadeusz Sławek, Wisława Szymborska,
Wojciech Nowicki, Wojciech Bonowicz.



**TYGODNIK
POWSZECHNY**

www.audiodelic.pl